

Biuletyn Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego

BUKA nr 6

01.2004

ISSN 1730-0754

bezpłatny

www.uka.pl



Projekt Uniwersyteckiego
Klubu Alpinistycznego finansowany
przez Komisję Europejską

Advanced Climbing Rope by Lanex®

LANEX

GNO

Italy



Hurtownia FATRA

przedstawiciel firm LANEX i KONG

tel. 0 15 832 46 26, fax 015 644 53 89



od Prezesa

W swoje czterdziestolecie UKA jest w znakomitej kondycji.

Klub liczy prawie 200 członków – najwięcej w swojej historii – co stawia nas w szeregu największych klubów w Polsce. Konieczne trzeba odnotować znakomite przejścia naszych członków, ale nie do przecenienia jest również podejmowanie innych akcji. I tak, UKA zaangażowany był w obronę Chatki na Włosiennicy. List otwarty do Zarządu PZA, który napisał Marcin Stępiak spotkał się z poparciem wielu znanych wspinaczy. Również z żywą reakcją spotkały się nasze postulaty na Walnym Zjeździe PZA (o czym szerzej osobno). Wspieraliśmy występy Romka Główni w zawodach Pucharu Polski oraz kolejne plakaty topo Grześka Głazka. Przede wszystkim jednak działaliśmy w środowisku klubowym: poza regularnymi treningami w centrum „On-sight” (Obozowa) i „W Pionie” (Nowowiejska), często odbywały się także pokazy slajdów w siedzibie Klubu na Srebrnej, które biły rekordy frekwencji (najwięcej, bo 60 osób, zgromadził pokaz Krzyśka „Krzykacza” Belczyńskiego). Klubowym wyjazdem pod Sokolicę otworzyliśmy sezon letni. Istotna była też kończąca sezon akcja objawiania Biblioteki w rejonie Podlesic (dziękujemy firmie AMC za zniżki przy zakupach materiałów, a ekipie pod kierownictwem Marka Wierzbowskiego za poświęcony czas). Nie da się także nie wspomnieć o tym, że klubowy serwis www.uka.pl odnotował swoje pierwsze 100 000 odwiedzin na liczniku, a to dzięki wytrwałej pracy Miro Milewskiego. Rok zakończył się wielce udanym jubileuszowym spotkaniem z okazji 40-lecia Klubu i wręczeniem nagród za najlepsze przejścia (Jakub Radziejowski i Krzysztof Sadlej). Laureaci zostali uhonorowani statuetkami zaprojektowanymi przez Elżę Kubarską oraz polarowymi gadżetami firmy „Zerwa” Marcina Malki. Okolicznościowe klubowe koszulki, zaprojektował Sebastian Lis. Największym wyzwaniem 2003 roku był jednak udział w konkursie o grant Komisji Europejskiej, który wygraliśmy i zostało nam przyznane dofinansowanie w wysokości 5000 Euro na realizację projektu **Climbing Europe**, którego niniejszy numer biuletynu jest częścią. Celem projektu jest stworzenie bazy informacyjnej

o europejskich oraz polskich (w języku angielskim i polskim) rejonach wspinaczkowych. Stworzona baza będzie systematycznie uzupełniana w internecie. Na projekt **Climbing**

Europe składają się także opisy wydrukowane w niniejszym biuletynie, jednakże przede wszystkim jego podstawą jest baza na CD-ROM-ie oraz aktualnie tworzona jej wersja [www](http://www.uka.pl). Wszystkie podejmowane działania tworzą z UKA aktywne środowisko – Klub, do którego po prostu warto należeć.

Jacek Czabański

wstępniak

Koleżanki i Koledzy,

Przed Wami kolejny, szósty już numer naszego pisemka. Znowu się udało, choć jak co roku – łatwo nie było. Jest to numer specjalny: ukazuje się jednocześnie z okazji 40 – lecia naszego klubu, realizacji projektu Climbing Europe oraz corocznego podsumowania roku z życia UKA. Znajdziecie w numerze teksty poświęcone czasom „zamierzchłym”, w tym jednemu z większych sukcesów w historii UKA – pierwszemu wejściu na himalajskie Hagshu. Planowaliśmy umieścić na łamach BUKI historię naszego klubu, jednakże w miarę przeprowadzanej aktualizacji okazało się, że materiału i pomysłów jest na tyle dużo, iż zaistniała konieczność wydania osobnej publikacji. Tym bardziej, że na spotkaniu jubileuszowym z okazji 40-lecia UKA, nasi starsi koledzy wielokrotnie wspominali o konieczności stworzenia historii „... no, w miarę obiektywnej”. Koledzy – trzymam Was za słowo i liczę na Wasz wkład w wydanie historii UKA. A że warto – nikogo chyba nie muszę przekonywać. Miejmy nadzieję, że stanie się to jeszcze w roku 2004. Na razie załączek tych materiałów zamieszczamy na CD. Znajdziecie też w Biuletynie materiały poświęcone europejskiemu wspinaniu. Jednakże podstawowym wyposażeniem w tej materii jest załączona płyta CD, gdzie dostępne jest omówienie ponad 50 wspinaczkowych rejonów europejskich. Na przyszłe wakacje – w sam raz. Wreszcie jest też biuletyn jak zwykle o nas – o tym, co wydarzyło się w przeciągu ostatniego roku, o tym gdzie byliśmy, co polecamy i jak bawiliśmy się w górach i skałkach... Efektem tego są relacje i opowiadania z różnych części świata, nie tylko tego stricte wspinaczkowego (patrz relacja ze zjazdu PZA), wzbogacone o wspomnienia z ery „Misia na Taborze”. Dodatkowo znajdziecie w BUCIE plakat El Capitana autorstwa MASTER TOPO. Nie pozostaje mi nic innego jak zaprosić Was do lektury. Życzę pogodnego, bezpiecznego i w każdej dziedzinie udanego (nie tylko pod względem sprawnych OS-ów) roku 2004.

Jakub Radziejowski

spis treści



- 3 Od Prezesa – Jacek Czałański
- 3 Wstępniak – Jakub Radziejowski

wspinanie sportowe

- 5 Höllental, najpiękniejsza dolina świata – Jacek Patrzykont
- 9 Dabarski Kukowi – Marek Soszka
- 11 Podkarpcka piaskownica – Magda Badowska, Tomasz Markiewicz
- 15 Warszawskie ścianki
- 17 Sezon skatkowy w UKA'2003

Tatry

- 19 Remont, dzieci i jeziora, czyli debiut czterdziestolatka na Zerwie – Paweł Józefowicz
- 22 Nowości w Tatrach – Maciej Tertelis
- 24 Tatry od XII 2002 do IX 2003 – podsumowanie w UKA

Alpy

- 27 Nasi w Europie
- 29 Dolomity. Czy marzenie każdego wspinacza? – Krzysztof Sadlej
- 34 Krótka nota na temat niewielkiego wyjazdu – Maciej Bazała
- 35 Grand Capucin – Jakub Radziejowski
- 38 Co nowego RHM-ie – Anna Leonowicz
- 39 Granią na Matterhorn – Wojtek Ryczer
- 42 Wycieczka po Szwajcarii – Marek Soszka

góry świata

- 44 Bhagirathi IV
- 45 Ama Dablam, zrealizowane marzenie – Tomasz Burzyński
- 50 Władca Duchów – Wojtek Ryczer
- 54 Jak wejść na najwyższy szczyt Afryki? – Marcin Malka
- 60 Red Rocks. Wiosenna Wycieczka Zimową Porą – Małgorzata Czeczot, Marek Wierzbowski
- 62 Piorunujące Zetknięcie Dupą z Ziemi Kupą – Krzysztof Belczyński

40 lat UKA

- 64 Czerdzięście lat minęło..., czyli Jubileusz UKA – Jakub Radziejowski
- 65 Misiowe pieszcoty – Maciej Tertelis
- 68 Hagshu – Paweł Józefowicz
- 72 Obiecałem Kubie... – Jacek Patrzykont

ski alpinizm

- 74 „Wyrpy bywają różne...”. Kilka propozycji na narciarskie tury po Tatrach Wysokich – Krzysztof Sadlej
- 76 Zawody im. Józefa Oppenheima. Puchar Polski w Narciarstwie Wysokogórskim – Małgorzata Czeczot

jaskinie

- 77 Eksploracja jaskiń w Hagengebirge 2003 – Marek Wierzbowski

100 lat PZA

- 79 Był zjazd, nie ma chatki i co dalej? – Jacek Czałański

UKA

- 82 Nagrody UKA
- 82 Nowe ringi na Bibliotece
- 83 O nas

Biuletyn Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego

„BUKA” nr 6, styczeń 2004; ISSN 1730-0754

Redakcja: Jakub Radziejowski (czuwanie nad ogółem), Miro Milewski (wersja www), Ergo BTL (skład i tamanie)

„Wyrażone w publikacji poglądy i opinie są wyłącznie poglądami UKA, bądź autorów i w żaden sposób nie odzwierciedlają oficjalnego stanowiska Unii Europejskiej”

Publikacja przygotowana i wydana dzięki pomocy finansowej Unii Europejskiej.



Zdjęcie na okładce: Maciej Ciesielski na drodze Bonattiego (Grand Capucin), fot. Jakub Radziejowski

Höllental najpiękniejsza dolina świata



Jacek Patrzykont

Pierwszy raz zawitałem do Austrii w 1992 roku. Chciałem jechać w jakieś góry, powspinać się dla siebie. Trochę już miałem dość wspinania kursowego. Dostałem pozwolenie od żony, namówiłem Wojtka Ślifirczuka, zmieniłem olej w wiernym Citroenie Visa i już byłem gotowy do wyjazdu. Spotkany przygodnie na ulicy „Pafnuc” (Piotrek Panufnik) zaproponował mi, żeby jechać tam gdzie on. Do doliny o nazwie Höllental. Wspinanie miało być wspaniałe, od skałkowego do górskiego. Dodatkowym plusem tego miejsca, miała być możliwość legalnego, bezpłatnego biwakowania z dostępem do sanitariatów. Same zalety, żadnych wad. W ostatniej chwili zabrał się z nami śp. Grzesiek Małek, któremu nie wypalił jakiś wyjazd wakacyjny i chciał pojechać gdziekolwiek, by nie siedzieć w Warszawie. Wzięliśmy go chętnie, cena paliwa rozkładała się na trzech.

Pojechaliśmy przez Czechy, potem od północy dotarliśmy do Wiednia, gdzie mieliśmy podany adres księgarni górskiej. Nabyliśmy mapę i przewodnik. W sąsiednim sklepie wspinaczkowym pooglądaliśmy sprzęt i ruszyliśmy dalej. Do doliny zajęliśmy się po południu.

Wjeżdżając do niej, wspinaczowi głowa zaczyna kręcić się dookoła. Skały mniejsze i większe są wszędzie. Głębiej zza drzew prześwitują duże ściany. Ze znalezieniem miejsca biwakowania nie było kłopotu. Kaiserbrunn składa się z hotelika, kapliczki i parkingo-kempingu z kibelkiem. Rozstawiliśmy namiot, zjedliśmy syty obiad i już mieliśmy udać się na rekonesans, kiedy nadciągnęli Piotrek Górka z kolegą. Dzięki nim przejechaliśmy całą dolinę, zatrzymując się w zatoczkach i parkingach, z których zaczynają się podejścia pod najfajniejsze rejon i ściany. Przez prawie tydzień wspinaliśmy się



Wspinanie w Höllental fot. Jacek Patrzykont

na drogach o różnych trudnościach (od IV do VII-) i różnej długości (od czterech do kilkunastu wyciągów). Faktycznie było wspaniale, pogoda jak drut, forma rosta z dnia na dzień. A jak już urosła – musieliśmy, jak to zwykle bywa, jechać do domu. Tak wyglądał mój pierwszy wyjazd do Höllentalu. Teraz trochę informacji, ważnych dla wspinacza i turysty.

Dojazd: Wersja samochodowa

Samochodem do Wiednia dowolnie, mijając w pewnych odległościach Rzędkowiec, Kobylany i Sulov. Za Wiedniem jadąc autostradą na Gratz po około 40 kilometrach (za zjazdami na Wr. Neustadt), skręcamy na autostradę biegnącą w prawo, za znakami Semmering, Leoben, Bruck. Po kilkunastu kilometrach skręcamy do miasteczka Glognitz. Z niego, kierując się za zielonymi strzałkami z napisem „Höllental”, przez miasteczka Reichenau i Hirschwang dojeżdżamy do Keiserbrunn.

Wersja lotnicza: Samolotem jest prościej. Z lotniska w Wiedniu zamawiamy taksówkę do Keiserbrunn.

5

wspinanie sportowe



fol. Jacek Patrzykont

Miejsce: Jest to rejon zdecydowanie bardziej górski niż skałkowy. Tylko nieliczne ściany osiągamy krótkim marszem. Pod najdalsze rejony podchodzi się nawet do dwóch godzin. Podejścia liczymy oczywiście od parkingu, na który dojeżdżamy z Keiserbrunn – czyli miejsca biwaku.

Najlepszym przewodnikiem po rejonie jest napisany (wydaje się ręcznie!) przez Thomasa Behma *Kletterführer Höllental Rax und Schneeberg*. Aktualnie piąte wydanie. Opisuje 800 dróg w pięćdziesięciu pięciu rejonach, na turniach lub ścianach, o trudnościach od sytych dwójek do prostych dziesiątek minus. Czytelnie narysowane podejścia i równie czytelne i dokładne schematy. Można nabyć też *Kletteratlas Österreich Ost* Kurta Schala, który jest wyborem dróg z dziewięciu rejonów Austrii wschodniej, od skałkowych, po zdecydowanie górskie. Ilość opisanych tu dróg z rejonu Rax i Schneeberg wystarczy z pewnością na kilka wizyt.

Dla osób, które śpią w dolinie, a wspinają się w pobliskich rejonach skałkowych (np. Adlitzgraben), najlepszy jest przewodnik Christiana Hackera *Kletterfelsen von Wien bis Semmering*.

Wystarczająco dokładna mapą okolicy jest *Semmering Rax Schneeberg*, wydawnictwa Freytag & Berndt w skali 1:50 000. Wszystkie wymienione przewodniki oraz mapę można kupić w sklepie sportowym w Glognitz (przy rynku).

Przewodnik po Höllentalu dostępny jest np. w stacji kolejki linowej w Hirschwang, lub w schronisku Weichtal położonym przy zosie w dolinie.

Rejon Höllental składa się z dwu pasm Alp Wschodnich: Raxalpe z najwyższym szczytem Heukuppe (2007 m) oraz pasmo Schneeberg z najwyższym wierzchołkiem Klosterwappen (2076 m). Miejsce biwaku, czyli Keiserbrunn położone jest na wysokości 521 metrów. Na szczęście, większość ścian leży bardzo nisko, na zboczach szczytów obu pasm.

Rodzaj skały to oczywiście wapień, szary jak obudowa komputera, a szorstki jak nie wiem co. Jedynie nieliczne standardy mają miejsca lekko wyślizgane. Występują tu wszystkie formacje skalne, jakie tylko sobie zażyczymy: płyty, rysy, filary, kominy, zacięcia i okapy. Oprócz okapów, wszystkie wymienione formacje można znaleźć w różnej skali trudności. Z formacji nietypowych dla polskiego wspinacza znajdziemy w niewielkiej ilości żłobki wodne, zwane tu *wasserrille* (ślady tej ciekawej, typowo wapiennej formacji można zobaczyć na zejściu z Turni Lechwora w Rzędkowicach).

W dużej ilości występują ucha skalne. Na popularnych drogach założone są już przez nie stałe pętle. Część tych pętli pamiętam z wyjazdu w 1992 roku, część jest wymienionych na nowe. Na starszych drogach stałymi punktami asekuracyjnymi są haki, jednakże stopniowo wymienia się je na spity. Na większości dróg standardem staje się ring stanowiskowy. Pod tymi względami widoczne są zmiany każdego roku. Nie sposób nie wspomnieć o najbardziej typowym dla tej okolicy naturalnym punkcie asekuracyjnym – sośnie czarnej. Ponieważ ściany zaczynają się nisko (ok. 600 m n.p.m) sosny mają dobre warunki do wegetacji. Wyrastają nieraz w niewiarygodnie dziwnych miejscach i stanowią prawdziwą podporę wspinacza (np. przy wycofaniu). Na drodze *Richtera* (rejon Stadlwand) jest sosna stanowiąca integralną część wariantu o trudnościach 5+; strach pomyśleć, co będzie, gdy się złamie. Na większość dróg o charakterze górskim należy zabrać kaski i żeby się nie zdziwić – mały zestaw kości. Z kilku rejonów trzeba być przygotowanym na nieprzyjemne zejścia w przepaścistym terenie i przed wyjściem zabrać nie tylko schemat drogi, ale i informacje o zejściu.

Teraz trochę informacji o najpopularniejszych rejonach.

1. **Vordere Stadlwand** – podejście pod najbliższe drogi – 15 minut. Ściana wznosi się po lewej stronie głęboko wciętej dolinki. W ostatnim wydaniu przewodnika jest tu zaznaczonych i opisanych 29 dróg od 2+ do 8-. Schematy są tylko do szesnastu najpopularniejszych. Rejon świetny do rozkręcenia się, łatwe zejścia.



Buška na „Fensterplatte” 5+.

Rejon Vodere Stadlwand

fot. Wojtek Ryczer



fot. Jacek Patrzykont

Wysokość ściany nie przekracza 150 metrów. Można spokojnie zrobić kilka dróg w ciągu dnia. Wystawa południowa sugeruje w słoneczne dni działalność poranną lub popołudniową. W soboty i niedzielę można spodziewać się tłoku na łatwiejszych drogach.

2. **Stadlwand** – jeden z najładniejszych rejonów. Do wyboru 14 dróg o długości od 60 do 500 (!!!) metrów. Kilka starych klasyków (*Richterweg*) i kilka nowych sportowych, dobrze obitych dróg. Podejście ok. 40 minut – 1 godzina; zejścia w zależności od dróg: 1-1,5 godziny. Trudności od 4- do 8+.



W ścianie Preiner fot. Jacek Patrzykont

3. **Grossofen** – duża ściana po prawej stronie na początku doliny. Podejście około 30-40 minut; 39 dróg od 15 do 340 metrów, o trudnościach od 3 do 8. Każdy znajdzie coś dla siebie. Dużo krótkich i średniej długości dróg sportowych. Nieskomplikowane zejścia, lub zjazdy drogami.

4. **Wachthüttelturm** – ściana o najkrótszym podejściu (od samochodu 6 i pół minuty) i sportowym charakterze. Z tego też powodu panuje na niej duży ruch. Drogi o długości od 15 do 140 metrów, występują w ilości 66 sztuk. Jest tylko kilka łatwych dróg; wspinanie zaczyna się tu od szóstki w górę. Przeważają drogi o trudnościach 7 i 8, jest też sporo dziewczątek. Po skończonej drodze zjazdu lub łatwe zejście.

5. **Blechmauer** – sztandarowa ściana doliny i całego rejonu. Klasyk *Blechmauernverschneidung* to droga z 1932 roku o długości 230 metrów i szóstkowych trudnościach; obowiązkowo do zaliczenia. Przepiękne wspinanie, duża ekspozycja. Ciągi trudności można zwiększać na dole i na górze licznymi wariantami. Jest to najłatwiejsza droga na głównej ścianie. Jeśli nie czujemy się pewnie na siódmkach, a jeszcze lepiej na ósemkach, możemy spokojnie udać się w inny rejon.

6. **Preiner Wand** i **Lechnermauern** – to dwa rejonu położone pod wierzchołkami masywu Rax. Pod ścianą musimy już podchodzić zupełnie „górsko”, czyli około półtorej, dwie godziny. Najlepszym sposobem dotarcia do nich jest dojeżdżanie samochodem przez miejscowość Prein na przełęcz Preiner Gscheid (1070 m).

7

wspinanie sportowe



Buska na drugim wyciągu „Kopfgeld” 7- na Bereich Kopfgeld, rejon Grossofen-Ubersicht fot. Wojtek Ryczer

Na parkingu należy zostawić samochód i przez schronisko Waxrigel (dalej żółtym szlakiem) dotrzeć do schroniska Neue Seehütte. Stąd pod ścianę szczytu Prein mamy 10 minut, a pod Lechnermauern niestety jeszcze około 40 minut.

Rejon **Preiner Wand** (topo: patrz kolorowa wkładka) oferuje 30 dróg, z czego kilkanaście ma charakter sportowy, pozostałe oferują wspinanie górskie. Prawa część głównej ściany to wspinanie w super płycie. Są tu drogi dla każdego! Większość jest świeżo ubezpieczona.

Lechnermauern to najwybitniejsza ściana w głębi doliny. Choć w dolnej części jest mały rejon skałkowy, to nie dla niego tu przychodzimy.

Ściana oferuje 24 dróg, od 140 do 300 metrów.

Standardami, ale i hitami ściany są drogi

Barthrisse (6+, 270 m) oraz *Kowelkapfeiler* (6+, 300 m). Pozostałe drogi w głównym

spiętrzeniu ściany to ciągi siódemek, ósemek i dziewiątek. Lewa część ściany (za wyraźnym przetłumieniem), oferuje siedem dróg od 140 do 260 metrów o niewygórowanych trudnościach (4, 4+, 5 i 6-). Niestety skała jest trochę gorszej jakości, ale drogi mimo to są sympatyczne.

Zejscia ze ścian są bardzo łatwe, bo wychodzi się na szlaki turystyczne wiodące grzbietami i nimi następuje szybki powrót, pod warunkiem,

że pójdziemy w dobrą stronę, a jak wiadomo błędnie jest rzeczą ludzką.

Opisałem kilka z kilkudziesięciu rejonów; te, w których byłem osobiście i które mogę polecić. **Wspaniałego** wspinania jest w całej okolicy na lata.

Okolica jest też rewelacyjnym celem dla miłośników pieszych wycieczek. Szlaki są śmiałko poprowadzone przez skaliste i przepaściste stoki oraz przez kilka ciekawych wąwozów. Oferują wspaniałe widoki po wydosłaniu się ponad granice lasu. Płynąca dnem doliny rzeka Schwarza, przy odpowiednim stanie wody jest rajem dla pontoniarzy i kajakarzy. Kto nie lubi zimnych kąpiei w rzece, może pojechać na basen do nieodległego miasteczka Glognitz; tam też jest jedyny w okolicy sklep ze sprzętem wspinaczkowym. W samym Keiserbrunn zwiedzić można stare sztolnie i urządzenia wodociągowe. Jest to jedno z ujęć wody dla okolic Wiednia.

Ostatnio byłem przejazdem w Austrii i nocowałem w Keiserbrunn. Niestety nie było to budujące przeżycie. Miejsce zrobiło się popularne i ostatnio wałęsa tu tłumy wspinaczy (i słusznie). Głównymi lokatorami są Polacy, Czesi, Węgrzy. Niestety dwie pierwsze nacje wyróżniają się negatywnie hałaśliwością (zwłaszcza po piwie), zupełnym brakiem kultury, jeśli chodzi o korzystanie ze wspólnego kibelfka i umywalk. Paru cymbałów chciało sprawiać wrażenie, że najlepiej jest spać w toalecie, a przynajmniej słuchać odgłosów z niej dobiegających.

Wcale bym się nie zdziwił gdyby Austriacy zlikwidowali możliwość noclegów w tym miejscu. Spieszmy się zatem.



Widok z przełęczy Dabarska Kosa na: Rujcin Kuk,
Kuk Celina fot. Marek Soszka

Dabarski Kukowi



Marek Soszka

Tydzień czasu wyrwanego rodzinie i pracy to akurat tyle, żeby pojechać w rejon gwarantujący piękną pogodę i nie nastroczający problemów logistycznych. Jeżeli do tego zażyczymy sobie dróg wielowyciągowych, to Paklenica wydaje się być miejscem idealnym. Wylądowaliśmy tam w czerwcu 2003 roku. Po kilku dniach wspinania byliśmy wykończeni przez upał i zde gustowani ciężkim sprzętem budowlanym pracującym pod ścianami (tłumy wspinacze to raczej stały element krajobrazu). W poszukiwaniu nowych, lepszych wrażeń odszukaliśmy Dabarski Kukowi. Mówię „odszukaliśmy”, bo jadąc szutrowymi drogami w górach Velebit czuliśmy się jak odkrywcy. Ten rejon polecieli mi kiedyś wspinacze z Zagrzebia i jestem im za to naprawdę wdzięczny. Od początku wrażenia były jak najlepsze: po pierwsze chłodniej, bo to jednak góry, a po drugie zupełnie pusto. Zatrzymaliśmy się na przełęczy Dabarska Kosa. Stąd po raz pierwszy

zobaczyliśmy białe – szare ściany wyrastające wśród porośniętych liściastym lasem gór.

Czasu do wieczora pozostało niewiele, więc po ustaleniu kto, co, gdzie i z kim, pognaliśmy z Darkiem pod ścianę Rujcin Kuk. Wybraliśmy drogę *L'orecchio della Balena* z ominięciem dwóch pierwszych wyciągów ze względu na późną porę. Pierwszy wyciąg 6b poprowadzony przez Darka, to kluczenie w lekko poлогіей płycie w poszukiwaniu pęknięć i krawęddek. To było piękne wspinanie wymagające ciągłego myślenia i rozglądania się, a „bieg” prosto do następnego spita nie wchodził w grę. Drugi wyciąg, o tych samych trudnościach, zaczynał się pionowymi „wasserrilkami”, które dostarczyły mi sporych emocji. Dalej było już łatwiej.

W tym czasie Beata i Grzesiek bawili się na obitej ścianie przy drodze, oferującej rajbungi i „wasserrilki” o trudnościach 5–6. Ledwo zdążyliśmy wrócić do samochodu, przyszła burza, która w połączeniu z winem, spaghetti przyrządzonym w samochodzie i wrażeniami kończącego się dnia wprawiła nas w doskonały nastrój.

Następnego dnia Darek i Grzesiek zrobili jeszcze jedną drogę na Rujcin Kuk o intrygującej nazwie *Velebit express* (6a), której jednak daleko było do urody *L'orecchio*. My z Beata wybraliśmy *Vamos a la playa* (140 m, miejsce 6b) wartą polecenia ze względu

9



Visibaba fot. Marek Soszka

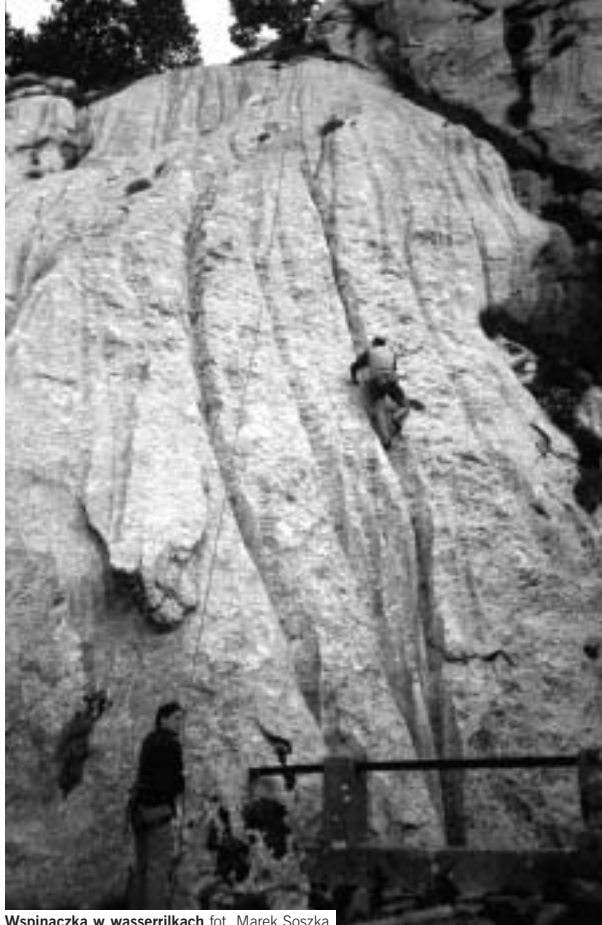
na piękne widoki. Tak zakończyła się nasza krótka przygoda z tym rejonem, a następny poranek przywitał nas w Krakowie. Nie wystarczyło czasu na zmierzenie się z trudniejszymi i ciekawszymi drogami, choćby na Baćić Kuk, najwyższej górze w okolicy.

Dabarski Kukowi warto polecić wspinaczom bez wielkich ambicji sportowych, ale ceniącym piękno otoczenia i spokój, czyli typom romantyczno-refleksyjnym oraz posiadającym żytkę eksploratorską.

Dojazd: Jadąc od nadmorskiego miasta Karlobag (50 km na zachód od Paklenicy) w stronę Gospicia, po 10 km serpentyn skręcamy w lewo kierując się na Ledenik. Przed wsią odbijamy w szutrową drogę w prawo i po 6,5 km osiągamy przełęcz Dabarska Kosa, skąd widać większość ścian i schronisko.

Noclegi: Schronisko wspinaczkowe otwarte jest latem w weekendy (było zamknięte). Można biwakować na polanie pod Baćić Kuk. Wodę trzeba przywieźć ze sobą. My spaliśmy w małym zatoczce przy drodze.

Wspinanie: Rejon tworzą turnie z białego i szarego wapienia o wysokości 100 – 150 m, rozrzucone na porośniętych lasem wzgórzach. Podejście od samochodu trwa około 15 minut. Ściany mają wystawę południową i południowo – wschodnią. Drogi opisane w przewodniku, przeważnie całkowicie ubezpieczone, oferują wspinanie w płytach, rysach i wasserrilkach



Wspinaczka w wasserrilkach fot. Marek Soszka

o trudnościach od 5 do 6c+. Jest wiele dróg ubezpieczonych spitami (nowe) i hakami (starsze) nie zamieszczonych w przewodniku.

Przewodnik: Jedyne znany mi przewodnik Borisa Čujića *Croatia* opisuje większość rejonów wspinaczkowych kraju. Dabarski Kukowi jest potraktowany bardzo wybiórczo, uwzględniono tylko drogi autorstwa Paulo Pezzolato (od 1997 r.) i Borisa Čujića (od 1999 r.). Prawdopodobnie więcej informacji można uzyskać na miejscu – w schronisku i od wspinaczy.

Kiedy: Przewodnik mówi: od wiosny do jesieni. Latem można wspiąć się w stołcu.

Warto wspomnieć, że niedaleko, nad wsią Baške Oštarije wznosi się mur skalny **Ljubički Kuk** o wysokości 150m z drogami o trudnościach 5c – 6c+, opisany w tym samym przewodniku.

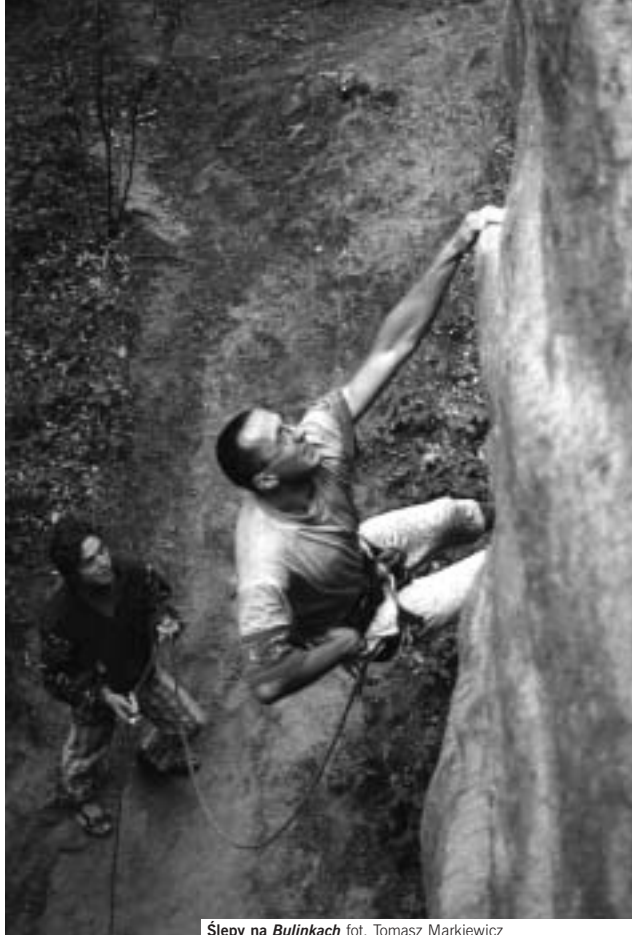
Podkarpacka piaskownica



Tomasz „Salvador” Markiewicz
Magda „Dziabka” Badowska

Kiedy pierwszy raz jechałam na wspinanie w podkarpackich piachach, w głowie hulały mi strzępy myśli – obłaki, gładka skała, ringi co dwadzieścia metrów. Stojąc pod ścianą, którą za chwile miałam przełoić, po głowie chodziło mi tylko jedno pytanie – gdzie tu są chwyty?! Okolice Krosna to jeden z największych rejonów występowania skałek piaskowcowych na Podkarpaciu. Zupełnie niesłusznie, rejon ten jest praktycznie nieznanym wśród polskich wspinaczy. A warto go poznać, oferuje wręcz nieograniczone możliwości pięknego wspinania. Nie ma tu co prawda takiej ilości dróg jak na Jurze, ale z pewnością jest to raj dla boulderowców. Setki niezbyt wysokich głazów stwarzają wciąż ogromne możliwości eksploracyjne, nawet dla wspinaczkowej ekstraklasy. No i co więcej – nie ma tu takiego tłoku, jak w innych ogródkach wspinaczkowych.

Skałki Czarnorzeckie to nie tylko najbliższe okolice średniowiecznego zamku Kamieniec w Odrzykoniu pod Krosnem. To także rezerwat skalny Prządk, grupa Wielbłąda i Sokoli Grzbiet oraz niezliczone rejonu boulderowe. Prządk położony są tuż przy zrosie Krosno – Rzeszów w miejscowości Czarnorzecki. Na wschód od rezerwatu biegnie droga przez las do skalnego muru zwanego grupą Wielbłąda, a stamtąd dostać się można do pobliskich skałek Sokolego Grzbietu. U stóp wszystkich tych grup skalnych, dochodzących do 20–25 metrów wysokości, leżą rozrzucone niewysokie głązy, stanowiące pole do popisu dla eksploratorów małych form. Ciekawe skałki małego formatu znajdują się także w Woli Komborskiej – dziesięć kilometrów na północny wschód od Krosna, na przełomie Marcinka – tuż przy czarnym szlaku z Przadek do zamku Kamieniec oraz w tzw. skałkach Jagiellońskich obok miejscowości Łączki Jagiellońskie. Dodatkowo,



Ślepy na Bulinkach fot. Tomasz Markiewicz

interesujące wspinanie z liną oferują niewielkie ogródki skalne w okolicach Jasła – w Żurowej i Krajowicach oraz nieco dalej, w okolicy Leska na Kamieniu Leskim.

Podkarpackie piachy w charakterze rejonu wspinaczkowego zaistniały na dobre w latach 80-tych i 90-tych. W owych czasach głównym ogródkiem wspinaczkowym był piękny rezerwat skalny Prządk, oferujący ogromne możliwości wspinania z liną. Powstało tam wiele dróg o zróżnicowanym stopniu trudności i niespotykanej urodzie. Niestety, w roku 1995, w wyniku konfliktu z władzami rezerwatu, wszystkie ringi zostały usunięte, a wspinacze chcąc nie chcąc skupili się na eksploracji Kamieńca, grupy Wielbłąda oraz skał Sokolego Grzbietu. Wysokość skałek Czarnorzeckich dochodzi miejscami do 20–25 metrów, a same skały mają często formę odosobnionych ostańców oraz skalnych wychodni.

Najbardziej przydatną w tym rejonie umiejętnością wspinaczkową jest dobra praca nóg. Wspinacz o „tępej” bule, ale bez



Maciek Bedrejczuk na drodze Gargamel (VI.4), Krowia Turnia fot. Tomasz Markiewicz

techniki nie ma tu czego szukać! Bywalec Jury przyjechawszy w piachy może być mocno zdziwiony, ponieważ główną zasadą wspinania jest – „rece i nogi na tarcie!” A tarcie jest znakomite i prawdą jest twierdzenie, że „jakby się buta nie postawiło, to i tak trzyma”. Chwyty to najczęściej oblaki, z których ręka nie zjeżdża tylko dzięki specyficznym właściwościom piaskowca, trochę dziurek lub tnących krawądek.

Drugi są najczęściej obite z wykorzystaniem ringów wklejanych lub wbijanych na ołowiu. Odległości między ringami są niewielkie – w przeciwieństwie do większości rejonów piaskowcowych. Węzółki i friendy spokojnie można zostawić w domu. Obecnie najintensywniej odwiedzanym rejonem są okolice zamku Kamieniec, czyli grupa skał potocznie zwana Kamieńcem. Z racji położenia tuż obok jednej z największych atrakcji Podkarpacia – średniowiecznych ruin zamku Kamieniec – jest to najbardziej znany i jednocześnie najlepiej zagospodarowany teren.

Najbardziej obleganą skałą jest Krowia Turnia, w pogodne dni obwieszona wędkami jak Turnia Lechwora w Rzędkowicach. Innymi skałkami tego rejonu są Kursowe I, II i III, Bąbel, Słoneczna Turnia i Eigerek. Obite drogi znajdują się także na skałach Zamku – na Narożnej Baszcie, trzech Zamczyskach i kilku pomniejszych. Jedyną skałą z tej grupy, na której ewentualnie wolno się wspiąć, jest Narożna Baszta. Na innych lepiej się nie wspiąć gdyż rejon wokół zamku jest w rękach prywatnych a dzierżawca terenu tego nie akceptuje.

Jakie drogi warto przejść w Kamieńcu? Klasykiem jest na pewno **Krowia Droga** – piątkowa, piękna rysa o tatrzańskim charakterze. Na Krowiej znajdują się także: ładny **Filar Jaworskiego** VI z wariantem **Rozcieńczalnik Powietrza** VI.2, **Prawa Płyta** VI+ z wariantem prostującym VI.2+ oraz jedna z najnowszych dróg – **Ogrody Semiramidy** VI.2+. Warto spróbować swoich sił na rajbunku – na Kursowej II – **Teodor** VI+ i trudniejszy **Dragon** VI.2+. Na Eigerku ładne drogi to **Muminki** VI.1+ i **Bulinki** VI.1. Z trudniejszych dróg można polecić **Dywagacje Przedwyborcze** VI.3 na Słonecznej Turni, na Krowiej **Hiberejczyka** VI.3+/4, **Mniejsze Zło** VI.3+/4 (z projektem przedłużenia wycenianym wstępnie na VI.6+), oraz **Małego Gladiatora** VI.4. Póki co, najtrudniejszymi drogami Kamieńca są **Grunwald** 1410 VI.5 na Słonecznej Turni i **Thorin Dębowa Tarcza** na Bąblu VI.4+. Dodatkowo w okolicy Kamieńca oraz rezerwatu jest mnóstwo boulderów i praktycznie wszystkie są podpisane.

Aby uniknąć obtartych kolan i łokci, warto zakładać długie spodnie i raczej zrezygnować z ramiączek i nągich torsów. Podstawowym narzędziem „pracy” jest szczotka – mała i duża. Warto zabrać crashpad – niektóre bouldery bywają wysokie. Gospodarzem terenu, na którym położony jest Kamieniec jest kierownik karczmy „U Jana”. Od dobrych układów z nim zależy, czy będziemy mogli się tam bez problemu wspiąć w przyszłości.

Zatem zachowujmy się na tym terenie jak we własnym domu – nie śmiećmy, nie rozpalajmy ognisk gdzie popadnie, nie starajmy się nocować pod skałami. Pamiętajmy także, że piaskowiec jest skałą mało odporną, zatem nie należy osadzać tam kości, wspiąć się na mokrej skale ani używać drucianych szczotek do czyszczenia. Ładnym gestem jest oczyszczenie skały z pozostawionej przez siebie magnezji.

Informacje praktyczne:

Dojazd: Najwięcej połączeń i kolejowych i autobusowych z całym krajem ma Rzeszów. Do Krosna jeżdżą autobusy przez Strzyżów, Lutczę oraz Brzozów (z przesiadką w Brzozowie). Najszybciej



Maciek Bedrejczuk i droga *Kryśka na Tygryśka* (VI.4), *Eigerek* fot. Tomasz Markiewicz

jednak dojeżdża się prywatną linią „Marcel” spod dworca w Rzeszowie. Kursuje cztery – pięć razy na dzień, jazda trwa godzinę, bilet kosztuje 7 złotych. Można dojechać także linią kolejową wiodącą przez Strzyżów i Jasło, ale przejazd nią trwa około trzech godzin i najczęściej odbywa się z przesiadką w Jasle. Z dworca w Krośnie jeżdżą autobusy PKS do Czarńorzek i Odrzykoniu – Podzamcze, kursujące zgodnie z potrzebami miejscowej ludności (odjazd wcześnie rano, powrót po południu). Polecamy stronę PKS Krosno www.pks.krosno.net.pl

Najlepszym środkiem transportu jest oczywiście własny samochód. Jadąc od Rzeszowa najlepiej wybrać trasę przez Niebylec i Lutczę. W Czarńorzekach należy skrócić w prawo do niedalekiego już zamku. Kilometr za Czarńorzekami, po prawej stronie głównej drogi, jest parking przy rezerwacie Prządki. Dla wytrwałych istnieje opcja dotarcia do Kamieńca na piechotę – zielonym szlakiem z Krosna. Szlak prowadzi częściowo polnymi drogami a częściowo asfaltem i polecamy go raczej jako awaryjną drogę powrotu.

Noclegi: Tuż obok zamku znajduje się pole namiotowe należące do właścicieli karczmy „U Jana”. Kilkadziesiąt metrów od zamkowych skał można przenocować w gospodarstwie agroturystycznym „Borówka”. Namioty pozwalają także rozbić właści-



Krowia Droga (V) na Krowiej Turni, klasyk Kamieńca fot. Leszek Bedrejczuk

ciele chałupki tuż obok zamku. Niedaleko grupy Wielbłąda jest małe pole namiotowe, należące do właścicieli rancza koni huculskich. Poza tym w Odrzykoniu i Czarńorzekach noclegi oferuje jeszcze kilka gospodarstw agroturystycznych.

Wyżywienie: Sklepy spożywcze: w Odrzykoniu tuż przy zamku i w Czarńorzekach przy szosie Krosno – Rzeszów. Kiosk spożywczy na terenie rezerwatu, oferujący słodczyce i napoje, nieczynny w okresie jesienno – zimowym.

Bary: tuż przy zamku karczma „U Jana”, oferująca piwo i jadło z grilla. Zajazd „U Cześnika” przy szosie Krosno – Rzeszów, oddalony jednak od Czarńorzek o kilka kilometrów.

Szpej: Należy zabrać komplet ekspresów – drogi są obite spitami i ringami. Lina pięćdziesięciometrowa wystarczy. Przyda się przyrząd zjazdowy – ewakuacja ze skałki to najczęściej zjazd „na sztywno” z ringa.



Maciek Bedrejczuk i droga *Kryśka na Tygryśka* (VI.4), Eigerek fot. Tomek Markiewicz



fot. Tomek Markiewicz

Przewodniki: Biblią wspinaczy podkarpackich był papierowy przewodnik autorstwa Jacka Czyża, obecnie już mocno zdezaktualizowany i bardzo trudno dostępny. Najpełniejsze i najbardziej aktualne topo zostało opublikowane w 19 numerze „Magazynu Górskiego”, jako zapowiedź przewodnika wspinaczkowego. W „Magazynie Górskim” nr 13-14 znajduje się także topo Strzelnicy (grupa Wielbłąda) i Sokolego Grzbietu. Natomiast „Góry” w numerze 54-55 opublikowały schematyczne i raczej już nieaktualne topo Krowiej Turni.

Najwięcej świeżych informacji znajduje się w Internecie. Autorzy strony przadki.strefa.pl proponują boulderowy i wspinaczkowy przewodnik okolic Czarnorzek, opracowany w formacie pdf.

Inne atrakcje na dzień restowy:

- Zwiedzanie Krosna i okolic
- Zwiedzanie zamku Kamieniec

- Wycieczka na Królewską Górę – można spróbować poszukać jaskiń szczelinowych
- Ścieżki przyrodnicze w okolicach Kamieńca
- Strzelnica w Czarnorzekach
- Jazda na koniach huculskich w Czarnorzekach
- Zwiedzanie kopalni ropy w Węglówce – pracują tam jeszcze urządzenia z przełomu XIX i XX w.

Życzymy miłego wspinania w piachach.

Magda „Dziabka” Badowska

Tomek „Salvador” Markiewicz

PS. Przy pracy nad artykułem pomagali nam Jacek „Jajo” Trzemżański i Tomek „Pozzie” Poznański. Serdecznie dziękujemy! W części praktycznej wykorzystaliśmy materiały z serwisu przadki.strefa.pl. Dziękujemy także!



Ściana na Nowowiejskiej arch. „W Pionie”



Wspinanie na Obozowej arch Marcin Kantecki

Warszawskie ścianki



Ściana na Nowowiejskiej

Centrum Wspinania „W Pionie” mieści się w OSiR W-wa Ochota na ulicy Nowowiejskiej 37a (przy Liceum im. Staszica).

Parametry:

Wysokość ściany – 11 m w najwyższym punkcie, szerokość około 13 m;

10 torów wędkowych,

7 torów do wspinaczki z dolną asekuracją.

Obecność instruktora w pełnym wymiarze godzin.

Możliwość przeszkolenia na miejscu dla osób początkujących (10 zł).

Wejściówka 10 zł. Sprzęt do wspinania (z wyjątkiem butów) w cenie wejściówki.

Godziny otwarcia:

pn. 12-21; wt. 12-19.30; śr. 12.30-21;

czw. 14-21; pt. 12-22; sob. 12-22; ndz. 12-22.

Nauka wspinania:

Kursy wspinania na sztucznej ścianie dla początkujących (180 zł);

Akademia wspinania (wspinaczka dla dzieci i młodzieży);

Indywidualne lekcje techniki wspinania dla młodzieży i dorosłych;

Wf dla studentów Politechniki Warszawskiej.

Imprezy:

Lato i Zima w Mieście (nieodpłatna wspinaczka dla dzieci),

Zawody wspinaczkowe o Puchar Burmistrza Ochoty,

Festiwal Filmów Sportów Ekstremalnych.

Info: tel.: (0 22) 629 44 72; 0 605 217 912,

www.wpionie.pl

„OnSight“ Centrum Wspinaczkowe zaprasza:

– około 400m² powierzchni wspinaczkowej,

– wysokość max 13,8 m,

– różnorodne drogi wspinaczkowe: sklejka, rzeźba „Monolit”, rysy!!!,

– możliwość prowadzenia 23 niezależnych linii dróg,

– zawsze co najmniej 10 wędek,

– średnio, około 50 oznaczonych dróg wspinaczkowych o różnym stopniu trudności (od IV do VI.5+);

– dwa panele boulderowe: 30m² – 300 chwytów,

– na miejscu szkolenia i treningi, szkółka dla dzieci itp.

– zawody rangi Pucharu Polski Juniorów;

Otwarte codziennie w godzinach: 10-22, niedziela: 10-20;

Wstęp od 10 PLN, karty, abonamenty itp.

Szczegóły na miejscu lub na www.onsight.com.pl

Warszawa, ul. Obozowa 60, Hala Sportowa Koło,

Tel. 0 601 824 843

Ściana na Siennickiej

Zapraszamy na jedną z pierwszych, ogólnodostępnych ścian wspinaczkowych w Warszawie.

15

wspinanie sportowe



Łatwa ścianka do wędkowania na Siennickiej
fot. Jacek Patrzykont



Przewieszony panel na Siennickiej
fot. Jacek Patrzykont

Parametry:

Wysokość – 9 m

Powierzchnia – 230 m²

Ilość logicznych dróg wspinaczkowych – 16

Ilość nielogicznych dróg wspinaczkowych – dowolna

Ściana panelowa – łatwiejsza i ściana ze sklejki – przewieszona; jest też niewielki panel ze sporym dachem do boulderingu

Osoby bez uprawnień, samotne lub małoletnie zapraszamy w godzinach pracy instruktora.

pon. 17-19; wt. 16-18; śr. 17-19; czw. 16-18;

pt. 17-19; sob. 10-12; niedz. 10-12

Ściana wyposażona jest w komplet ekspresów. Na miejscu można pożyczyć uprząż, linę dynamiczną, przyrządy do asekuracji.

Adres, dojazd i ceny:

Ośrodek Sportu i Rekreacji Dzielnicy Praga Południe ul Siennicka 40
Recepcja tel. 870 13 60.

Dojazd komunikacją miejską – autobusem nr 102: przystanek KS Orzeł, autobusem nr 188 (pierwszy przystanek na ul. Dwernickiego).
Wszystkimi tramwajami jadącymi ul. Grochowską – wysiadamy przystanek przed Rondem Wiatraczna.

Dla osób zmotoryzowanych jest dostępny bezpłatny parking.

Wstęp na ścianę dla osób dorosłych kosztuje 10 zł

Dzieci i młodzież szkolna – 8 zł

Wypożyczenie uprząży – 2 zł

Ściana czynna jest w godzinach 7.00-22.00

W tych godzinach mogą wejść osoby:

1. Z uprawnieniami wspinaczkowymi
2. Po kursie skałkowym, z jedną osobą bez uprawnień.
3. Po kursie górskim, z dwiema osobami bez uprawnień.
4. Osoby boulderingujące mogą wchodzić bez uprawnień.

Zaświadczenia o ukończonych kursach pokazujemy tylko za pierwszym razem!!!

Sezon skałkowy 2003 w UKA

Jakub Radziejowski

O ile w przeciągu kilku ostatnich lat w dziedzinie wspinania sportowego nie było przejść znaczących, o tyle ostatni sezon przyniósł naprawdę sporo ciekawego. Dzięki udanym „transferom” wzbogaciliśmy się o dzielnych zawodników i wspinaczy skałkowych (Eliza i Romek). Wśród przejść skalnych absolutnym hitem jest poprowadzenie przez Elizę Kubarską *Udręki i Ekstazy* na Gołębniku. Przejście w stylu RP drogi VI.5+ daje jej miejsce we wciąż dość wąskiej elicie polskiego kobiecego wspinania. Jeżeli dodamy do tego trzecie miejsce Elizy w zawodach boulderych w Łodzi i kilka dróg do VI.3+ (OS) to sezon można zaliczyć do bardzo udanych.

Z kolei Romek Główka (7c RP) skupił się w tym roku na wspinaniu sportowym i trzeba przyznać, że z sukcesami. Prawie zawsze znajdował się w czołówce (też w zawodach rangi Mistrzostw Polski i Pucharu Polski), a czterokrotnie stawał na podium. Na razie Romek nie zdecydował się na specjalizację (wspina się zarówno na trudność, na czas jak i startuje w zawodach boulderych), ale kiedy już się zdecyduje to...

Poza tym poziom wspinania skałkowego wyraźnie się w klubie podniósł. Drogi 7b (VI.4) RP i VI.2+/3 OS zaczynają padać... tak trzymać!

Sylwia Gutkowska

„Toi mon toit” 6 b/c, OS (Vercors),
„Sans nom” 6 b/c, flash (Vercors);

Eliza Kubarska

„Udręka i Ekstaza” VI.5+, RP (Gołębnik, Podzamcze),
Nowe drogi („Shaman the great” 7a, „Eliza. kom” 6c+) w Wietnamie,
Wiele dróg 7a i 7a+ (OS i flash) w Polsce, Tajlandii i w Verdon;
III miejsce na zawodach Bouldermonsters w Łodzi;

Agnieszka Romańska

Kilka dróg 7a OS (El Chorro, Hiszpania),
„Ha 2 pół” Sokoliki VI.2+ OS (Sokoliki);

Anna Sarzyńska

„Vampire” 6b+, OS (Andratx, Majorka);

Paweł Fidryk

„Mały R” VI.3, RP (Podlesice),
„Magnezjówka” VI.2+, flash (Rzędkowice);



Boskie ciało Romka fot. Agnieszka Cudna



Boskie, skąpo odziane ciało Romana G.
fot. J. Piotrowski



Karol Kącki
w Sulowie
fot. Michał Kasprowicz



Eliza walczy o podium w Łodzi
fot. Agnieszka Cudna



Grzesiek Zieliński degustuje *Albański Koniak* (6c+) w Misji Pec fot. Agnieszka Romańska



Nasi tu byli....! fot. Agnieszka Romańska

Roman Główka

„Zelda” 7c, RP (Arco, Włochy),
 „Lunatica” 7b, RP (Arco, Włochy),
 „Primadonna” VI.4, RP (dol. Będkowska)
 „Mędrzy Trafalmarii” VI.4+, RP (dol. Będkowska)
 „Odłot” VI.4, RP (Pochylec)
 „Titanic” 7a+, OS (Arco, Włochy),
 „Iceberg” 7a+, OS (Arco, Włochy),
 „Halloween” 7a, OS (Arco, Włochy),
 „Obywatel Scurvy wprost” VI.3+/4, flash (dol. Będkowska)

* Zawody w 2003 roku (osiągnięcia Romka):

BoulderMonsters – Reaktywacja, Łódź, 22-23 listopad 2003 – 9 miejsce.

Przechodni Puchar Pośredniej Klasy – Gliwice 8 listopad 2003 – 17 miejsce.

Mistrzostwa Polski – na trudność i na czas 25-26 październik Tarnów – 23 miejsce (22 – czas).
 Zawody boulderowe, C. W. 8semka, Białystok, 26 września 2003 – 3 miejsce.

Międzynarodowe MP w boulderingu, 5-6 września 2003, Kraków – 10 miejsce.

Puchar Polski w Gdańsku 16-17 maja 2003 – 16 miejsce (8 czas).

Puchar Burmistrza Dzielnicy Ochota 2002/2003 – 2 miejsce.

Środowiskowe Otwarte Zawody Wspinaczkowe, Warszawa, 29 marca 2003 – 3 miejsce.

I Edycja PP 2003 we Wspinaczkę Sportowej, Gliwice 15-16 marca 2003. – 19 miejsce (9 czas).

Środowiskowe Otwarte Zawody Wspinaczkowe, Warszawa 15 lutego 2003 – 2 miejsce.

Zawody boulderowe w Warszawie, BUW, 18 stycznia 2003 – 5 m.

Bartosz Jarosiewicz

„Wyjście awaryjne” VI.3, OS (Kobylany, Lotniki),
 „Bolest” 8, RP (Sulov, Skolska Veza, Słowacja);

Krzysztof Kaczmarek

„Kant Leśnej” VI.3+, OS (Rzędkowice),
 „Emmylou Harris” VI.4, RP (Okiennik Skarżyski);

Marcin Kantecki

„Mozart” 7a+, OS (Sperlonga, Włochy),
 „Magicien d'Ozz” 7a, OS (Chatouvert, Francja),
 „Bach” 7b, RP (Sperlonga, Włochy),
 „Odłot” VI.4, RP (Pochylec),

„Czas Apokalipsy” VI.3+/4, RP (dol. Kobylańska),
 „Beethoven” 7a+, RP (2 p.), (Sperlonga, Włochy),
 „Titanic” 7a+, RP (2 p.) (Nago, Włochy),
 „Filar Zjazdowej” VI.3+, RP (dol. Kobylańska),
 „Beach Boys” 7b, RP (Massone, Włochy),
 „Ultima dubbio” 7a+, OS (Massone, Włochy),
 „Iceberg” 7a+, RP (Nago, Włochy);

Marek Kaliciński

„Kant Leśnej” VI.3+, OS (Rzędkowice);

Arek Koszek

„Varianta Super Sira” 7a, OS (Kotecnik, Słowenia),
 „Karijes” 7a, OS (Limski Kanal, Chorwacja),
 „Płyta Wojasa” VI.3, OS (Rzędkowice);

Tomek Markiewicz

„Hiperborejczyk” VI.3+/VI.4, RP (Kamieniec);

Jakub Radziejowski

„Misja” VI. 3, OS (Podzamcze),
 „Pozytywne myśli” VI.3, flash (Okiennik Skarżyski),
 „Dziurka Prezesa” VI.2+/3, OS (Stoneczne Skatły),
 „Spotkajmy się o północy” VI.4/4+, RP (Okiennik Skarżyski),
 Kilka dróg VI.4 i VI.3+/4, RP oraz wiele VI. 2+ OS;

Grzegorz Zieliński

„Emmylou Harris” VI.4, RP (Okiennik Skarżyski),
 „Igły i Szpilki” VI.4, RP (Okiennik Skarżyski),
 Kilka dróg 7b RP i 7a+ RP (Osp, Kotecnik, El Chorro),
 Kilka dróg 7a OS (Kotecnik, El Chorro);



Czterdziestolatek... na Zerwie fot. Jacek Czaubański



Remont, dzieci i jeziora, czyli debiut czterdziestolatka na Zerwie

Paweł Józefowicz

W połowie sierpnia zadzwonił Jacek z propozycją parodniowego wyjazdu do Moka. Rozmawialiśmy o tym luźno parę tygodni wcześniej; jasne, że pojadę. Nigdy się razem nie wspinaliśmy, znamy się ze ścianki i spotkań klubowych. W czasie dłużącej się jazdy do Zakopca w luźnej rozmowie okazuje się, że oprócz tego, że obaj spodziewamy się potomka (o tym wiedziałem wcześniej), obaj właśnie remontujemy mieszkania i często jeździmy na Suwalszczyznę, gdzie nasze rodziny mają domy letnie. Zamiast więc omawiać górskie plany rozmawiamy o stanie błogosławionym partnerek i naszych związanych z tym utrapieniach („co one tam wiedzą...”), przebiegu remontów oraz o urokach letniego bytowania nad północnymi jeziorami.

W górach pogoda piękna, więc do pracy. Pierwszego dna robimy skałkową *Brzoskwinię*, drugiego *Szare Zacięcie*. Czas na coś dłuższego. Tak się jakoś złożyło, że pomimo, iż obaj wspinaliśmy się

w bardzo różnych górach nigdy nie robiliśmy niczego na Zerwie. No dobrze, robiłem *Łapińskiego*, ale czy to rzeczywiście droga na Kazalnicy? Trzeba iść. Decydujemy się na *Warianty Małolata* – podobno nietrudne, a piękne. Spokojny wieczór na taborze wypełniony pogawędkami o tym kto, kiedy i co przeszedł, jak było trudno i jakie plany na przyszłość. Miło... tylko ten lekki niepokój gdzieś tam w głębi...

Wstajemy, pogoda piękna, w sam raz jak na debiut na Zerwie. Na taborze ruch. Wpis w schronie, odnowiona w zeszłym roku ścieżka, znów tych kilkaset (ile ich właściwie jest?) stopni, lekka zadyszka i wreszcie Krzyż. Pusto, nawet „wopistów” jeszcze nie ma. Przechodzimy przez kosówki i po chwili rozkładamy szpej na kamieniach w połowie ścieżki. Zapinając uprząż pytam od niechcena Jacka, jakby właśnie teraz mnie to specjalnie zaciekało: – A na podłodze w łazience, jaki kolor kafelków? A Jacek, jak gdyby nigdy nic odpowiada: – Wiesz, zdecydowaliśmy się na drewno. Takie twarde i odporne na wodę.



„... sporo powietrza do Stawu“ fot. Jacek Czabański

I zaczyna długą, jak na niego, opowieść o wybieraniu podłogi.

Zostawiamy plecaki i idziemy. Oczywiście po chwili jesteśmy mokrzy do pasa. No tak, Zerwa to przecież topiany i topiany, poprządkowane gdzieś tam skałą... Jakiś zespół próbuje znaleźć wejście w „Schody”. Łażą pod skałą w tę i z powrotem ze schematem w ręku. Akurat początek tej drogi znam. W zeszłym roku, nie zważając na kiepską pogodę poszliśmy tam z Anią, co zakończyło się paskudnymi zjazdami z górnej części ściany w lejącym deszczu.

Od niechcenia (stary bywalec...) pokazuję chłopakom żeberko wyprowadzające na płyty pierwszego wyciągu.

Dochodzimy do „wejściowego” żlebu; potem w górę i zachodami pod Ciemne Żeberko. Jacek wyciąga schemat.

– To chyba tu... – mówi, niepewnie patrząc w górę – są nawet jakieś haki... Patrzę i ja. Niby wszystko się zgadza, ale...

– Spójrz jeszcze w lewo – rzucam i idę zachodem. Po dwudziestu metrach trawersu dochodzę do miejsc, które bardziej wygląda na Żeberko. Wołam Jacka.

Patrzę w górę, w dół i coraz bardziej ogarnia mnie lęk przed Wielką Ścianą...

Podchodzi Jacek i porządkując sprzęt kończy opowieść o podłodze w łazience. Po chwili rusza mokrą skałą, wpina się w jakiś stary hak i znika za załomem. Na dole widzę Jana z Teresą. Mieli iść na *Malczykówkę*, więc będziemy blisko.

– Auto! – słyszę po chwili. Dochodzę do Jacka i ruszam dalej łatwymi zachodami. Stan. Ściągam Prezesa i idę dalej. Dochodzę do... no tak, to musi być Wielki Blok. Mały Okap piętrzy się nad nami imponująco. Próbuję wypatrzyć gdzie idzie *Filar*...

– A wózek już macie? – pyta dochodzący Jacek.

– Jeszcze nie, ale znajomi nam obiecali po swoim, bo już wyrósł. Decydujemy się iść wariantem ścianką wprost w górę. Wygląda nieciekawie. No, ale podobno są nity.

Jacek spokojnie przechodzi pierwszych parę metrów i rzeczywiście znajduje lekko tylko przerdziały nit. Szybka wpinka, dochodzi do małej przewieszki i znika. Lina przesuwa się miarowo, popatrzyć na wężyk podążających na Rysy. Pięknie jest...

... możesz iść!

No to idę. Parę metrów w górę i od razu jakiś dziwnie. Żadnych wyraźnych chwytów, lekkie przewieszenie... I dali tu tylko VI+?

Pelzną w górę, sam nie wiem po czym. Nad okapikiem wreszcie jakaś klamka. Poszło. Za przewieszką już łatwiej. Jacek stoi na wygodnym stanowisku na trawiastej półce. Nad nami widać już teraz świetnie oba okapy.

– I tędy puszcza klasycznie??

– Wiesz, zależy kogo... – odpowiada przytomnie Partner.

Pokornie spuściwszy głowę biorę sprzęt i idę trawersem w prawo. Po chwili dochodzę do kolorowych skał. To musi być Różowe Zacięcie. Kilka metrów ładnego wspinania. Wychodzę na szeroką półkę, a na niej piękne miejsce na stan z całkiem nową fałką i niezłą płytówką. Wpinam się i ściagam Jacka.

Teraz to już rzeczywiście Zerwa... sporo powietrza do Stawu.

Filar, widziany już nieco z boku spiętrza się niesamowicie i widać, że do siodełka jeszcze kawał. Nad nami wiszą jakieś pętle, to chyba Momatiukówka? Z dołu słychać Janka, są blisko. Jakaś dwójka pojawia się też na filarze.

Dwa krótkie wyciągi i jesteśmy pod Ścianką z Jedynkami..., a raczej z nitem. Jacek porządkuje sprzęt popatrzyć na drogę przed nami. To znów niby tylko VI+, ale jakieś takie nie ewidentne... Cieszę się w duchu, że prowadzenie nie wypadło na mnie.

Parę pierwszych metrów idzie mu gładko, wpina się w nit, później przystaje, zmienia pozycję, szuka chwytów.

– To uważaj – mówi cicho i wyciąga się na jakimś niewyraźnym chwycie na prawą rękę, stojąc obiema nogami tylko na tarcie. Przechwyty lewą dużo wyżej... prawa ręka szuka kolejnego chwytu już za załomem... coś tam znalazł i szybko wchodzi w górę. I po trudnościach Ścianki.

Po kilkunastu minutach moja kolej. Dochodzę do miejsca, w którym przystanął Jacek. Stoję na tarcie, prawa ręka wysoko na małej listewce, lewa w dole na podchwycie. Wolno puszczam lewą, podnoszę w górę i..... wiszę na linie. No nie... w takim miejscu, żenada! Podchodzę raz jeszcze do tego samego miejsca, tym razem bardziej z prawej i teraz już "puszcza"... Jeszcze parę trudnych metrów i dalej już łatwo. Po chwili jestem przy Jacku.

– No niestety... – mówię.

– Bywa – odpowiada z uśmiechem.

Wyciągamy żaretko i patrzymy na wspinających się na filarze. Prowadzący robi właśnie wyciąg omijający Wielki Okap. Szedł szybko, ale teraz stoi kilka minut w jednym miejscu.

– Hej, nie wiesz czy dobrze idę?

No cóż, tak się składa, że tam (jeszcze??) nie byliśmy.

– Masz przed sobą pomarańczowe skały? – zanim zdążyliśmy odpowiedzieć dobiega z dołu głos Janka.

– Eeee... no mam.

– A czy parę metrów niżej wpiąłeś się w fałkę... o ile pamiętam Simonda?

Po raz kolejny podziwiam pamięć Jasia do szczegółów. Pamięta chyba wszystkie drogi, jakie przeszedł w ciągu ponad trzydziestu lat wspinania, a przeszedł ich wiele.

– Tak

– To dobrze idziesz.

I rzeczywiście. Wzmocniony tymi słowami wspinacz pomknął do góry i po paru minutach usłyszeliśmy dziarskie „Auto!”.

Rozmawiamy o pobytach na Suwalszczyźnie latem i zimą, zamarzniętych jeziorach, ciszy, wilkach i płuwaniu. Czyżby mentalna ucieczka z pionowego świata Zerwy? Chyba tak. Cały czas czuję mocniejszy niż zwykle podczas wspinaczki lęk. I mimo, że

pogoda piękna i wszystko idzie dobrze – chciałbym, żebyśmy już kończyli drogę. „Syndrom Zerwy”?

Z dołu dochodzi Janek, więc trzeba zwolnić mu miejsce.

Kolejny wyciąg prowadzi potrzaskanym filarkiem, a następny ściankami doprowadza pod okapik. To chyba już ten znany – na Kielkowskim? Nad nim stanowisko na wygodniej półce.

Teraz odślania się najwyższa część ściany, z lewej ograniczona wspaniałym pionem Filara, z prawej wilgotnym zagłębieniem Górnego Komina. Patrzymy na schemat, ale dalsza droga nie jest ewidentna. Trawersuję w lewo w górę ciekawymi, nie tatrzańskimi formacjami. Jakies wymycia, kaloryfery, grzyby... zupełnie jak w Paklenicy. Po około trzydziestu metrach dwa haki stanowiskowe. Ściągam Jacka. I co dalej? Widok w górę zamyka przewieszka z niżą. Tam chyba musimy dojść, ale którą? Wszędzie pionowo albo przewieszone, żadnych narzucających się formacji...

Po chwili Jacek rusza wprost w górę i po kilku metrach znajduje hak. Po przejściu nieprzyjemnej, wywieszanej ścianki, następny. Po piętnastu minutach chowa się w niży i zakłada stanowisko. Idę wolno, niepewnie. Pierwszy hak kiepski, drugi jeszcze gorszy, a cały czas szóstkowo.

– Ma psychę... – z uznaniem myślę o Jacku.

Po chwili i ja z ulgą chowam się do niży. Miło i zaciszenie.

– Twoja kolej – słyszę bezlitosne słowa.

No, cóż trzeba... to już chyba jedenasty wyciąg, ale pewnie ostatnie trudne miejsce. Wychodzę z niży. Na podchwytach trawersuję kilka metrów w lewo, aż do miejsca, gdzie przewieszka zlewa się z filarkiem. Nieprzyjemnie. Sięgam ręką za załom, coś tam łapię i ostrożnie przewijam się na drugą stronę. Parę metrów dalej już łatwiej. Stanowisko wypada na ładnej, odpęknietej turnicze. Zawieszony na niej patrzę na Staw tuż pod stopami. Piękna lufa!

Pod Turniczką jesteśmy o trzeciej. Rozkładamy szpej, wyjmujemy resztki jedzenia. Znowu się udało... Wreszcie można spokojnie omówić poważne sprawy rodzinno-remontowe: wrażenia z USG, opinie o porodówkach w poszczególnych szpitalach, planowane imiona dla naszych potomków, rodzaje zlewozmywaków i kolory pokoi. Po godzinie intensywnych konsultacji zaczynamy leniwie schodzić.

PS.

Oba remonty skończyły się w połowie września, Ania Józefowicz urodziła się 30 września, a Marta Czabańska 1 października.



Maciej Tertelis na *Wariantach klasycznych* na Mnichu fot. Andrzej Gładki

Nowości w Tatrach

Maciej Tertelis



Znajduje się ono tuż ponad stanowiskiem i wyznacza je lekko wywieszona ścianka, którą ubezpieczyliśmy spitem osadzonym ręcznie w trakcie wspinania. Ścianka wydaje się być

Mnich, *Warianty Klasyczne*, nowe warianty na pn.-zach. ścianie Mnicha (4 wyciągi), trudności VI+, 2,5 godziny, Andrzej Gładki i Maciej Tertelis, 23.07.2003. 23 lipca 2003 roku wraz z moim bratem (Andrzej Gładki) udało nam się pokonać nową drogę na północno zachodniej ścianie Mnicha, którą z racji bliskiego przebiegu *Klasycznej* nazwaliśmy *Wariantami klasycznymi*. Droga, pokonana w większej części bez znajomości, ma wycenę VI+ (dwa miejsca). Składają się na nią cztery wyciągi, z których pierwszy, nieco wymuszony odcinek, biegnie pomiędzy oryginalnym wejściem w drogę Orłowskiego, a drogą klasyczną. Pierwsze stanowisko (z pętli na blokach) znajduje się tuż przed kluczowym trawersem na drodze *Klasycznej*, która przewija się w tym miejscu w prawo gładką płytą za jej krawędź (wyciąg liczy 50 m). *Warianty klasyczne* biegną wprost do góry, przez mały stopień do wąskiego zacięcia z rysą w dnie, wprost do dużej półki. Kolejne stanowisko (pętla na bloku) znajduje się po 20 metrach, na małym filarku, na który wydostajemy się z wspomnianej półki nieco w górę w skos w lewo – dochodzi tu z lewej strony *Kant klasyczny*. Odradzam ciągnięcie wyciągu wprost do góry z uwagi na powstałe przecięcia na linie, które mogą utrudnić pokonanie pierwszego trudnego miejsca na drodze (VI+).

kluczowym miejscem wspinaczki; odpadłem tam zmęczony ręcznym osadzeniem kotwy, która jak się okazało ratuje przed bardzo niebezpiecznym lądowaniem na ostrym wierzchołku leżącego poniżej filarka (i dalszym lotem w kierunku kanionu wyjściowego z *Kantu klasycznego*). Kolejne metry wyciągu są już łatwiejsze i biegną systemem ukośnych rys, wyprowadzając po 25 m na Górne Półki Mnichowe. Ostatni, długi 50 m wyciąg wyprowadza na wierzchołek Mnicha, biegnąc częściowo trasą projektowanej drogi *Alabama*, która przebiega w bezpośrednim sąsiedztwie *Orłowskiego*. Wyciąg ten został przeze mnie kilka lat wcześniej wyposażony w cztery ringi, w tym jeden stanowiskowy. Start znajduje się nieco na prawo od stanowiska, wprost w górę wywieszoną płytą (VI+) przez boulderowe miejsce (wysocy mają łatwiej) na prawo od małego zacięcia (wprost nad stanowiskiem), którym biegną warianty prostujące drogę *Klasyczną*. Następnie w górę lekko w skos w lewo (ring) ponad kolejne spiętrzenie i dalej łukiem lekko w prawo, dobrą rysą i wprost do góry (ring), przewijając się przez kolejne spiętrzenie do wierzchołka. Droga nie wymaga młotka i haków. Rysy zapewniają świetną asekurację z kostek i mimośrodków. Wspinaczkę należy polecić osobom uczącym się asekuracji w rysach – kości osadza się łatwo i przyjemnie. Nie mamy złudzeń, że teren był już wcześniej częściowo chodzony, bowiem *Warianty klasyczne* biegną bardzo popularnym, typowo skałkowym fragmentem ściany. W zbliżony sposób do nas trasę pokonał również rok wcześniej Romek Knap.

***topo:** patrz kolorowa wkładka



Czarne Zacięcie fot. Jacek Czabański

TATRY (od XII 2002 do X 2003)



Jakub Radziejowski

Tegoroczny sezon tatrzański można uznać chyba za udany – szczególnie zimowy. Tu padło kilka naprawdę niezłych przejść. Swoje zimowe aspiracje potwierdziło kilku klubowiczów z Marcinem Malką na czele (Marcin rozpoczął ogólnopolski sezon morskoocznym od mocnego uderzenia: samotnego przejścia drogi *Koras–Wolf*, czyli *Polak w kosmosie*). Jak zwykle „za granicą”, czyli na Słowacji działał Krzysztof Sadlej, a z kolei Michał Kasprzowicz (m.in. samotne przejście *Czarnego Zacięcia*) z Pawłem Fidrykiem utworzyli i wypełnili obóz UKA w Morskim Oku.

Kolejny sezon dzielnie „dziabala” Ania Leonowicz, która wspinając się z Pawłem Józefowiczem, zebrała bardzo ładny zestaw przejść.

Trzykrotnie padła wschodnia Mięguza drogą *Świerza*, padły też *Ła-Pa* i *Wish You Were Here* na Zerwie. Oby sezon 2003/4 nie był gorszy.

Z kolei latem padały głównie klasyki; widać, że większość z Was skupiła się na wyjazdach zagranicznych. Pozytywne jest to, że nasza Zerwunia zaczęła być postrzegana jako cel „dla ludzi” (*Małolat*, *Małczykówka* czy *Schody do nieba*). Teraz (latem 2004) czas atakować poważniejsze drogi...

W sezonie letnim 2003, wyróżnić trzeba działalność Maćka Tertelisa (jak zwykle działalność eksploratorska – Maciek pisze o tym osobno) oraz Marcina Vernika, który dla odmiany przyjął taktykę wspinania solowego. Jak widać z sukcesami, choć sam Marcin miał na oku jeszcze *Małolat*, ale przecież droga do przyszłego sezonu nie ucieknie.

W poniższym zestawieniu nie przyjmowałem jakiegos specjalnego kryterium. Wymieniłem wszystkie przejścia, o których udało mi się zebrać informacje, a wycenione są na przynajmniej V+ (latem).

W podsumowaniu zimowym selekcji negatywnej nie było.

Zima:

Marcin Malka (samotnie)

„*POLAK W KOSMOSIE*” KOCIOŁ KAZALNICY (V+, A2) 2 dni w grudniu 2002;

Jakub Radziejowski, Marcin Tomaszewski (KW Szczecin)

„*WISH YOU WERE HERE*” KAZALNICA (VI+, A3) 20h non-stop, 08.03.2003;

Krzysztof Sadlej, Marcin Stępiak

„*PN.- WSCH. GRZĘDA*”, góra „*POTOCZKIEM*” KOŚCIELEC (II/IV) 6.12.2002,

LODOSPAD w dolinie Staroleśnej (3 po lewej od początku doliny) 26.12.2002,

„*ŚWIERZ*” OSTRY SZCZYT (III/IV) 27.12.2002,

„*PN.- WSCH. ŚCIANA*” MAŁA WYSOKA (IV) 28.12.2002,

„*WSCHODNIA ŚCIANA*” ŚWISTOWEGO SZCZYTU (III) 29.12.2002;

Krzysztof Sadlej, Marcin Malka

„*ŚWIERZ*” MSW (V) 09.03.2003;

Paweł Fidryk, Michał Kasprzowicz

„ŚWIERZ” MSW (V),

„DROGA SKŁODOWSKIEGO” SKRAJNA BIAŁCZAŃSKA
BASZTA, (IV) – pierwsze zimowe przejście

Michał Kasprzowicz (samotnie)

„CZARNE ZACIĘCIE” CZOŁÓWKA MSW (V+, A1)
12h;

Anna Leonowicz, Paweł Józefowicz

„PÓŁNOCNA” MSW (III, 900 m),

„SKŁODOWSKI” KOCIOŁ KAZALNICY (V),

„STANISŁAWSKI” MNICH (V, A1);

Robert Sieklucki, Andrzej Lipka (ŁKW)

„ŚWIERZ” MSW (V);

**Robert Sieklucki, Andrzej Lipka (ŁKW), Miłosz Jo-
dłowski (KW Kraków)**

„ŁAPIŃSKI-PASZUCHA” KAZALNICA (V+, AO) 9h,

„STAREK-UCHMAŃSKI” CZOŁÓWKA MSW (V+, AO);

Lato

Ania Boniewicz, Sylwia Gutkowska

„MIĘDZYKANCIE” MNICH (VII – AF);

Jacek Czabański, Miro Milewski

„ORŁOWSKI” MNICH (V-) + „WACŁAW SPITUJE”
MNICH (VI+, flash) 15.06,

„STAREK-UCHMAŃSKI” CZOŁÓWKA MSW
(VI-, flash) 16.06;

Jacek Czabański, Paweł Józefowicz

„PACHNIESZ BRZOSKWINIĄ” KOPA SPADOWA
(VII-, OS) 6.08,

„SZARE ZACIĘCIE” CZOŁÓWKA MSW (VI+, OS) 7.08,

„WARIANTY MAŁOLATA” KAZALNICA (VI+, OS) 8.08,

„CZARNE ZACIĘCIE” CZOŁÓWKA MSW (VII-, OS)
(zrobione do półek) 10.08;

Maciej Malicki, Mateusz Mioduszewski

„MILICJANCY” KOPA SPADOWA (VI, OS),

„MIĘDZYMIASTOWA” MNICH (VI+, AO);



Na drodze Świerza na MSW fot. Paweł Fidryk

Krzysztof Sadlej, Marta Oleszczuk

„DROGA KUTTY” BATYŻOWIECKI SZCZYT (V) 3h, 20.06;

Krzysztof Sadlej, Filip Reinhard, Marek Wojnacki

„MIĘDZYMIASTOWA” (VI+), „ZEMSTA WACŁAWA” MNICH
(VII+, OS) 30.08;

Krzysztof Sadlej, Marcin Stępnia

„LEWY HEINRICH” (org.) ZAMARŁA TURNIA (VI, OS) 23.09,

„ALIGATOR” ZAMARŁA TURNIA (VII-, RP) 24.09;

Marcin Wernik (samotnie)

„ŁAPIŃSKI – PASZUCHA” KAZALNICA (VI-, OS),

„SCHODY DO NIEBA” KAZALNICA (VI+, OS),

„ZEMSTA WACŁAWA” MNICH (VI+, OS),

„MIĘDZYMIASTOWA” MNICH (VI+, AF),

„MILICJANCY/SKŁODOWSKI” KOPA SPADOWA (V+, OS);



Trawers ponad Różowym Zacięciem na Kazałnicy
fot. Jacek Czabański

„ORŁOWSKI” MNICH (V) bez asekuracji,
„KLASYCZNA” MNICH (IV) bez asekuracji;

Paweł Fidryk, Mateusz Mioduszewski, Karol Kącki
(lipiec)

„LEWY PILCH” (VI-, OS) + „MOTYKA” (V) jeden dzień;
ZAMARŁA TURNIA;

26

Tatry

Paweł Fidryk, Rafał Tworzydło (PKG) – lipiec,
sierpień

„STANISŁAWSKI” MNICH (VI-, OS),
„SKŁODOWSKI” KOPA SPADOWA (V+, AO),
„ŁAPIŃSKI” (war. oryginalny) MNISZEK (VI+, OS),
„SCHODY DO NIEBA” KAZALNICA (VI+, flash),
„PACHNIESZ BRZOSKWINIĄ” KOPA SPADOWA
(VII-, RP),
„MIĘDZYMIASTOWA” MNICH (VI+, OS);

Paweł Fidryk, Karol Kącki

„KANT KLASYCZNY” MNICH (V+, OS);

Paweł Fidryk, Łukasz Harasimowicz (wrzesień)

„DROGA KUTTY”, BATYŻOWIECKI SZCZYT (V, OS),
„DROGA KUBIN-ROLAND” BATYŻOWIECKI SZCZYT (V+, OS);

Bartosz Jarosiewicz, Zbigniew Warakomski

„SCHODY DO NIEBA” KAZALNICA (VI+, OS);

Michał Dziedzic, Bartosz Jarosiewicz

„DROGA MOGIELNICKICH” (VI-) + „MIĘDZYMIASTOWA” (VI+) MNICH 15.07,
„SKOŚNA RYSA” MNISZEK (VI+, OS) + „ZEMSTA WACŁAWA” (VII+, AF) MNICH 16.07;

Michał Dziedzic, Wojtek Ryczer (KWW)

„SPRĘŻYNA” MNICH (VII-, OS) 09.07,
„KANT KLASYCZNY” MNICH (V+) 10.07,
„ORŁOWSKI” ZADNI MNICH (V+) 11.07,
„MILICJANCI/PACHNIESZ BRZOSKWINIĄ” KOPA SPADOWA (VI, OS) 12.07;

Michał Dziedzic, Bartek Jabłoński (KWW)

„SZARE ZACIĘCIE” CZOŁÓWKA MSW (VI+, OS) 17.07;

Michał Dziedzic, Marcin Nowogrodzki

„DROGA STANISŁAWSKIEGO” MNICH (VI-) 18.07,
„ALIGATOR” (VII-, AF), „PRAWI WRZEŚNIACY” (V+), „KANT KOMARNICKICH” (VI-) ZAMARŁA TURNIA 20.07,
„DIRETISSIMA” MNISZEK (VI, OS) 23.07;

Michał Dziedzic Anita Parys (KWT)

„DROGA KURCZABA” MIĘGUSZOWIECKI SZCZYT WIELKI (VI-) 21.07;

Jakub Radziejowski, Maciej Ciesielski (WKSG)

„MALCZYKÓWKA” KAZALNICA (VI+, RP)
„DROGA POMYWCZEK” (VI, OS), „DROGA GĄSIECKIEGO” (V+),
„LOBBY INSTRUKTORSKIE” (VII+, OS) – jednego dnia KOŚCIELEC,
„SKRZYPEK NA DACHU” SIWIAŃSKIE TURNIE (VII, OS);

Michał Kasprowicz, Maja Grzybowska

„ALIGATOR” ZAMARŁA TURNIA (VII-, OS);

Maciej Tertelis, Andrzej Gładki

„WARIANTY KLASYCZNE” MNICH (VI+, RP) – nowość;

Nasi w Europie



Jakub Radziejowski

Jak co roku rozjechaliśmy się w przeróżne miejsca. Tym razem głównie po Europie, chociaż była też przecież wyprawa w Himalaje (Robert Sieklucki i Marcin Wernik), niestety bez sukcesu.

W Europie ścieżki niby te same, ale przybywa osób odważnie radzących sobie w górach typu alpejskiego. Atakowanie dróg VI/VII- (poza Tatrami), staje się powoli standardem. I świetnie.

Padło kilka naprawdę niezłych dróg w Dolomitach – tu należy wyróżnić Krzyska Sadleja, który od trzech lat jeździ w różne miejsca, przywożąc coraz to lepsze przejścia. Tym razem spędził miesiąc właśnie w Dolomitach, skąd przywiózł bardzo ciekawy wykaz. Szczególnie cenne są jego przejścia z Michałem Nowakiem na Marmoladzie (w tym *Gogna* w OS). Był „niby obóz” UKA w Chamonix, miał on jednak charakter nieco frywolny, a to ze względu na w sumie niewielką ilość uczestników – rozbił na dwa nie nakładające się terminy. Wśród ciekawszych przejść był *Walker* na Jorassach i pierwsze polskie klasyczne *Bonattiego* na Grand Capucin. Podsumowując – oby sezon przyszły był nie gorszy. W zestawieniu umieściłem praktycznie wszystkie drogi pokonane przez członków klubu – z małym zastrzeżeniem: pod warunkiem, że autorzy przejść chcieli się wiedzą o nich ze mną podzielić.

BERGELL

Sylvia Gutkowska, Dorota Czamara, Wojtek Michalski (Speleo W-wa)

„*VIA STEIGER*” PUNTA DA L’ALBIGNA (5c+, OS, 660 m),

„*VIA FELICI*” SPAZZACALDEIRA (VI+, OS, 300 m),

„*PICCOLO*” PIZ DAL PAL (5b, 120 m);

Anna Leonowicz, Paulina Leonowicz

„*BÜGELEISEN (FILAR ŻELAZKA)*” PIZZI GEMELLI (V),

„*FILAR ZACHODNI*” PUNTA INNOMINATA (V),

„*WARIANTE KASPER*” AGO DI SCIORA (5b);



Wspinanie w dolnych partiach Kapucyna
fot. Jakub Radziejowski

CHAMONIX

Jakub Radziejowski, Maciej Ciesielski (WKSG), Wawrzyniec Zakrzewski (Speleoklub Warszawa)

„*ANOUK*” PETIT JORASSES (VII/VII+, OS, 750 m) 3 lipca,

„*BONATTI-GHIGGO*” GRAND CAPUCIN (VIII-/VIII, OS/Flash, 450 m)
10 lipca, pierwsze polskie klasyczne;

Jakub Radziejowski, Maciej Ciesielski (WKSG)

„*FILAR WALKERA*” GRANDES JORASSES (VI+/VII-, OS, 1200 m)
5-6 lipca (łącznie 14h);

Michał Dziedzic, Paweł Fidryk – sierpień

„*CHILDREN OF THE MOON*” AIGUILLE DU ROC
(6a, OS/Flash, 300 m),

„*GAGAFOU*”, „*HOMOLOGUE EXCEPTIONNELLE*” kombinacja na
TOUR VERTE (5+, AF, 250 m);

Maciej Bazała, Michał Dziedzic – sierpień

„*EPERON NORD*” AIGUILLE DU PEIGNE (V, 200 m);

COURMAYEUR

Anna Leonowicz, Paulina Leonowicz

„*SALLUARD-BUSI*” PIC ADOLPHE REY (V+ A0, TD-),

„*VENUS OU BIEN VENISE*” PARETE DEI TITANI (6b+ A0, TD);

27

Alpy



Wspinaczka w Höllental fot. Wojtek Ryczer

DOLOMITY

Sylvia Gutkowska, Małgorzata Barcz

„*SCHOBER - ROSSI*” PRIMO TORRE DI SELLA (VII-, OS),
„*TISSI*” PRIMO TORRE DI SELLA (VI+, AF);

Jacek Patrzykont, Krzysztof Bigda i Krzysztof Gardyna – lipiec

„*CASTIGLIONI - DETASIS*” CIMA DE LA REFUGIO (V, 650 m) 6h,
„*SPIGOLO DEL VELLO*” CIMA DE LA MADONNA (V+, 400 m) 4h,
„*VIA M. SPEZIALE*” PICCOLO LAGAZUOI (VI-, 250 m) 3h,
„*STEGER*” WINKLER TOWER (VI, 120 m) 2h;

Jacek Patrzykont, Krzysztof Bigda – lipiec

„*SOUTH ARETE*” TOFANA DI ROZES (V, 380 m) 4h,
„*STEGER*” PUNTA EMMA (V+, 250 m) 2,5h;

Krzysztof Sadlej, Marek Wojnacki – lipiec/sierpień

„*VIA DEL DRAGO*” LAGAZUOI PTA NORD (VI-, OS, 350 m) 5h;

Krzysztof Sadlej, Michał Nowak (15.07-13.08)

„*VIA FINLANDIA*” CINQUE TORRI (6b, 120 m) OS,
„*CONSTANTINI-GHEDINA*” TOFANA DI ROZES (VI, OS, 500 m) 5h,
„*CONSTANTINI-APOLLONIO*” TOFANA DI ROZES (VII, A0, 600 m) 6h,
„*SPIGOLO GIALLO*” TRE CIME DI LAVAREDO (VI+, OS) 3h,
„*COMICI*” TRE CIME DI LAVAREDO (VII, AF, 500 m) 5h,
„*CASSIN*” CIMA PICCOLISSIMA DI LAVAREDO (VII-, OS) 2h,
„*GOGNA*” MARMOLADA (VII, OS) 9h,
„*DON CHISCIOTTE*” MARMOLADA (VI, OS) 5h,
„*VINATZER - CASTIGLIONI*” (góra „*MESSNEREM*”) MARMOLADA (VII-, OS) 9h,
„*SOLDA-CONFORTO*” MARMOLADA (VI+, A0) 7h;

Krzysztof Sadlej, Paulina Kotońska – sierpień

„*KASNAPOFF*” SECUNDO TORRE DI SELLA (V);

Marcin Stępnia, Marek Wojnacki (KW Katowice) – lipiec

„*SPIGOLO SOUTH-WEST*” TOFANA DI ROZES (V+, OS, 400 m),
„*CONSTANTINI-GEDHINA*” TOFANA DI ROZES (VI, OS, 500 m),
„*VIA CASSIN*” CIMA PICOLISSIMA DI LAVAREDO (VII-, AF, 200 m),
„*SPITAGORAS*” VAL RIENZA (V+, OS, 400 m);

KARWENDEL

Jacek Patrzykont, Krzysztof Bigda i Krzysztof Gardyna – lipiec

„*PÓŁNOCNY FILAR*” LALIDERSPITZE (V-, 750 m) 6h;

PAKLENICA

Michał Dziedzic, Ignacy Kowalczyk – maj

„*DOMZALSKI*” ANICA KUK (6a, 120 m),
„*KARABORE*” ANICA KUK (5b, 120 m),
„*PERO*” ANICA KUK (6a, 80 m) - te trzy drogi jednego dnia,
„*THURINGER WEG*” ANICA KUK (6a, 110 m);

Michał Dziedzic, Marcin Nowogrodzki, Łukasz Wolf

„*KACA*” ANICA KUK (6a, 350 m);

VERDON

Eliza Kubarska, Dawid Kaszlikowski

Droga w rejonie L'IMBUT (7a, OS, 200 m);



Filar Tofany di Roses fot. Krzysztof Sadlej

Dolomity. Czy marzenie każdego wspinacza?



Krzysztof Sadlej

Im ciemniej się robiło, tym wyraźniej widać było żarzącą się czerwoną kontrolkę nad kierownicą. Z zaniepokojeniem patrzyliśmy po sobie wsłuchując się w monotonny szum podróży. Po cichu snułem mroczne scenariusze przyszłych wydarzeń. Więc tym razem tak to się skończy? Zostaniemy w nocy na poboczu autostrady bezradnie czekając na pomoc... drogową.

Rzeczywistość okazała się jednak łaskawsza. Samochód sprawował się bez zarzutu i dziesięć godzin po przekroczeniu polskiej granicy wjeżdżaliśmy między strzeliste turnie Dolomitów. Nocowaliśmy w okolicach Pieve di Cadore kilkadziesiąt metrów od szosy, rozłożeni na leśnej drodze.

Gdy rano wynurzyliśmy się z lasu ujrzeliśmy żółto-różowe pióropusze postrzępionych turni rozświetlonych jaskrawym, włoskim słońcem.

W Dolomitach spędziliśmy w sumie około miesiąca przemieszczając się między poszczególnymi masywami. Oto ich krótki opis wzbogacony o drobny komentarz.



Cinque Torri

Jest to szczyt w masywie Monte Averau, położony na południowo-zachód od Cortiny d'Ampezzo, pomiędzy drogami prowadzącymi na passo Falzarego i passo Giau. Jego skalna część wyrastająca z fantastycznie zielonych trawiastych łąk, tworzy – jak sama nazwa wskazuje – pięć turni o strukturze wież. Ich wysokość jest stosunkowo niewielka. Płaski wierzchołek najwyższej z nich wznosi się około 150 metrów nad skalne rumowisko.

Rejon ma charakter wyłącznie skałkowy. Oferuje jednak ciekawe wspinanie w bardzo urozmaiconym terenie, w przeróżnych formacjach i o pełnej gamie trudności. Znajdują się tutaj drogi zarówno krótkie – po kilkanaście metrów – jak i dłuższe, sięgające nawet 150 metrów i liczące kilka wyciągów. Jest to wspaniałe miejsce by obcyć się z żółtym, popękanym dolomitem i szarym, szorstkim wapieniem, trochę rozruszać przed poważniejszą wspinaczką lub po prostu odpocząć od kilkusetmetrowych ścian podczas okresów gorszej pogody.

Po południowej stronie grupy Cinque Torri mieści się schronisko o nazwie Rif. Cinque Torri. Można do niego dojechać stromą i wąską drogą odbijającą od szosy z Cortiny na passo Falzarego. Samochód najlepiej zostawić kilkaset metrów przed schroniskiem, parkując na poboczu. Biwakowanie przy samochodzie jest zabronione. Można więc skorzystać ze schroniska, lub tak jak my, udać się w pobliski las obfitujący w dogodne miejsca na nocleg.



Tofana di Rozes fot. Krzysztof Sadlej



Tre Cime di Lavaredo fot. Krzysztof Sadlej

Tofana di Rozes (3225 m)

Z Cinque Torri na północ roztacza się bogata panorama na jeden z potężniejszych masywów Dolomitów – masyw Tofan. Szczególnie wyróżnia się, królująca nad doliną, wysoka na 1000 metrów i szeroka na półtora kilometra, południowa ściana Tofany di Rozes. Jej urozmaiconą rzeźbę, mnogość filarów i depresji przecina gęsta siatka dróg wspinaczkowych. Większość z nich jest jednak mało znana i praktycznie nie chodzona, głównie ze względu na słabą jakość skały. Dość popularne są jedynie drogi prowadzące ścianą czołową prawego filara liczącego 600 metrów. Szczególnie godna polecenia jest droga autorstwa zespołu Apollonio-Constantini. Jej śmiała linia pnie się idealnie środkiem ściany przechodząc w połowie wysokości filara przez dwa okazałe okapy. Trudności, opisane przez pierwszych zdobywców na VI, A2, dawno zostały ukłasyfikowane. Obecnie droga ta wyceniona jest na VII+. Jej przejście zajmuje od 6 do 8 godzin i mimo około 20 wyciągów, droga ma raczej charakter rekreacyjny i przyjemny.

Planując wspinaczkę na prawym filarze południowej (a ściślej południowo-wschodniej) ściany najlepiej nocować na skraju lasu kilkaset metrów poniżej podstawy skał lub w schronisku Rif. Dibona. Poranne podejście zajmuje wówczas nie więcej niż pół godziny. Samochód można zostawić pod schroniskiem, do którego jak zwykle prowadzi asfaltowa droga, lub na jednym z parkingów przy drodze prowadzącej dnem doliny. Ze względu na bliskość Cortiny d'Ampezzo, łatwy dostęp samochodem i krótkie podejście, drogi wspinaczkowe na prawym filarze południowej ściany Tofana di Rozes, są dość uczęszczane. Należy więc unikać tego rejonu w weekendy

(szczególnie sierpniowe) i niezależnie od dnia tygodnia nastawić się na wczesną pobudkę.

Tre Cime di Lavaredo (2999 m)

O tych szczytach słyshał chyba każdy. Ta oryginalna i idealna w swej strzelistości grupa skalna jest swoistą wizytówką Dolomitów. W rzeczywistości składa się z pięciu niezależnych turni nie naturalnie wyrastających 500 metrów pionowo w niebo z zielonego płaskowyżu zawieszonego nad dolinami Valle Marzon i Val di Rimbon. Szczególnie imponująca są północne ściany trzech środkowych turni, groźnie wywieszające się nad drobne piargi obmywające ich podnóże. Drogi prowadzące tymi ścianami należą do najtrudniejszych w Dolomitach. Najłatwiejszą z nich jest droga Comicio o wycenie VII, prowadząca na najwyższą z turni – Cima Grande di Lavaredo. Jej linia rozwiązuje w siedmiu eleganckich wyciągach środkowe połacie dolnej, mocno przewieszonej części ściany i kieruje się w części górnej na szeroki komin wyprowadzający na wierzchołek.

Od południowej strony szczyty grupy Tre Cime wyglądają całkiem niepozornie. Jedynie dwie skrajne turnie przedstawiają od tej strony cele o charakterze wspinaczkowym. Na Cima Piccola i Cima Piccolissima, ścianami o niewielkiej wysokości od 200 do 350 m prowadzi szereg dróg i wariantów o różnych trudnościach. Płaskowyż, z którego wyrastają turnie Tre Cime jest wyjątkowo gościnnym miejscem na biwak w namiocie. Od strony południowej można bez trudu znaleźć miejsca zaciszne i schowane przed ciekawskimi oczami turystów, wystawione jednak na pastwę wszechobecnych krów.

Marmolada (3342 m)

(patrz też: kolorowa wkładka)

Jest to najwyższy szczyt Dolomitów. Jako jedyny jest od północy pokryty lodowcem, który niestety w ostatnich latach uległ gwałtownemu zmniejszeniu. Wciąż jednak biała czapa Marmolady wyróżnia się z panoramy Dolomitów i widoczna jest prawie z każdego ich zakątka.



Wspinaczka na południowej ścianie Marmolady arch. Krzysztof Sadlej

Dla wspinaczy interesująca jest przede wszystkim imponująca południowa ściana. Wysoka na 1000 metrów i szeroka na kilka kilometrów zbudowana przeważnie z wapienia o szarym zabarwieniu wyraźnie odróżnia się od żółtych przewieszonych ścian Tre Cime lub Tofana di Rozes. Drogi wspinaczkowe prowadzą tu przeważnie szorstkimi, lekko połogimi płytami bez wyraźnych formacji wiodących, lub wygładzonymi przez spływającą wodę szerokimi kominami. Zarówno jedne jak i drugie wymagają pewnego obycia i lekkości szczególnie, że możliwości asekuracji często pozostawiają wiele do życzenia, a długość dróg (czasem nawet około 30 wyciągów) narzuca szybkie tempo wspinaczki. W połowie wysokości, wzdłuż całej szerokości masywu, biegnie szeroki taras dzielący monumentalny mur południowej ściany Marmolady na dwie, prawie równe połowy. Z tarasu tego nie ma możliwości łatwiejszego wycofu – jedyna możliwość to zjazdami w dół – ale w razie załamania pogody jest dogodnym miejscem na przymusowy biwak. Na całej szerokości ściany jest ponad 100 dróg. Większość to wspinaczki „dla koneserów”, drogi praktycznie nie chodzone i nierzadko o dużych trudnościach klasycznych. Jest jednak też wiele godnych polecenia dróg o trudnościach niezbyt ekstremalnych (VI-VII). Jeśli ktoś się czuje na siłach by zmierzyć się z terenem VII+, na pewno po-

winien wybrać się na *Tempi Moderni*. O tej sławnej drodze krąży opinia, że jej linia prowadzi po skale, która jedynie na kilku metrach odbiega od ideału. Trochę łatwiejsza (VII), ale prowadząca również doskonałymi płytami jest droga o nazwie *Gogna*. Dla wielbicieli kominów i zacięć jest *Vinatzer* (VII-). Od podstawy do szczytu kominami – prawie 1000 metrów pionu. W razie niepewnej pogody można wybrać się na nietrudną drogę *Don Chisciotte* (VI). Biegnie ona w przeważającej mierze dość łatwymi płytami i mimo prawie kilometra pokonywanego pionu, bez trudu kończy się ją w czasie poniżej sześciu godzin. Możliwości jest w każdym razie dość dużo. Sąsiednie drogi często spotykają się w połowie ściany na wspomnianym już wielkim tarasie, więc nietrudno tworzyć przeróżne kombinacje i warianty.

Po dotarciu na szczyt pozostaje jeszcze z niego zejść. W przeciwieństwie do większości szczytów w Dolomitach, nie jest to w tym przypadku takie łatwe. Istnieje kilka możliwości: jeśli wspinaczka kończy się na wierzchołku zwanym Punta Penia (najbardziej zachodni), wówczas drogę w dół pokonuje się dogodną via ferratą. Uczucie jest dość dziwne, ponieważ ze szczytu dopiero co zdobytego często miałym nakładem siły, schodzi się dosłownie drabiną – taką stalową... Z Punta Rocca, oraz z wierzchołków położonych bardziej na wschód zejście jest bardziej skomplikowane. O ile jest się na szczycie przed godziną 16, można skorzystać z kolejki linowej i za cenę 20 Euro (!) pokonać blisko 2000 metrów w dół w około 30 minut. Dla tych, których na taką przyjemność nie stać pozostają jeszcze dwa wyjścia. Można schodzić lodowcem, wykonując karkołomne skoki i inne niekontrolowane przeprawy przez szczeliny, w dół



Tłumy na drodze *Comiciego* na Cima Grande fot. Krzysztof Sadleir

na przełęcz Passo di Fedaila. Stamtąd stopem do Malga Ciapela i żwawym krokiem pod górę do miejsca, gdzie najprawdopodobniej stoi, rano pozostawiony namiot (o ile nie został zjedzony przez krowy, osły lub kozy...). Drugim wyjściem jest zejście lodowcem po trasie narciarskiej do pośredniej stacji kolejki „Serauta”, po czym zanikającą ścieżką, w niektórych miejscach ubezpieczoną stalową liną, na dno doliny do Malga Ciapela i pod górę do namiotu. Zejście to jest dość męczące i zajmuje kilka godzin, jest jednak najrozsądniejszym wyjściem w wypadku, gdy się nie chce lub nie może korzystać z kolejki.

Marmolada różni się znacząco od pozostałych masywów Dolomitów. Prócz gatunku i struktury skały, wyróżnia się przede wszystkim względnym spokojem i ciszą. W Malga Ciapela – małej wiosce turystycznej u podnóża Marmolady – prócz stacji kolejki, kilku pensjonatów, kempingu i gospodarstwa agroturystycznego położonego kawałek w głąb doliny, stoi znak zakazu wjazdu. Na nim kończy się asfaltowa droga. Dalej trzeba iść pieszo około półtorej godziny do schroniska Rif. Falier, stanowiącego optymalny punkt wyjścia na większość wspinaczek. Te 500 metrów różnicy wysokości, które oddziela dolinę od schroniska, dość skutecznie też chroni je od nawału weekendowych wspinaczy.

Chatar z Rif. Falier mieszkający w schronisku wraz z całą dość liczną rodziną wydaje się osobą dość pozytywnie nastawioną do wspinaczy z Europy Środkowo-Wschodniej. A jeśli nie jest to sympatia, to przynajmniej rozsądna wyrozumiałość. W każdym razie do widoku rozłożonych namiotów w okolicach schroniska podchodził raczej z uśmiechem, nie wyrażając najmniejszego sprzeciwu. Na zadawane w języku angielskim pytania – w szczególności kluczowe „What is the weather forecast for tomorrow?” – odpowiadał z tym samym niezawodnym uśmiechem „bene, bene...” Niestety rzeczywista pogoda dnia następnego była często głównie kwestią losową.

Laste

Jest to niewielki rejon skałkowy położony na wzgórzach ponad Rocca Pietore kilka kilometrów na wschód od Malga Ciapela. Sam w sobie nie stanowi godnego celu, lecz w okresach gorszej pogody może okazać się zbawienny, chroniąc przed beczynnością. Rejon oferuje wspinanie w wapieniu na drogach o bardzo zróżnicowanych trudnościach i długości od kilkunastu do nawet ponad 30 metrów. Jest raczej mało znany. Położony z dala od centrów turystycznych w cieniu Marmolady i Civetty nie przyciąga wielu wspinaczy. Skały wyrastające z zadrzewionych zboczy są dość słabo widoczne. Można nawet mieć pewne problemy z trafieniem pod nie. Jadąc samochodem należy skrócić z głównej szosy kierując się za znakami na „Laste”. Wąska asfaltowa droga pnie się kilkaset metrów stromo do góry kończąc się niewielkim parkingiem z ciekawym widokiem na masyw Civetty. Dalej pod skały prowadzi szlak.

Sella i Sassolungo

Są to dwie sąsiadujące ze sobą grupy w północno-zachodniej części Dolomitów. Polacy pojawili się tutaj po raz pierwszy już pod koniec XIX wieku. Bracia Tadeusz i Marian Smoluchowski dokonali wówczas szeregu pionierskich przejść i wytyczyli nowe drogi wpisując się w historię eksploracji tych gór. Obecnie jest to jeden z bardziej zagospodarowanych rejonów Dolomitów. Szereg wyciągów narciarskich, kolejek linowych, a przede wszystkim ruchliwa droga przez przełęcz Sella i towarzyszące jej tłumy wspinaczy, tworzą niepowtarzalny charakter wspinania. Względna wysokość ścian jest tu raczej niewielka. Wybór dróg wspinaczkowych jest duży, ale mimo to na większości, szczególnie łatwiejszych, panuje niesamowity ścisk. Zależy co się lubi, ale jeśli jest to względny spokój i wspinanie we własnym niezakłóconym tempie, należy raczej wybrać inny rejon. Jest to jednak z pewnością fantastyczna okolica dla tych szukających nietrudnych i niedługich wspinaczek bez długich podejść i trudnych, zawiłych zejść.



Dolomity nocą fot. Krzysztof Sadlej



Dojazd

Najłatwiej i najrozsądniej w Dolomity jechać samochodem. Poruszanie się między poszczególnymi masywami, chociaż możliwe za pomocą miejscowych autobusów, jest jednak na pewno wygodniejsze, gdy posiada się swój własny środek transportu. W szczególności, w wielu przypadkach samochodem można podjechać (niestety...) prawie pod samą ścianę.

Zasadniczo są dwie drogi, którymi można dojechać z Polski w rejon Dolomitów. Pierwsza omija główne spiętrzenie Alp od wschodu i prowadzi przez Cieszyn, dalej ziemią czeską do Brna, następnie Wiedeń i dalej na południe przez Linz do Klagenfurtu. Z autostrady trzeba zjechać kilkadziesiąt kilometrów po przekroczeniu granicy austriacko-włoskiej kierując się na Cortina d'Ampezzo. Druga możliwość dojazdu prowadzi przez Zgorzelec, niemieckimi autostradami na południe na Innsbruck do Austrii, po czym przez przełęcz Brenner do Włoch i w zachodnią część Dolomitów. Oba warianty można oczywiście mieszać, jadąc na przykład przez Cieszyn do Wiednia, po czym na zachód do Innsbrucka i dalej przez przełęcz Brenner. Tak czy inaczej odległość z Warszawy to około 1200 kilometrów, które bez większych problemów pokonuje się w jeden dzień. Najwięcej czasu zajmuje oczywiście wydostanie się z Polski.

Nocleg

Duża część Dolomitów objęta jest parkiem narodowym. Oficjalne przepisy zabraniają więc biwakowania

wania na dziko w miejscach do tego nie przeznaczonych. Nikt jednak, z tego co wiem, zbyt poważnie do tych zakazów nie podchodzi. Nocowanie w namiotach jest praktyką dość powszechną i o ile robi się to wystarczająco dyskretnie, nie powinno to wzbudzać protestów.

Nie należy natomiast nocować na parkingach przy samochodzie. Poranne patrole Żandarmerii są bezwzględne...

Na zakończenie

Dolomity są dość niezwykłymi górami. Przede wszystkim nie tworzą jednego łańcucha lub masywu, lecz szereg rozproszonych grup rozdzielonych trawiastymi dolinami. Każda z tych grup ma swój odrębny charakter – i to zarówno ze względu na rodzaj wspinania, jak i ogólną atmosferę. Kilka cech jest jednak wspólnych dla całego regionu. Podstawowa – dość przykra – to powszechny i wszechobecny tłok. Jedynym wyjątkiem jest tu ściana Marmolady i jej okolice, które zachowały co nieco ze swej pierwotnej dzikości i niedostępności. Wspinanie w Dolomitach nazwałbym „przyjaznym dla użytkownika”. Na chodzonych drogach, nawet tych stosunkowo trudnych i długich przeważnie jest dużo haków. W wielu przypadkach (tu wyjątkiem znowu jest Marmolada) z powodzeniem można by ryzykować wspinanie z kompletem ekspresów i kilkoma taśmami. Kości i friendy często okazują się być zbędnym balastem. Młotka i haków w żadnym wypadku nie warto zabierać ze sobą.

Wspinanie pozbawione alpejskiej grozy i powagi traci dużo ze swojego uroku i magii. Mimo fantastycznych widoków, pełnej i niepowtarzalnej ekspozycji, dużych trudności i akrobatycznych przechwytyw staje się rutynowe i zwyczajnie nudne.

Krótką nota na temat niewielkiego wyjazdu

Maciej Bazała

Podróż samochodem. Długa, ale nie za bardzo. Graty po sufit spychające na drzwi. Czterech chłopaków. Napaleni jak nie wiem co, jeszcze nieświadomi czekającej wyrpy. Cała noc i dzień, jakieś zmiany za kółkiem. Wreszcie ośnieżone szczyty i miasteczko, gdzie w dobrze znanym ogródku, stałe towarzystwo dyskutuje przy stoliku. Ale swojsko!

Już! Dziś! Ale nie, bo pogoda... Po jutrzejszej zlewie, na wieczór do góry.

Na szczęście kolejką na lodowiec; dalej... błąd: za ciężkie wory, ale przecież trzeba mieć to wszystko, jeżeli chce się biwakować... Wreszcie doszli, przekonując się, że czasy na tabliczkach są obliczone na sprinterów z maksymalnie kilkukilogramowym obciążeniem. Jeszcze namioty na eksponowanym głazie i piękne plany na jutro.

Po pierwszym dniu przysięgli sobie, że już nigdy nie wejdą na lodowiec bez diabli... Pierwszy dotyk granitu podzielał jednak magicznie!

Pomimo bliskości ścian, nie należy jednak wstawać zbyt późno, ze względu na tok na drodze. Przede wszystkim jednak cieszyli się wspaniałym granitem – suchym, bez żadnych chęchów, jednolicie szarym i doskonale uziarnionym, gdzie linia wspinaczki prowadziła oczywistymi formacjami o niezwykle urodzie. Czy znasz to uczucie, gdy wychodząc z trudnej, pięknej rysy, w której panowałeś nad sobą i osadzałeś własne przeloty, ogarnia Cię fala zalewającego dreszczem szczęścia?

Czasami jednak można napotkać coś rozginalącego, lub przez zwykłą nieuwagę... partner tylko poczuje napięcie liny. Ależ wyróżnia!

Czerwony Ecrin twoim najlepszym przyjacielem, szczególnie, gdy pikuje się głową na dół... (wniosek: czasem dobrze nosić żelazo na wosporze, a nie na ramieniu).

Dobra, doszedł do wniosku, że skoro utrzymał partne-



Wspinaczka na Igłach od Południa fot. Jakub Radziejewski

ra, to pora ocenić straty: przede wszystkim, tamten przytomny („k... noga mi wyjechała”), „co boli?” – „bok i d...” – ma prawo i akurat urazy tych części ciała to dobra prognoza. Zebrał jeszcze komplet kości, który zatrzymał się na niewiarygodnym ząbku 2 metry niżej (wniosek: karabinki na szpejarcie czasem się otwierają podczas lotu).

„Ty, i co dalej?” – „lepiej zlanujmy, bo ta burza popołudniowa...”. Mniejsza z tym, jakie uczucia skłoniły ich do odwrotu, jak się okazało, podjęli jednak mądrą decyzję. W połowie drogi przez lodowiec, jakieś 10 minut od schronu, zaczęło walić gradem. Woda przewalała się nieprawdopodobnymi wodospadami przez setki metrów ścian, wymywając po drodze całe wieże granitu – po lodowcu zasuwaty szafy dwudrzwiowe typu „gdańska”. Czy wyobrażałeś sobie kiedyś Czytelniku, że jesteś mrówką na stole bilardowym?

Przyszły kolejne dni – wypelnione potem, nerwami, upojeniem – marzenia mieszały się z rzeczywistością. Raz nawet leżeli cały dzień na zalanych lodowcowym słońcem głazach – jak stado szpitalnych kocurów na parapecie. Potem jednak skończyło się żarcie i musieli zejść na dół – znowu za dużo na plecach.

Spróbowali jeszcze od północy – dużo zimniej, słońce później dochodzi, skała nie tej samej jakości. Było jednak pięknie – przepaściste granie, wyśmienite towarzystwo...

Byli krócej, niż myśleli, ale dodatkowy czas w Domu, w od dawna znanych ogródkach, wśród Od Dawna Niewidzianych, stanowił nadzwyczajne zakończenie wspinaczkowego czasu.



Grand Capucin o wschodzie słońca fot. Jakub Radziejowski

Grand Capucin

Jakub Radziejowski



Mógłbym zamieścić tu mrozącą krew w żyłach historii o sypiących się kamieniach, wiszeniu na słabych jędynkach, huraganowych wiatrach i wykraczających poza ludzką wyobraźnię trudnościach. Nie zrobię tego z przyczyn oczywistych – wschodnia i południowo-wschodnia ściana Grand Capucin są lite jak mało co na świecie. Skąła jest piękna. Chodzimy tam wspinać się głównie klasycznie, więc jedyńki możemy pozostać w domu (choć są też drogi dla naprawdę zdeterminowanych....). Pogoda latem w Chamonix bywa dobra, więc w huraganowe dni warto pozostać w Dolinie i delektować się czerwonym „vino cartono”. No a trudności też są dla ludzi. Ok, nie ma tu może dróg poniżej VI, ale za to są drogi niewiele trudniejsze (*O sole Mio* i *Droga szwajcarska*), przez średnio trudne po ekstremy za 8a. A co? Przecież zawsze można doładować...

Wspinanie na Kapucynie jest jedyne w swoim rodzaju. Tak naprawdę mógłbym w nieskończoność pisać o tym, jakie jest piękne, ale to i tak nic Wam nie da. Po prostu musicie spróbować sami. Naprawdę warto. „Testowałem” dwie spośród ponad dwudziestu dróg, jakie przecinają ściany Kapucyna. I śmiem podejrzewać, że reszta jest równie perfekcyjna jak te.



Pierwszy wyciąg na drodze Voyage... fot. Jakub Radziejowski

Podejście i biwak:

Podchodzimy (momentami schodząc) z górnej stacji kolejki na Aiguille du Midi. Naprawdę warto wydać te trzydzieści parę Euro na podróż Chamonix – Aiguille du Midi.

Podejście pod Kapucyna to jakieś dwie godziny. Najlepiej od razu udać się pod ścianę i tam zabiwakować. Oszczędzi Wam to bardzo wczesnego wstawania o poranku i umożliwi akcję na lekko i na świeżo. Podejście przez

Vallee Blanche wzdłuż wschodniej ściany Mont Blanc du Tacul. Potem na dwa sposoby:

albo (przez szczeliny, szybciej ale raczej niebezpiecznie) w prawo tuż za Pointe Adolphe Rey, stromo do góry;
albo (na około, dłużej ale zdecydowanie bardziej bezpiecznie), prawie pod północną ścianę Tour Ronde. Skąd na plateau pod Kapucynem Biwakujemy na wspomnianym plateau (ok. 3300 m).

Historia:

Znów nie ma co bić piany, choć rzeczywiście zarówno pierwsze wejście na Kapucyna (w roku 1924 Enrico Augusto, Adolph i Henry Rey, Louis Lanier docierają na szczyt wykorzystując drabinki oraz haki osadzone w wywierconych w skale otworach), jak i pierwsze przejście wschodniej ściany (Walter Bonatti i Lucien Ghiggo, 20-23 VII 1951) zostały uznane za przełomowe w kategorii zdobywania skalnych ścian. Ostatnie dwadzieścia lat to boom na wspinanie klasyczne – powstają wspaniałe klasyczne drogi o różnicowanych trudnościach. Aż dwie spośród nich sięgają stopnia 8a (jedna Arnaud Petit – ospirowana od góry).

Pierwszy polski akcent to oczywiście przejście drogi *Bonattiego* przez Jana Długosza i Czesława Momatiuka (20-21 VIII 1960), będące 12 przejściem drogi w ogóle. Nawiasem mówiąc opowiadanie *Wielki Mnich* Długosza to obowiązkowa lektura nie tylko dla wybierających się na tę drogę.



Biwak pod Kapucynem fot. Jakub Radziejowski



Wawa Żulawski na drodze Bonattiego fot. Jakub Radziejowski



Maciej Ciesielski w górnej części drogi Bonattiego fot. Jakub Radziejowski

36

Alpy

Droga *Bonattiego* ma obecnie wiele polskich przejść (sporo AO/AF). Z ważnych – prawdopodobnie pierwsze polskie jednolite (Z. Zobniów, B. Smigielski – 29 VII 1983) i prawdopodobnie pierwsze polskie klasyczne (M. Ciesielski, W. Zakrzewski, J. Radziejowski - styl OS/Flash, 10 VIII 2003). Z innych dróg, wiele polskich klasycznych przejść mają drogi *O Sole mio* (prawdopodobnie pierwsze polskie – R. Kałuża, L. Prokopek lato 1985; czy klasycznie?) i *Voie des Suisses*. Z dróg trudniejszych – pierwsze polskie (?) klasyczne w 1991 roku otrzymała droga *Voyage selon Gulliver* (J. Gołąb, S. Piecuch).

Wspinanie...

... jest fantastyczne. Nic dodać, nic ująć. Ściana wschodnia ma około 450 metrów, południowo-wschodnia około 300. Na większość dróg klasycznych wystarczy zabrać komplet kości i rozszerzony komplet friendów (chodzą słuchy, że *Direct des Capucines* wymaga haków) oraz oczywiście ekspresy i karabinki. Na drogi hakowe należy wziąć to, co zazwyczaj bierze się na drogi hakowe. Ja jednak polecam wspinanie klasyczne na Kapucynie. Alpejskie otoczenie, prawie 4000 metrów, nagrzana, bajecznie czerwono-żółta skała, świetne tarcie i fantastyczne formacje. To nie są tylko moje opinie. Czego chcieć więcej?



Voyage selon Gulliver fot. Jakub Radziejewski



Wspinaczka na Voyage fot. Jakub Radziejewski

Są dwie linie zjazdów. Z lewej strony możemy zjechać kombinacją dróg *O sole mio* i *Drogi szwajcarskiej*, z innych najlepiej zjechać drogą *L'echo des alpages*. Da się pewnie też innymi, ale warto wtedy przygotować się na zjazdy przez okapy...; warto przygotować sobie też sprzęt do zostawienia w ścianie (nie ma tam dobrych stanowisk zjazdowych). Z prawej strony – autorzy drogi *Hiver Russe* (1999) zostawili na swojej drodze komplet stanowisk zjazdowych.

Drogi:

Są to prawdopodobnie wszystkie obecnie drogi na omawianych przeze mnie ścianach. Aczkolwiek istnieje szansa, że gdzieś coś jeszcze zostało wciśnięte, a inne drogi uzyskały już przejścia klasyczne. Monografii dróg umieszczonej na kolorowych zdjęciach w zamieszczonej wkładce proszę nie traktować jako to samo w sobie. W ścianę polecam przewodnik Pioli, albo jeszcze lepiej ksero poszczególnych dróg; możemy je zrobić w *Maison de la montagne* w Chamonix. Niestety nie wszystkie drogi udało mi się na ścianach zlokalizować.

1. *O sole mio* (6b+, ED-);
2. *Voie des Suisses* (6b+, ED-);
3. *De fil en aiguille* (8a, ABO-);
4. *La Tete dans les nuages* (6c, A3; ED2);

5. *Le sourire de l'été* (6b, A2; ED);
6. *Panoramix* – 25 metrowy wariant do *Le Voyage...* (7c; ABO);
7. *Le voyage selon Gulliver* (7a, 2xA0 – wahadła; ED+), prawdopodobnie jedno z wahadeł zostało już odhaczone za 7a+;
8. *Triple Direct* – kombinacja trzech dróg: *Le Voyage...*, *L'elixir...* i *Panoramix* (7c, A0 – wahadła; ABO);
9. *Flagrant délire* (6b, A3; ED+);
10. *Odyssey* (droga J. Bridwella) (VI, 5.9, A4), start na lewo od *L'elixir...*;
11. *L'elixir d'Astaroth* (7a+, A0 - wahadło, ED+);
12. *L'écho des alpages* (7a+, ED+);
13. *Via Lecco* (1968);
14. *Voie Bonatti/Ghigo* (6c+/7a; ED) wariant oryginalny za 7c;
15. *Po-éticomania* (7a+, A2; ABO-);
16. *Directe des capucines* (6c, A0; ED+);
17. *Alta tension* (6c, A3; ED+);
18. *Eau et gaz a tous les étages* (6c+, A3; ED+), klasycznie ok. 7c (?);
19. *Hiver Russe* (6c, A3, ED);
20. Droga A.Petit (8a/8a+, ED+);
21. *Voyage hivernal* (6c, A4, ED+);

Bibliografia:

- Chamonix, Massif du Mont Blanc - mapa 1:25000, IGN.
- Długosz Jan *Wielki Mnich* w: *Komin Pokutników*, Wyd.PiT, Kraków 1995.
- Griffin Lindsay przewodnik po masywie Mont Blanc.
- Griffin Lindsay *Mountain Info* w: „High Magazine” nr 216, November 2000, s.67.
- Griffin Lindsay *Mountain Info* w: „High Magazine” nr 227, October 2001, s.68.
- Michałek Marcin *Grand Capucin - Indeks dróg alpejskich*, „Góry” nr 49, 1998, s.74.
- Piola Michel *Le topo du massif du Mont Blanc*, tome II, Ed. Equinoxe, 1993.



Widok na Valey Blanche (w środku Grand Capucin) fot. Anna Leonowicz



RHM na nartach fot. Anna Leonowicz

Co nowego na RHM-ie?

Ania Leonowicz



Czytelnicy Buki na pewno pamiętają, że RHM to międzynarodowe kobiece meetingi wspinaczkowe, w których od kilku lat uczestniczą członkowie, a raczej członkinie, naszego Klubu. O korzyściach płynących z tych spotkań, których co roku doświadczamy na własnej skórze, nie trzeba się rozpisywać: szerokie kontakty towarzyskie, bezpłatne konwersacje w dowolnie wybranym języku, odkrywanie nowych rejonów wspinaczkowych, do których być może, samemu by się nie dostało, a do tego oczywiście fachowe doradztwo oraz zniżki na noclegi, kolejki i tym podobne, wynegocjowane specjalnie dla nas. Letnie tygodniowe spotkania w jednym z rejonów wspinaczkowych Europy, gromadzące zawsze liczne grono alpinistek (30-40 osób), to podstawa działalności RHM-u. Celem tegorocznego lipcowego zlotu była Val Veny, leżąca po południowej stronie masywu Mont Blanc. Wpadliśmy tam na kilka dni spóźniając się trochę (zatrzymał nas wcześniejszy pobyt w Bergellu). Możliwości wspinania było tu bardzo dużo i prawdę mówiąc, trudno było nam się zdecydować, którą z nich w tak krótkim czasie wykorzystać. Wiele uczestniczek spotkania wybierało liczne tutaj rejonu skałkowe, w których można znaleźć drogi zarówno jedno, jak i wielowyciągowe. Nie spodziewaliśmy się, że w Dolinie Aosty jest ich tak dużo (!) i że miejsce to nadaje się na typowo skałkowy wyjazd. Nam jednak szkoda było czasu na skałki, skoro dookoła tyle prawdziwych gór, a i pogoda tego lata nie dawała pretekstu do pozostawania w dolinie. Zwidzieliśmy więc tylko

jeden z rejonów skałkowych, najbliższy Courmayeur, który pomimo tego, że okazał się niezbyt interesujący – położony jest w pięknej scenarii doliny Val Ferret. Miłym zaskoczeniem była dla nas natomiast droga, zrobiona ostatniego dnia pobytu – popularna i często chodzona droga Pioli (6b+) na tzw. Parete dei Titani. Ściana ta, położona również w Val Ferret (po drodze do Rifugio Dalmazzi), ma wystawę południową, drogi są w pełni ubezpieczone, a wspinaczka przebiega w formacjach typowo płytowych. W drugiej połowie tygodnia przeniosliśmy się na Vallée Blanche. Przekonały nas do tego same organizatorki, negocjując specjalną zniżkę na kolejki dla uczestniczek naszego spotkania. O zaletach wspinania w tym rejonie nie trzeba chyba nikogo z Klubowiczów przekonywać, zabrakło nam już jednak czasu na wyczerpującą eksplorację otaczających gór. W dolinie na najpopularniejszych drogach tłok jak zwykle, jedyną odmianą była wyjątkowo mała ilość śniegu, co spowodowało, że niektóre ściany (np. północna ściana Tour Ronde, normalna droga na Mont Blanc) stały się bardzo niebezpieczne lub nawet niedostępne. Niestety, tydzień spędzony w Val Veny okazał się znacznie za krótki...

Działalność RHM-u to nie tylko spotkania letnie. Od kilku lat rozszerzyła się ona również na sezon zimowy. Każdego roku odbywają się dodatkowo dwa bardziej kameralne spotkania zimowe: wspinanie w lodzie i wyjazdy ski-tourowe. Głośno jest zwłaszcza o tym ostatnim, bo przecież większość alpinistów z zachodu w zimie zmienia wspinanie na narty. Oba meetingi odbyły się również w tym roku – wspinanie lodowe we Włoszech w okolicy Monte Viso, narciarskie zaś w Val Müstair w południowo-wschodniej Szwajcarii. Ulegając wieloletnim namowom organizatorek, zdecydowałam się w tym roku uczestniczyć w spotkaniu narciarskim. I muszę przyznać, że nie żałuję. Rejon ten, położony niedaleko masywu Ortler, w którym rowinęły się włoskie ośrodki narciarskie Bormio i Livigno, można bez wahania polecić wszystkim amatorom nart tourowych. Góry są tu całkiem wysokie, ale niezbyt skaliste, a w samej dolinie nie spotyka się nadmiaru turystów. Tygodniowy pobyt tutaj, a zwłaszcza towarzystwo znacznie bardziej doświadczonych narciarek, okazały się dla mnie niezłą szkołą ski-alpinizmu.



Początek wspinania na grani Zmutt i pierwszy śnieżny odcinek grani fot. Marek Błaszczyk

Granią na Matterhorn

Wojtek Ryczer

Matterhorn nie wymaga specjalnego przedstawienia. Piękny kształt oraz dramatyczna historia zdobycia sprawiły, że ten najpopularniejszy (wg wysokości ósmy co do wysokości) szczyt Alp jest zarazem najłatwiejszą do rozpoznania górą na świecie.

Boje o jego zdobycie trwały od połowy XIX wieku.

Rywalizacja toczyła się pomiędzy brytyjskim alpinistą Edwardem Whymperem, a włoskim przewodnikiem Jean Anthonie Carrelem. Whymper z towarzyszami wyprzedził konkurenta o cztery dni, osiągając wierzchołek 13 lipca 1865 roku. Podczas zejścia zginęła czwórka z siedmiu zdobywców. Tragedia ta wywołała ogólnosiwiatową dyskusję, wstrzymując na kilka lat falę górskich eksploracji.

Z górą związane są nazwiska najślawniejszych włoskich alpinistów. Giusto Gervasutti zimą 1936 roku, wszedł samotnie na szczyt. W 1965 roku – dokładnie w setną rocznicę zdobycia szczytu – Walter Bonatti, na pożegnanie z ekstremalnym alpinizmem, poprowadził solo direttissimę północnej ściany.

W historii Matterhornu istnieje też polska karta. Latem 1977 roku Anna Czerwińska wraz z Krystyną Palmowską zaliczyły Północny Filar. Było to pierwsze czysto kobiece przejście tak trudnej ściany. Kolejnej zimy polki wywołały jeszcze większą sensację: Wanda Rutkiewicz, Irena Kęsa, Anna Czerwińska oraz Krystyna Palmowska dokonały pierwszego kobiecego, zimowego przejścia północnej ściany – pokonując ją drogą braci Schmidtów. Ceną były ciężkie odmrożenia rąk i nóg Ireny Kęsa. Na szczyt prowadzi niewiele ponad 30 dróg i wariantów. Najprostszymi i zdecydowanie najpopularniejszymi



Piramidka Matterhornu widoczna ze schroniska Schwarzsee, ostatniego miejsca do którego można dojechać kolejką. fot. Marek Błaszczyk

mi są „drogi normalne”: droga pierwszych zdobywców – Grań Hörnli (AD) oraz Grań włoska zwaną również Granią Lion (AD+). Ich wyceny byłyby znacznie wyższe, gdyby nie ułatwienia – odcinki lin poręczowych oraz drabiny. Pozostałe granie, czyli Zmutt (D) oraz Furggen (D), nie posiadają ułatwień. Oferują długą mikstową wspinaczkę na umiarkowanym poziomie.

Wymienione powyżej drogi graniowe mają niewygórowane trudności. Z powodu długości i wysokości są jednak wymagające. Niezbędna jest umiejętność sprawnego (tzn. szybkiego) poruszania się w łatwym, ale i bardzo ekspozowanym terenie. Trudności (do IV) występują zwykle w kilku miejscach.

Drogi na ścianie północnej są wyzwaniem dla znacznie bardziej doświadczonych. Na najłatwiejszej (ED1) – *Klasycznej* – poprowadzonej w 1931 roku przez braci Schmidta największy problem stanowi wyszukiwanie drogi. Szczyt nie jest najwyższym wierzchołkiem Alp. Mimo tego należy przygotować się aklimatyzacyjnie. Popularnym sposobem jest wejście na jeden z wielu okolicznych czterotysięczników. Najlepszymi miesiącami na wchodzenie graniami są lipiec, sierpień oraz pierwsza połowa września. Na drogi przebiegające ścianami – z powodu kruchości, należy wybierać się na jesieni lub w zimie.

Grań Hörnli (północno-wschodnia)

Grań jest długa i męcząca. Mimo tego, z powodu niewielkich trudności wspinaczkowych jest często lekceważona. Wyszukiwanie drogi w warunkach ograniczonej widoczności, pomiędzy Hörnlihütte, a schronem Solvay, może nastręczyć pewnych problemów. Powyżej schronu zainstalowane są punkty zjazdowe. Wszystkie trudniejsze miejsca są ospiętowane, a w części szczytowej wiszą grube liny poręczowe.

Kilka metrów pod szczytem – na grani, stoi kilkudziesięciocentymetrowa figurka św. Bernarda – patrona alpinistów. Postawiono ją z okazji obchodów 125 rocznicy zdobycia szczytu.



Na grani – widoczny nos Zmutt. fot. Wojtek Ryczer



Miejsce biwakowe w pobliżu Hörnlihütte. fot. Marek Blaszczyk

Pierwsze przejście: Edward Whymper, Charles Hudson, Robert D. Hadow, Lord Francis Douglas, Michel Auguste Croz, Peter i Peter Taugwalder (ojciec i syn), 13 lipca 1865 r.

Różnica poziomów: 1218 metrów – od Hörnlihütte do szwajcarskiego wierzchołka.

Trudności: AD (III-). Głównie skała, często luźna – spadające kamienie są nie do uniknięcia. Śnieg i lód występują na ramieniu oraz w okolicach szczytu.

Punkt startu: Hörnlihütte.

Czas: 5-6 godzin do szczytu.

Schroniska, miejsca biwakowe:

Hörnlihütte: (3260 m, 50 miejsc). 4,5 godziny od Zermatt (1600 m różnicy wysokości), poprzez Schwarzssee. Otwarte od 15 czerwca do 15 września. Telefon: +41 27 967 2769 (z doliny 967 5468).

Hotel Schwarzssee: (2584 m, 12 miejsc). 2,5 godziny z Zermatt, 2 godziny poniżej Hörnlihütte.

Można do niego dojechać kolejką, kursującą pomiędzy 7 rano a 17:50. W budynku górnej stacji, w sąsiedztwie Hotelu Schwarzssee znajduje się tawerna – istotny punkt w programie nisko-budżetowych wyjazdów.

Solvayhütte: (4003 m, 10 miejsc). Schron ratunkowy, 3 godziny z Hörnlihütte. Zawsze otwarty, wyposażony w radiostację. Brak wody. Za nieprzymusowy nocleg należy zapłacić w Hörnlihütte (przypuszczam, że znaczna większość wspinaczy nie praktykuje tego zwyczaju). Przy szwajcarskich cenach, trzykrotnie większych od polskich, schroniskowe noclegi należą do bardzo drogie. Większość wspinaczy z państw byłego bloku

wschodniego śpi w namiotach. Kamienne platformy znajdują się w pobliżu Hörnlihütte. Wodę można nabrać ze „źródłka”, które znajduje się kilkadziesiąt metrów poniżej miejsca biwakowego.

Na rozbieżność w pobliżu innych schronisk niż Hörnlihütte oraz Hotel Schwarzssee warto uzyskać zgodę obsługi. W przeciwnym wypadku, o poranku może ujawnić się brak naszych butów. Frycowe jest płatne w recepcji, a jego wielkość to równowartość noclegu...

Grań Lion lub Grań włoska (południowo – zachodnia)

Droga pozwala na długą i przyjemną wspinaczkę o umiarkowanych trudnościach. Tak jak na grani Hörnli, tak i tutaj, zainstalowano wiele lin poręczowych. Dodatkową atrakcją jest drabina – zwana schodami Jordana. Największe techniczne trudności (około IV+) występują przed wejściem na Pik Tyndall. Lekkie problemy orientacyjne mogą wystąpić ponad schronem Carrel (około 3900). Przed atakiem szczytowym warto wybrać się na krótki rekonesans.

Pierwsze przejście: Jean Antoine Carrel oraz Jean Baptiste Bic.

17 lipca 1865 r.

Różnica poziomów: 643 m od schronu Carrel (3835 m) do wierzchołka szwajcarskiego (4478 m).

Trudności: całość AD+, IV+ w dwóch miejscach. Skała względnie dobra. Śnieg i lód w kopule szczytowej.

Punkt startu: Schroniska: Carrel lub Savoia.

Czas: 4 do 5 godzin.

Schroniska, miejsca biwakowe:

Rifugio Duca degli Abruzzi: (2802 m, 40 miejsc). Otwarty od 1 czerwca do 30 września. Około 2,5 godzin od Cervinii. Większość korzystających to południowo-ścinowi wspinacze. **Rifugio Carrel:** (3835 m 45 miejsc). Otwarte w lecie. 4 godziny od Schroniska Abruzzi. Droga ewidentna.

Rifugio Luigi Amedeo di Savoia: (3847 m, 16 miejsc). Zawsze otwarty.

Grań Zmutt (północno – zachodnia)

Droga ma 3 kilometry długości i jest jedną z najdłuższych dróg mikstowych w Alpach. Trudniejsza od grani Hörnli i Lion, porównywalna z granią Furggen. Wielu uważa ją za najlepszą drogę wspinaczkową na szczyt – nie ma na niej sztucznych ułatwień. Niewielka ilość pozostawionej przez poprzedników asekuracji sprawia, że

wspinaczka należy do ambitniejszych. Grań posiada śnieżny fragment (jako jedyna spośród wszystkich czterech).

Do początku drogi można dotrzeć na dwa sposoby. Oba warianty zajmują od 2 do 3 godzin (oczywiście w optymalnych warunkach). Pierwszy, ostatnio rzadko praktykowany, polega na dojściu z Schönbielhütte. Drugi, na wykonaniu trawersu pod północną ścianą, od startu drogi na grań Hörnli (trawers zaczyna się 20 metrów powyżej Hörnlihütte).

Podczas załamania pogody nie ma bezpiecznej i prostej możliwości wycofania się z grani. Trawers podstawy północnej ściany – w trakcie i po opadzie śniegu – jest zagrożony lawinami, wycof od Schönbielhütte również. W związku z powyższym, na grań Zmutt powinni wybierać się doświadczeni wspinacze, tylko przy stabilnych warunkach pogodowych.

Pierwsze przejście: Albert Frederick Mummery, Alexander Burgener, Johann Petrus oraz Augustin Gentinetta. 3 września 1879 r.

Różnica poziomów: 1200 metrów od początku grani (z poziomu Hörnlihütte).

Trudności: całość AD+, IV-, wspinaczka mikstowa. Śnieg i lód w kopule szczytowej.

Punkt startu, czas: 9 godzin z Hörnlihütte, 10 godzin z Schönbielhütte.

Opisane trudności dotyczą grani. Na fragmentach trawersu pod północną oraz na starcie grani konieczna jest asekuracja z szabli śnieżnych.

Droga zejścia: Grań Hörnli lub Grań Lion.

Schroniska, miejsca biwakowe:

Hörnlihütte: patrz grań Hörnli.

Schönbielhütte: (2694 m, 80 miejsc). Otwarte od połowy marca do połowy września.

3 godziny od Schwarzsee, lub 4,5 godziny z Zermatt, idąc przez wieś Zmutt. Usytuowane po drugiej stronie lodowca Zmutt, patrząc od strony Matterhornu.

W przeszłości główną klientelę stanowili wspinacze wchodzący granią Zmutt. Dziś popularniejszym punktem startu wspinaczki tą granią jest Hörnlihütte.

Grań Fürggen (południowo-wschodnia)

Spośród czterech grani jest najkrótszą oraz najbardziej zagrożoną (znaczna kruszyzna) – to niebezpieczeństwa



Ostatni, wymagający asekuracji z szabli śnieżnych odcinek trawersu północnej ściany fot. Wojtek Ryczer

obiektywne sprawiają, że jest tak mało popularna. Należy wybierać się na nią w sezonie późno letnim lub wczesnojesiennym.

Zdobyta została jako ostatnia, w 1911, po wielu nieudanych próbach przeprowadzanych przez najlepszych alpinistów. Oryginalna droga schodzi z grani na wschodnią ścianę, omijając ramię Furggen. Prostownie grani wykonane zostało dopiero 23 września 1930 roku.

Pierwsze przejście: Mario Piacenza, Jean Joseph Carrel oraz Joseph Gaspard, 9 września 1911 r.

Różnica poziomów: 1154 m (z biwaku Bossi).

Trudności: IV+

Punkt startu, czas: biwak Bossi, 9 godzin.

Droga zejścia: Hörnligrat lub Liongrat, 4 godziny.

Schroniska, miejsca biwakowe:

Bivacco Oreste Bossi: (3300 m, 9 miejsc). Chatka biwakowa u podstawy grani Furggen. **Hörnlihütte:** patrz grań Hörnli.

Przewodniki:

– Jan Babicz. Dariusz Tkaczyk „Alpy”.

– SAC, „Guide des Alpes Valaisannes, Vol. III”. Po niemiecku lub francusku.

– Lindsay Griffin: „Selected Climbs in the Valais Alps West”. Po angielsku.

– Album „Jak zdobyć najpiękniejsze góry świata”, redaktor Audrey Salkeld. wyd. Galaktyka.

Mapy:

1:25000 CNS (Cartes Nationales de la Suisse) „Matterhorn”

1:25000 LKS (Landeskarte der Schweiz) „Zermatt, Gornergratt”

Linki:

<http://www.peakware.com/encyclopedia/peaks/matterhorn.htm> – ogólne informacje

<http://www.ivo.se/mike/matter.html> – o wejściu z przewodnikiem.

<http://www.bielefeldt.de/matterhe-print.htm> – o wejściu granią Hörnli

<http://www.willierup.com/matterhorn/> – o wejściu granią Lion (włoską)

http://www.zermatt.ch/e/in_general/summer.html – o atrakcjach Zermatt

TOPO: Patrz kolorowa wkładka



Sanetsch – Montons fot. Marek Soszka



Na płytach Eldorado fot. Marek Soszka



Wycieczka po Szwajcarii

Marek Soszka

Pod koniec sierpnia zeszłego roku, wraz z Sławkiem Eysmontem (tabor w Sokolikach) bawiliśmy przez kilka dni w Moku i tam poznaliśmy przypadkiem Krzyśka Worytkiewicza. Zajrzał w Tatry po drodze z Bratysławy do Montreux, gdzie mieszka od lat. Wieczór przed schroniskiem upłynął bardzo wesoło. Rano kawa, wymiana adresów i nasz nowy znajomy udał się na Palenicę.

Dwa tygodnie później, po szybkiej jeździe i drzemce na parkingu za Bernem, zjawiliśmy się u Krzyśka na śniadaniu i nie wiem, kto był bardziej zaskoczony: on czy my. Po dobrej kawie i z dobrą prognozą na dwa dni, ruszyliśmy do Chamonix. W górach zagościła już jesień i wyżej położone ściany były pokryte śniegiem. Udało nam się zrobić jedną drogę na Aiguille Rouge i w deszczu wylądowaliśmy ponownie nad Jeziorem Genewskim, na nieco dłuższy pobyt u Krzyśka i jego rodziny.

W Szwajcarii jest tyle rejonów wspinaczkowych, co w Polsce gospodarstw rolnych i wiele z nich opanowanych zostało przez krowy, ale o tym postaram się pisać jak najmniej.

Pogoda miała się stopniowo poprawiać, ale o ścianach położonych na 3000 m można było zapomnieć, wrzesień okazał się być zbyt późną porą. Jednak dzięki doświadczeniu naszych gospodarzy oraz informacji telefoniczno – elektronicznej, mogliśmy wspinąć się codziennie, przemieszczając się w coraz to dalsze rejony. Zaczęliśmy więc od starego kamieniołomu pół godziny drogi od domu. Miejsce nie było urokliwe, ale 20-to metrowe ściany pozwoliły się poruszać.

Następnego dnia udaliśmy się do kurortu Leysin,

stamtąd kolejką pod stumetrową wapienną ścianę Sphinx, o wyglądzie zbliżonym do Dolomitów, położoną na wysokości ponad 2000 metrów. Zrobiliśmy tam historyczną drogę *Harlin – Robins* (6b, 3 wyciągi) i jeszcze jedną o tych trudnościach. Doskwierał nam nieco chłód, a o krowich dzwoneczkach obiecałem nie pisać.

Rejon Leysin tworzą ściany Tour d’Ai, Sphinx i Le Diamant o wysokości 100 – 150 m. Znajduje się na nich niespełna 100 dróg o trudnościach od 5a do 7b, przy czym ciekawsze są te powyżej 6a. Okolica jest ładna, ściany godne polecenia. Można zabawić się pod okapami, ale rozstawienie namiotu to raczej przesada. Dużo tam turystów, a w weekend również wspinaczy.

Bardzo ciekawie wyglądała ściana Diamant, bardziej oddalona od kolejki, jednak czas było wracać do Montreux. Odwieźliśmy Krzyśka, który nam towarzyszył, podziękowaliśmy za gościnę jego towarzysze i jeszcze tej nocy rozbiliśmy namiot za przełęczą Sanetsch.

Obudziły nas krowie dzwoneczki, odgłos przewracanych menażek i w końcu widok wielkiej głowy z rogami przed wejściem do namiotu. Szybko wrzuciliśmy graty do samochodu i śniadanie zjedliśmy już w bezpiecznym miejscu. Udał się na poleconą drogę *Follomi* (6b). Ośiem pięknych wyciągów, początkowo w łatwych przewieszaniach i zacięciach, później w trudniejszych płytach, sprawiło nam wiele radości. Zejście ze szczytu było ewidentne i już niebawem mogliśmy zająć się życiem bazowym. Tym razem namiot postawiliśmy wśród głazów powyżej toalety, w miejscu, gdzie jest to dozwolone. Wodę braliśmy ze strumienia tuż obok.

Gdy z przewodnikiem w ręce rozglądaliśmy się za celem na następny dzień, natknęliśmy się na dwóch panów w średnim wieku, którzy okazali się być braćmi Remy. Właśnie skończyli dzień pracy przy uzupełnianiu ubezpieczenia na kolejnej drodze. To oni stworzyli ten rejon i zajmują się jego konserwacją. Polecili nam drogę *Douce violence* (6c).

Szczyt o wschodzie słońca.
Zdjęcie z biwaku – 5 minut od Hörnlihütte
fot. Wojtek Ryczer

Matterhorn

Przebieg dróg na Matterhornie

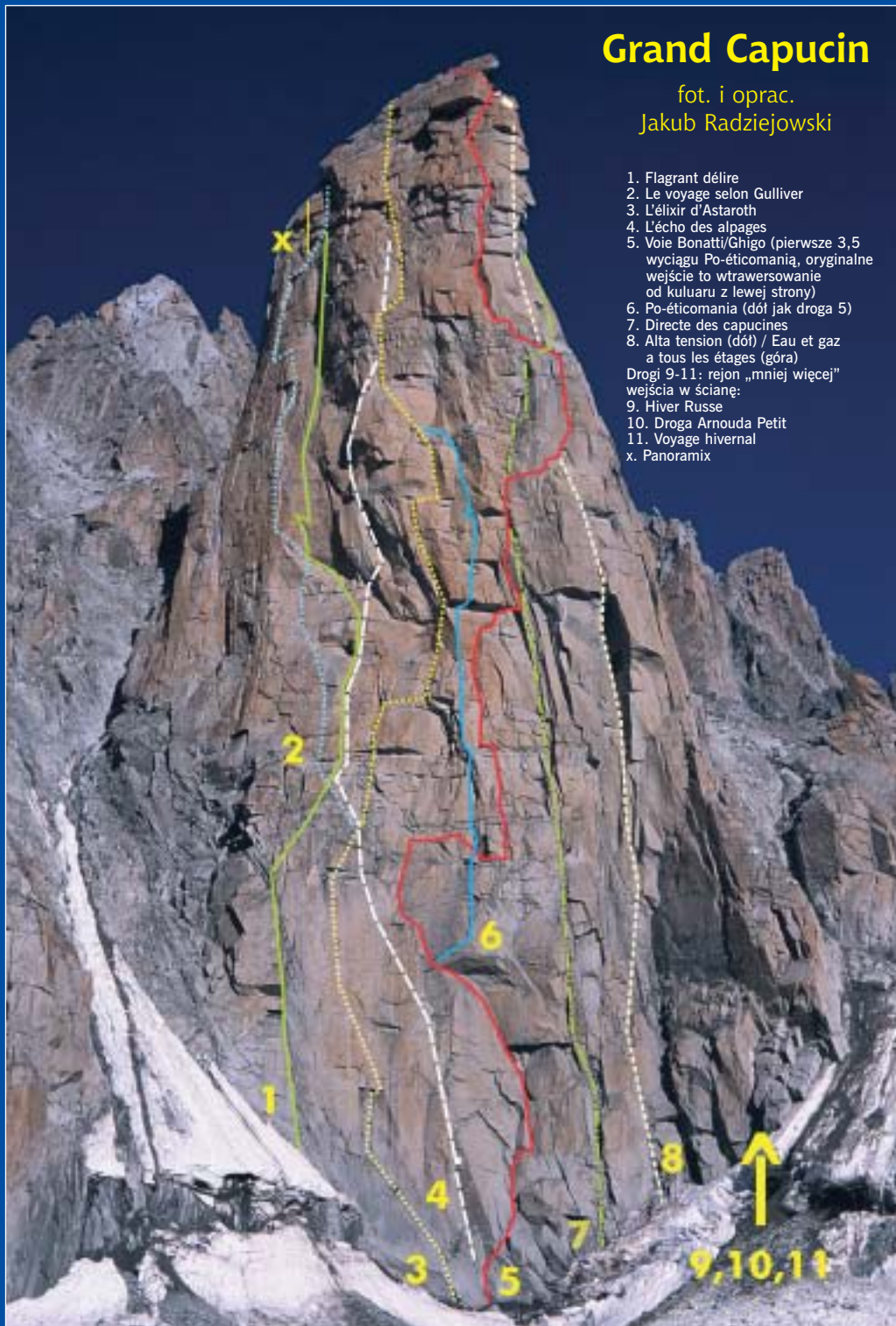
1. Grań Fürggen D-/D
2. Grań Hörnli AD
3. Droga klasyczna
(braci Schmidt) ED1
4. Grań Zmutt D



Grand Capucin

fot. i oprac.
Jakub Radziejowski

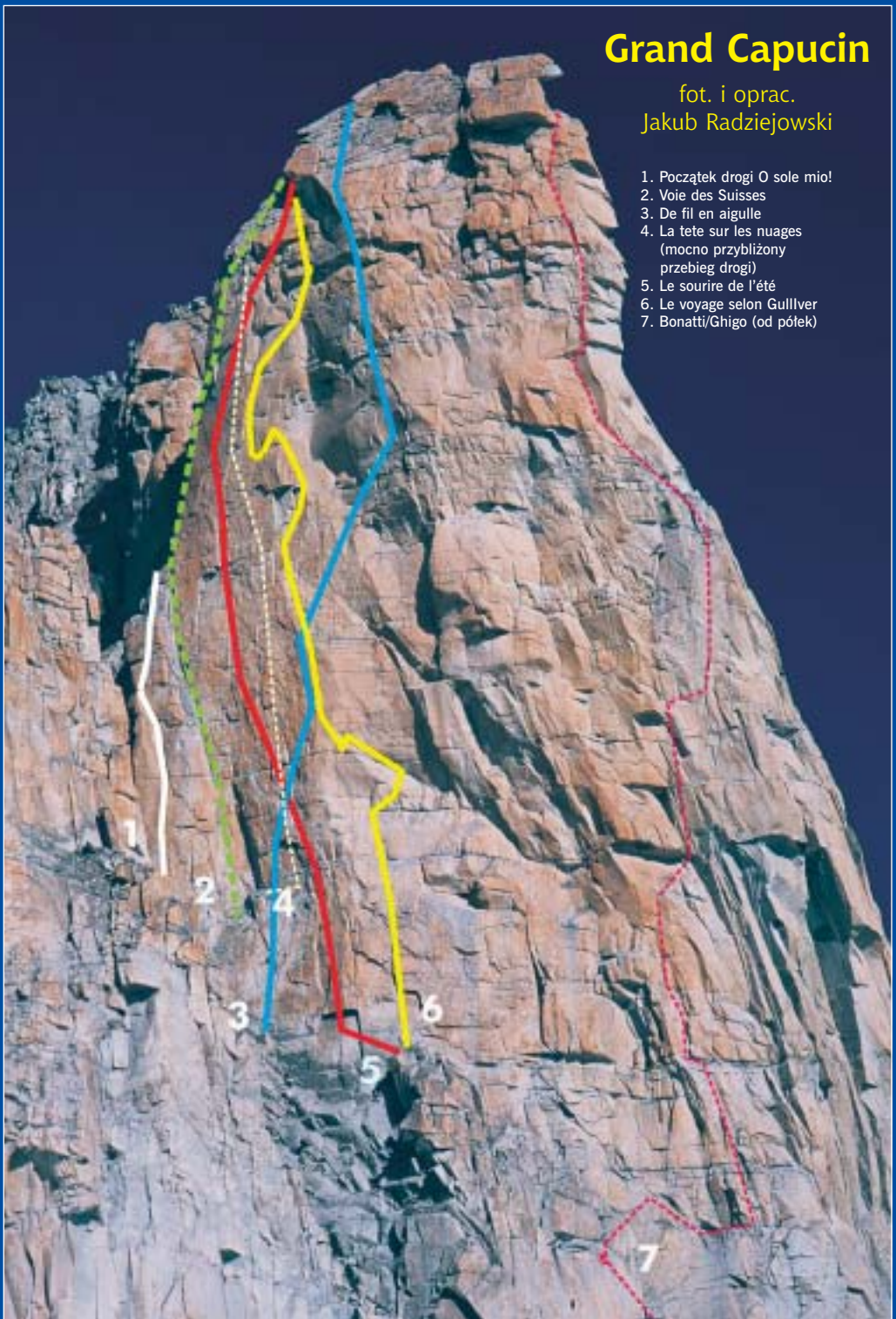
1. Flagrant délire
 2. Le voyage selon Gulliver
 3. L'élisir d'Astaroth
 4. L'écho des alpages
 5. Voie Bonatti/Ghigo (pierwsze 3,5 wyciągu Po-éticomania, oryginalne wejście to wtrawersowanie od kuluaru z lewej strony)
 6. Po-éticomania (dół jak droga 5)
 7. Directe des capucines
 8. Alta tension (dół) / Eau et gaz a tous les étages (góra)
- Drogi 9-11: rejon „mniej więcej” wejścia w ścianę:
9. Hiver Russe
10. Droga Arnouda Petit
11. Voyage hivernal
x. Panoramix



Grand Capucin

fot. i oprac.
Jakub Radziejowski

1. Początek drogi O sole mio!
2. Voie des Suisses
3. De fil en aiguille
4. La tete sur les nuages
(mocno przybliżony
przebieg drogi)
5. Le sourire de l'été
6. Le voyage selon Gulliver
7. Bonatti/Ghigo (od pótek)



Marmolada

fot. i oprac.
Krzysztof Sadlej



„Gogna”





„Solda”



„Gogna” i „Tempi Moderni”



Höllental

Buśka na 'Welcome to Stadliwand' 7-/7.
Rejon Vodere Stadliwand fot. Wojtek Ryczer

Preinerwandplatte - topo

fot. i oprac.
Jacek Patrzykont

Preinerwandplatte





Mnich pn.-zach ściana "Warianty Klasyczne"

VI+, 2.5 godz.

A. Gładki i M. Tertelis
lipiec 2003



"Syta Pępisia" (NA CZERWONO) VI.2, OS DDS

fot. i oprac. Maciej Tertelis



Tatry

Khan Tengri



Droga klasyczna - widok z przełęczy (5200)

fot. i oprac. Wojtek Ryczer

Ama Dablam



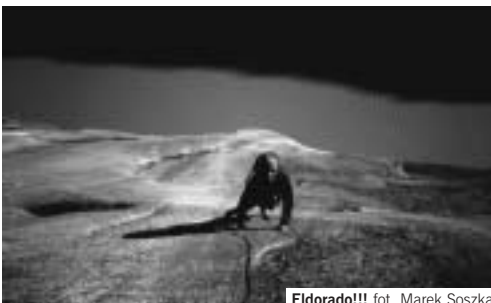
Ama Dablam z Pangboche
fot. Tomasz Burzyński



**Kopuła szczytowa Ama Dablam
o zachodzie** fot. Tomasz Burzyński



Krzysiek w Eldorado fot. Marek Soszka



Eldorado!!! fot. Marek Soszka



Sanetsch – droga *Follomi* (6b)
fot. Marek Soszka



Sanetsch – droga *Show* (7a)
fot. Marek Soszka

Droga rzeczywiście była śliska i udało się nam przejść ją, jak wszystkie dotąd, w stylu OS. Pięć wyciągów 6b – 6c prowadziło płytami, ściankami, rzadko przewieszkami, w pewnej i wspaniale szorstkiej skale. Później jeszcze dwa łatwiejsze i zjazdy.

W Sanetsch można wspinąć się na dwóch ścianach zbudowanych z szarego i pomarańczowego wapienia: Montons i Orphee, na których poprowadzono 32 drogi o trudnościach od 5c do 7b+ i długości kilku do kilkunastu wyciągów.

Drugiego dnia, już po wspinaniu, szybko się spakowaliśmy i pojechaliśmy do Sion po Krzyśka, który załatwił, co miał załatwić i znowu mógł się wspinąć. Stamtąd ruszyliśmy w poszukiwaniu Eldorado. Betonowy parking, na którym przespaliliśmy resztę nocy, to jeszcze nie było to. Godzina podejścia przez zaporę, później wzdłuż sztucznego jeziora i jest! Lśniący w słońcu złota ściana. Wybraliśmy jakąś nową drogę o trudnościach 6a; Krzysiek już znał wszystkie klasyki.

Eldorado to 500 metrowa granitowa ściana, wypolerowana przez lodowce, oferująca ogromne połacie rajbungowych płyt, które stanowią o wyjątkowym charakterze tego rejonu. Spity osadzone są na nich dosyć oszczędnie, co na nie wprawionych wspinaczach może robić wrażenie. Poza tym, z rzadka trafiają się zacięcia i rysy. Piękna pogoda, trzy osobowy zespół i niezwykła sceneria sprawiły, że wspinaczka szła nam niespiesznie i radośnie, a przy kopczyku ponad ścianą znaleźliśmy się razem z ostatnimi promieniami słońca. Pod nami jezioro o niezwykłym kolorze, wokół góry, na zachodzie lodowce; no pięknie... Po ciemku wróciliśmy na nasz parking i nie mieliśmy już siły szukać przyjemniejszego miejsca na nocleg. Zrekompensowaliśmy to sobie w barze szlachetnym trunkiem. Należało się, bo ta niewątpliwie udana, choć różna od przedwyjazdowych planów, wycieczka dobiegała końca. Następnego wieczora dojechaliśmy ze Sławkiem do Wrocławia.

Szwajcaria obfituje w rejon wspinaczkowe – wapienne i granitowe, sportowe, wielowyciągowe i duże alpejskie ściany. Zachęcam do zwiedzania.

Korzystaliśmy z dwuczęściowego przewodnika Jurga von Kanel *Schweiz plaisir* i *Schweiz extrem*, w którym opisana jest większość dróg ze wspomnianych rejonów. Ponadto mieliśmy do dyspozycji bibliotekę Krzyśka z monografiami i czasopismami, których podobno już nie można kupić.

Krzysiek Worytkiewicz, matematyk, od dzieciństwa mieszkający we Francji i Szwajcarii, wspinając się w skałach, górach i lodospadach Europy, Kanady i USA. W tym roku po raz pierwszy odwiedził Sokoliki.



Cyrk Bhagirathi – celem wyprawy była środkowa, najniższa ściana fot. Marcin Wernik

Bhagirathi IV



Jakub Radziejewski

(na podstawie informacji od uczestników)

Na wiosnę 2003 roku odbyła się pierwsza od lat wyprawa UKA w Himalaje Garhwalu. Celem wyprawy miała być wciąż dziewicza, zachodnia ściana Bhagirathi IV. Skład wyprawy to zaledwie dwie osoby: Marcin Wernik i Robert Sieklucki. Dla obydwu był to pierwszy wyjazd w góry wysokie i niestety nie zakończył się on sukcesem. Przyczyn jak zwykle nie było mało. Do tych najważniejszych należały: przedłużający się transport ze względu na ucieczkę porterów, niedostateczne przygotowanie taktyczne (morena, której według mapy miało nie być – konieczność przenoszenia bazy i sprzętu) oraz jak zwykle pogoda. A oto przebieg wyprawy:

- 10 kwietnia – wylot z Polski;
- 11 – 12 pobyt w Delhi: Wizyta w IMF (uzyskanie pozwolenia na wspinaczkę);
- 13 – wyjazd z Delhi i dotarcie do Uttarkashi;
- 14 – drugi dzień podróży i dotarcie do Gangotri;
- 15 – karawana – dojście do Bhujbasa 3840 m n.p.m. (wieczorem uciekają porterzy);

- 16 – karawana do Gaumakh 3940 m n.p.m. – wyprawa znajduje się u stop lodowca;
- 17 – karawana do Nandanban;
- 18 – założenie Base Campu i transport części sprzętu i wody do planowanego ABC;
- 19 – założenie Advance Base Camp (burza śnieżna) i transport sprzętu na wysokość 4720 m n.p.m.
- 20 – transport całego sprzętu do ABC I;
- 20 – 25 transport sprzętu do góry i przeniesienie ABC na wysokość 4940 m n.p.m. Załamanie pogody
- 26 – decyzja o zakończeniu wyprawy.
- 26-30 transport sprzętu na dół.
- 1-4 maja zejście na dół i transport do Delhi;
- 5 maja – IMF – formalne zakończenie wyprawy;
- Powrót do kraju

Tytułem uzupełnienia informacji o rejonie warto wspomnieć o tym, że na sąsiedniej ścianie (na zdjęciu po prawej) Bhagirathi III jest, co najmniej kilka dróg: szkocka (VI+, A2), jugosłowiańska (VIII, A4, lód do 85°) i dwie hiszpańskie z roku 1984 (VI, A3+) oraz z roku 1999 (ED, V+/A3 i lód 65°). Na Bhagirathi II również są drogi...

Literatura: Jan Babicz *Peaks and Passes of the Garhwal Himalaya*, Sopot 1990

44

Góry świata



Ama Dablam fot. Tomasz Burzyński

AMA DABLAM, zrealizowane marzenie



Tomasz Burzyński

Ama Dablam – gdy ją ujrzałem kilka lat temu w albumie – nie wiedząc jeszcze, co to za góra, gdzie dokładnie się znajduje i jakie są możliwości wspinaczki – wiedziałem, że jeżeli kiedykolwiek uda mi się pojechać w Himalaje, będzie to mój pierwszy cel.

Później, kiedy okazało się, że „Napa” organizuje tam cykliczne wyprawy, zrodził się w mojej głowie pomysł... i tak dojrzywał kilka lat, aż do 2002 roku. Decyzja została podjęta na początku roku: „teraz albo nigdy!”; kontakt z Ryśkiem (akurat na początku roku był na Makalu), znowu niecierpliwe czekanie, aż wreszcie na wiosnę... jest! Telefon od Ryśka... „tak, oczywiście, moje plany są poważne, wspinam się od dawna, do zobaczenia w W-wie...”, klamka zapada.

Potem jeszcze tylko pełne obaw o przyszłość egzystencjalną załatwianie kredytu, umożliwiającego sfinansowanie marzenia, zakupy sprzętu i... dzień za dniem coraz bliżej Tego Dnia.

Sobota, 19 października, lecimy we czwórkę,

najpierw do Wiednia, tam przesiadka i długi lot do Delhi w Indiach, tu przerwa, koczowanie na lotnisku w oczekiwaniu na kolejny samolot do Kathmandu.

Kto przeżył tych kilkanaście godzin na lotnisku w Delhi wie, co to oznacza – przynajmniej za pierwszym razem. Egzotyka zaczyna nas otaczać, ale nic to! Sklep bezcłowy jest kilka metrów obok, jego asortyment koi nasze nerwy i obawy, zasypiamy smacznie na lotniskowych fotelach.

Rano lot do Nepalu, w Kathmandu wita nas Rysiek i kolejna grupa wspinaczy z naszej wyprawy, tym razem koledzy Jacek i Stefan, na stałe mieszkający w USA.

I tak zaczyna się pędzący korowód wrażeń i emocji, przepętnionych egzotyką i całkowicie nowymi doznaniem... Kathmandu, Thamel, Durbar Square... Dwa dni mijają szybko, kolejnego rano

45

Góry świata



Lądowanie w Lukli fot. Tomasz Burzyński



Kopuła szczytowa Ama Dablam – widok z obozu drugiego fot. Tomasz Burzyński

lecimy do Lukli. Lot pełen emocji, chociażby z powodu samolotu, duże słowo – śmigłowe maleństwo mieszczące maksymalnie 15 osób, nawet nasz bagaż musiał podróżować bez nas. Poza tym lotnisko w Lukli to pas startowy długości około 250 metrów, wycięty w zboczu góry, a płyta lotniska jest wielkości boiska do koszykówki... Kiedy lądowaliśmy, pomyślałem, że jak się uda, to już nic na tej wyprawie nam nie grozi.

Wreszcie góry, prawdziwe Himalaje zaczynają odkrywać swoje tajemnice, zaczynamy karawanę doli-ną Solo Khumbu; z Lukli (2600 m n.p.m.) wyruszamy w kierunku Pakhding, następnie Namche Bazaar (3440 m n.p.m.), gdzie spędzamy dwa dni.

Z Namche Bazaar wyruszamy na aklimatyzacyjny wypad do Syangboche i Kjumjung, osiągając wysokość około 4000 metrów. Zaraz za Syangboche ukazuje nam się widok, który zatyka dech w piersiach. Pierwszy raz widzimy Ama Dablam, zaraz obok Lhotse i Everest.

Kolejny dzień to droga przez Tyangboche (wspaniały buddyjski klasztor) do Pangboche, gdzie spędzamy ostatni nocleg przed bazą pod Ama Dablam. Jesteśmy na wysokości niecałych 4000 metrów; niestety dla mnie niemiła niespodzianka, właśnie tutaj zaczynam odczuwać wysokość; czuję się bezradnie, kompletnie bez sił, z bólem głowy, nudnościami i wielkimi obawami o to, co będzie dalej – skoro tak nisko mnie „sieknęło”. Poza tym kom-

pletne zaskoczenie, przecież w Alpach tyle razy byłem wyżej i nie miałem takich objawów.

Na szczęście następnego dnia idąc do bazy, z każdym krokiem czuję się lepiej, a po niecałych trzech godzinach docieram do bazy (4500 m n.p.m.).

Moje marzenie zaczyna się realizować, w kolejnym dniu wyruszamy do obozu I-go na wysokości 5700 m, głównym celem jest aklimatyzacja i złożenie depozytu.

Pierwszy dzień jest chyba najtrudniejszy, krok za krokiem do góry, a powietrze coraz rzadsze... W końcu docieramy do celu, wspaniałe widoki, gdzieś w dole maleńkie punkciki namiotów bazowych, krótkie spojrzenie na drogę powyżej I-ki, kopułę szczytową Ama Dablam i szybko w dół do bazy. Docieramy o zmroku, zmęczeni, ale pełni optymizmu. W ciągu dwóch dni ponownie wychodzimy do I-ki, tym razem podejście jest dużo łatwiejsze i szybsze, zostajemy na noc w celu aklimatyzacji. Po powrocie do bazy wspólnie z Bogdanem wyruszamy na krótki trekking do Chukkung, pod południową ścianę Lhotse, a przy okazji popatrzymy na Naszą Górę od północy. Po drodze podziwiamy ogrom południowej Lhotse. Jest przepiękna, groźna i wspaniała zarazem. Podobnie północna ściana Ama Dablam, z tej strony wygląda dużo groźniej.

3-go listopada wychodzimy do góry, podobnie jak za pierwszym razem w dwóch zespołach dwójkowych; gdzieś na 5500 metrów Jacek zaczyna czuć się bardzo źle; ma koszmarny kaszel, wygląda to na zapalenie oskrzeli lub coś podobnego, z oczu bije mu straszny żal, ale sami doradzamy mu zejście na dół. Ta męczarnia nie ma dalej sensu, a grozi sporym niebezpieczeństwem. Zostajemy we trzech.



Namche Bazar fot. Tomasz Burzyński

Noc mija bez przeszkód, co prawda Bogdan trochę źle się czuje, ale ruszamy do II-ki. Stefan wyruszył już godzinę wcześniej, plan jest taki, aby dotrzeć do dwójki, zostawić depozyt i wrócić na noc do I-ki. Czuję, że to „mój dzień”, jest fantastycznie. Mam wrażenie, że jakbym wziął dobry rozpęd to zatrzymałbym się na wierzchołku. Żegnam się z Bogdanem i pędzę do góry, teren dość łatwy, poza tym są poręczówki. Po jakimś czasie dochodzę i mijam Stefana. Przede mną jeszcze tylko największe trudności skalne na tym odcinku, tzw. żółta ścianka, jeszcze parę metrów i jestem w II-ce – 6000 m n.p.m. Mimo, że to dopiero II-ka, ogarnia mnie euforia, czuję się znakomicie, widoki wprost bajkowe. Chwilę później spotykam Ryśka, schodzącego ze szczytu, krótka rozmowa i Rysiek pędzi na dół – jeszcze tego samego dnia zejście do bazy. Dociera Stefan, mówi, że Bogdan zawrócił do I-ki, szkoda. Zgodnie z planem też wracam do I-ki na noc. Stefan zostaje, chce jutro rano iść do III-ki. Rano Bogdan czuje się źle i schodzi do bazy, a ja startuję z zamiarem dojścia tego samego dnia do III-ki. Niestety dzisiejsza wspinaczka idzie mi gorzej niż wczoraj. Docieram do II-ki około 14-tej; decyduję się na nocleg. Topię lód, gotuję, jem i pstrykam zdjęcia; widok z namiotu w obozie II-im jest naprawdę imponujący.

W tym czasie szczyt atakują dziewczyny (Anka Czerwińska z Bałką z Słowenii), a Stefan dochodzi do III-ki. Wczesnym wieczorem kładę się spać nieświadom tego, że w górze trwa walka dziewczyn z Górą. Okazało się, że na szczycie były dość późno, a w drodze powrotnej tak zmroziło poręczówki, że nie dało się z nich korzystać. Całe szczęście po całonocnej walce, dziewczyny bezpiecznie docierają do namiotów.

Rano pełen optymizmu przygotowuję się do wyjścia w górę, ale Rysiek przez radio przekazuje mi informację, że mam poczekać na podchodzącego Adama i razem mamy ruszyć do III-ki. Z kolei Stefan ma poczekać na nas i wspólnie mamy atakować szczyt w dniu następnym. Adam dobiega do II-ki w tempie ekspresowym. Chwila odpoczynku i ruszamy wspólnie do III-ki. Powyżej, spotykamy dziewczyny zjeżdżające na dół. Są bardzo zmęczone przeżyciami poprzedniego wieczoru, wymieniamy uwagi, życzenia i kontynuujemy: my w górę, one na dół.

Wspinaczka jest coraz ciekawsza, po pokonaniu kilkudziesięciometrowej ściany skalno-lodowej, stajemy przed wyglądającym okazałe pionowym lodowym kuluarem. Powoli pniemy się do góry, niekończąca się ekspozycja grani śnieżna, jeden uskok, drugi i jeszcze kolejny... kiedy to się skończy? Wreszcie widzę namioty obozu III-go, dobrze, że nie trzeba już wyżej. W nagrodę niezapomniany zachód słońca nad skąpaną w chmurach doliną. Niestety robi się przeraźliwie zimno; nie mam siły na zmianę filmu i kolejne zdjęcia.

Noc spędzamy we trzech w jednym namiocie, trochę ciasno, ale za to humory nam dopisują, wieje okrutnie...



Adam na poręczówkach w kuluarze lodowym przed obozem trzecim fot. Tomasz Burzyński



Taboche fot. Tomasz Burzyński

O 8-ej rano jesteśmy gotowi do wyjścia, zimno prze-
rażliwie i wieje w dalszym ciągu. Powoli ruszamy
do góry – najważniejsze to przejść pierwsze sto kil-
kadziesiąt metrów śnieżnej ściany, wyżej powinno
być słońce i trochę cieplej.

Mam trochę za ciasne skorupy i czuję, że zaczynam
przemarzać. Poruszam palcami przy każdym kroku;
„kurcze..., przecież nie mogę się odmrozić!”

Powoli, powoli do góry, trochę cieplej, wreszcie
wychodzimy na słońce, pokonujemy lodowy uskok
seraka i wychodzimy na śnieżne pole. Mijają długie
minuty mozolnego przesuwania małpy po porę-
czówce. Przechodzimy szczelinę lodową i wcho-
dzimy do śnieżnej, dość głębokiej rynny wypro-
wadzającej na szczyt.

Ciężko... „za jakie grzechy?” pytam sam siebie.
Kolejne metry... Stefan i Adam zatrzymują się, coś
kombinują ze sprzętem, rozcierają ręce, chcą się
rogrzać przez kilka minut.

Idę dalej, cały czas myślę „jak długo jeszcze?” Mijam
się ze schodzącym ze szczytu westmanem. Słyszę:
„last rope” – jest dobrze, ostatnia poręczówka... Jest!
Wypinam małpe, jeszcze kilka metrów i jestem
na szczycie!!!

Jest 7 listopada, godzina 13.30, coś ściska mnie za gardło, zre-
alizowałem swoje marzenie. Widok niesamowity, Everest i Lhotse
na wyciągnięcie ręki, pstrykam masę zdjęć...

Zimno koszmarnie i wieje okrutnie, siadam na plecaku i staram
się osłonić od wiatru... Czekam na chłopaków 20 minut. Wresz-
cie są, szybki uścisk rąk, wspólne zdjęcia, kontakt radiowy z ba-
zą. Zimno nie do wytrzymania, jestem już pół godziny na szczy-
cie..., chyba wystarczy. Schodzimy kilka metrów, wpinamy się
w poręczówki i jedziemy na dół. Mam niezłe tempo i wrażenie,
że moja ósemka rozgrzewa się do czerwoności. Po godzinie jestem
w namiocie obozu III-go. Różnica ogromna, wspinaczka w górę
zajęła mi ponad pięć godzin, zjazd w dół tylko godzinę.

Po 45 minutach docierają Adam i Stefan, dopiero teraz zaczynamy
cieszyć się z sukcesu, dopiero teraz dociera do nas, że się udało.
Noc mija bez przeszkód, chociaż męczy mnie koszmarny kaszel,
rano schodzimy; po południu jesteśmy w I-ce, robimy sobie dłuż-
szy odpoczynek i wyjadamy wszystko, co nam wpadnie w ręce –
bez znaczenia: zupki, rybki, słodycze. Robi się późno, a jeszcze
dzisiaj musimy zejść do bazy. Pogoda psuje, a po chwili zaczyna
padać śnieg. Wiemy, że płyty poniżej I-ki posypane śniegiem za-
mieniają się w lodowisko, czeka nas zjazd na tyłku. Adam wycho-
dzi pierwszy, ja ze Stefanem rozkoszujemy się jeszcze ciepłem na-
miontu i gorącym pićm. Po chwili ruszamy z nim.

Tak jak przypuszczaliśmy, na płytach dosłownie zjeżdżamy na tył-
kach, później mozolne schodzenie w dół, śnieg cały czas pada,
idziemy na „czuja”; trochę zbaczamy z drogi – nic nie widać, noc,
mgła i śnieg... W końcu trafiamy na właściwą drogę, są ślady Ada-
ma! Widzimy jego czołówkę w dole. Jest dobrze, zresztą pogoda
z każdą chwilą znów się poprawia.

Docieramy do bazy, czekają na nas uśmiechnięte twarze kolegów
i wspaniała kolacja przygotowana przez Khalu – naszego nepal-
skiego kucharza.

Noc jest fantastyczna, czuję się wyśmienicie – zupełnie jak w do-
mu. Zасыpiam przy muzyce z walkmana, zdając sobie sprawę, że
zrealizowałem swoje marzenie.



Południowa ściana Lhotse fot. Tomasz Burzyński



Autor na szczycie arch. Tomasz Burzyński

Właśnie, jednocześnie czuję coś na kształt pustki. Kilka ostatnich lat myślałem o tym, aby tu przyjechać. Teraz myślę o tym, co może być następnym celem... Może Pumori? Piękna góra i do tego przypomina najpiękniejszą górę świata – K2. A właśnie – K2... nie, na razie nie ma co o tym marzyć...

Następne dni z premedytacją spędzam na leniuchowaniu w bazie, część uczestników naszej wyprawy udała się na trekking do Gokyo i Kala Pattar, w tym samym czasie jeszcze dwie osoby wchodzą na szczyt.

Wszyscy w komplecie spotykamy się dopiero w Namche Bazaar. Tutaj wreszcie jest czas i możliwości

na uroczyste uczczenie naszego sukcesu, bo przecież osiem osób na wierzchołku bez wątpienia jest sukcesem. Dlatego wieczór w naszej lodge jest bardzo sympatyczny, spędzamy go przy odpowiednim wsparciu miejscowych, jak i importowanych trunków. Kolejny dzień to marsz do Lukli, nocleg i lot do Kathmandu. Tym razem na Thamelu rzucamy się głównie na... jedzenie, zaczynamy od steków w Everest Steak House. Po bezmięsnym miesiącu, mają nieprawdopodobny smak. Później zakupy i jeszcze raz zakupy, upominki dla rodzin i... niestety nasza przygoda dobiega końca. Kolejnego dnia meldujemy się na lotnisku, oczywiście mamy nadbagaż, zatem jedyny sposób, aby przejść odprawę to kilkadziesiąt wizerunków prezydentów USA wręczonych we właściwe ręce... Lecimy do Delhi. Tu długich perypetiach z bagażem wychodzimy na miasto. Tych kilka godzin spędzonych w Delhi (najpierw w dzielnicy turystyczno-handlowej ze słynnym bazar, później na zakończenie kolacja w pięknej wiktoriańskiej restauracji) zasługują na odrębną opowieść...

Później jeszcze tylko nerwówka przy odprawie bagażu. Okazuje się, że za nadbagaż mamy zapłacić ponad 700 USD!!! Oczywiście nie możemy sobie pozwolić na taki luksus. Dwa razy sięopakowujemy (czyt. wyrzucamy, co się da) i wreszcie na 20 minut przed odlotem samolotu zostajemy przepuszczeni bez żadnej opłaty. Kilka godzin i jesteśmy w innym świecie, poranna kawa na lotnisku w Wiedniu. Jeszcze godzinny lot małym samolotem i lądujemy na Okęcie.

Tak nasza przygoda dobiegła końca – mam nadzieję, że nie ostatnia tego typu i że za jakiś czas spotkamy się przy okazji kolejnej wyprawy.



Khan Tengri – widok z Base Campu fot. Zygmunt Stankiewicz

Władca Duchów

Wojtek Ryczer



U wielu z nas widok ślicznej góry budzi fascynację. Tak też było z Khanem. Perspektywa długiej podróży do serca Azji utwierdziła nas w przekonaniu, że warto. Z Jarkiem zabraliśmy się za organizację przedsięwzięcia, by w końcu, z czwórką przyjaciół – Zygą, Arkiem, Ignacym i Lipą – po blisko pięciu dobach spędzonych w pociągach i kolejnych czterech dniach przepięknego trekkingu, znaleźć się w Base Campie.

Z bazy zabieram jedzenie na kilkanaście dni akcji. Może uda mi się wtarabanić z tym wszystkim do dwójki (5200 m). Nie mam ochoty na kilkukrotne pokonywanie lawiniastego i gęsto uszczelnionego kuluaru, położonego właśnie pomiędzy dwoma pierwszymi obozami „... nie dam rady?”. Po dwóch godzinach marszu po lodowej pustyni jesteśmy w jedynce (4200 m), pod kuluarem. Druga w nocy. Dźwięk budzika. Wychylam się i stwierdzam, że mi się nie podoba. W sąsiednim namiociku słychać Zygę. „No i jak tam, idziemy?”. Odpowiada odgłos spadającej lawiny. Dzień upływa więc na czytaniu „Żartu” Kundery i delektowaniu się

widokami na strzelającą w niebo, otuloną pióropuszem chmur, majestatyczną sylwetkę Khana. Już wiemy czemu ten kolos nazywa się właśnie tak: khan znaczy władca, tengri – duch... Pancerna lampa trzyma do zachodu słońca.

Środek najbliższej nocy. Rzeško, mroziak, rozgwieżdżone niebo i najbardziej wyraźna z dróg mlecznych, które miałem okazję oglądać. Po raz dziesiąty zmieniam zdanie – będę wnosił wszystko na raz. Wiążę się z Ignacym i z Lipą, na linie podręcznikowe supełki – przed nami labirynt szczelin. Po tej odrobinie atrakcji – wyczekiwane mozolne ubijanie kuluarowej ścieżki staje się rzeczywistością.

Wyprzedzają nas kolejne tramwaje Rosjan. Wschodzi słońce. Systematycznie, nie śpiesząc się, krok za krokiem, pniemy się wyżej i wyżej. Ścieżka oznaczona traserami prowadzi wśród morza ogromnych szczelin. Mam wrażenie, że poruszamy się po śnieżnych wyspach. Jest pięknie. Wijący się niżej lodowiec wygląda niesamowicie a bariera seraków, którą mamy do przebycia potęguje wrażenie nierzeczywistego miejsca. Staram się iść wolno – spokojnie, wysokość da o sobie znać... już za kilka chwil. Przechodząc przez barierę seraków odpoczywamy zdecydowanie częściej, to już jakieś 5000. Wkrótce pojawia się, całkiem niedaleko, samotny namiotek z emblematem Lecha. Hmm? Po 5 minutach ten samotnik okazuje się być jednym z kilkunastu – reszta obozu schowała się w zagłębieniu. Ciężko dysząc siadam z wrażenia... w obliczu tej miłej niespodzianki.

Pożyczoną topatką, na zmianę z Pawłem, przygotowujemy platformę. Ignac jest wyłączony z zajęć. Ja też nie czuję się dobrze – tępy ból głowy daje znać o pokonanym kilometrze przewyższenia. Cóż – dobrze, że nie chce mi się rzygać. Przez resztę dnia kontestujemy ból głowy i czytamy „Żart” Kundery. Świetna książka, podzieliliśmy ją. Dziś już każdy czyta swoją część.

Jamki śnieżne, tuż pod przełęczą (5900) pomiędzy Khanem a Czapajewem, są trzecim obozem. Jest już tutaj cała nasza grupa. Czuję się całkiem dobrze – i jako jedyny postanawiam zostać na noc. Nie ma jednak wolnych jamek. Przytącam się więc do dwójki Rosjan z Omska. Kopiemy własną, jest gotowa po kilku godzinach mordęgi. Czacha pobolewa, aspiryna nieco wspomaga powrót do normalności. Po kilkugodzinnym przewracaniu się z boku na bok biorę inną białą pastylkę i wpadam w upragnione objęcia Morfeusza. Rano nie czuję się najgorzej. Znośnie. Postanawiam zostać jeszcze jeden dzień. Około południa wychodzę na rekonesans. Śnieg pada poziomo, jest mgła. W tym morzu bieli docieram do pierwszych

50

Góry świata



Autor dzień przed atakiem fot. Jacek Kleczko



Pocztówka z trekkingu fot. Wojtek Ryczer

skałek i z dwójką współlokatorów dochodzę na 6100. Głowa zaczyna mocniej boleć. Jeszcze kilka metrów. Wracamy. Do jamki docieramy już o zmroku. Spotykam Przemka z Jareckim – w sąsiedniej jamce spędzą aklimatyzacyjny nocleg. Kolejna dawka prochów, dodatkowo jakiś ruski specjal na aklimę. Śpię jak suseł. Współlokatorzy wychodzą około drugiej – zamierzają rozbić namiotik na 6400 i zaatakować kolejnego dnia. Samopoczucie, o poranku, określam jako dobre. Organizm się uczy. Tak jak sobie obiecałem, schodzę do dwójki.

Od początku tak długo oczekiwanej akcji górskiej czuję presję. Nakręcam się, a pretekstem do walki jest wiszące w powietrzu, wyimaginowane załamanie pogody. A dziś jest super. Nie mogę wytrzymać kilku chwil bezczynności. Mam ochotę zostać w dwójce jedną noc, i po kolejnej nocy w jamce, bezpośrednio z przełęczy wchodzić na szczyt. Na szczęście, Jarecki z Przemkiem przekonują mnie do kolejnego dnia odpoczynku.

Z Jarkiem czujemy się na siłach, Przemek niezbyt pewnie, ale pójdzie z nami, zresztą nie mamy zbyt wielu możliwości. Zostaliśmy w trójkę, reszta drużyny (Zyga, Arek, Ignac, Lipa) zeszła do Base Campu na kilkudniowy odpoczynek. Decydujemy się zabrać namiotik – skorzystamy z niego, jeśli jamki będą zajęte. Rozbiły na 6400, będzie naszym czwartym obozem.

W kompletnych ciemnościach nie możemy znaleźć wyprowadzającej na przełęcz poręczówki. W końcu

jakoś trafiamy i po wpięciu się mkniemy do góry. Czujnie trzymając się prawej strony przełęczy (lewa to nawis), mozolnie zbliżamy się do pierwszych skałek. Pokonywanie wiatru jest katagorą, -10 staje się -30. Świta, a tu dopiero 6200. Jesteśmy wyczerpani. Dalsze katowanie się nie ma sensu, zresztą i tak nie mamy sił. Rozbijamy namiotik na malutkiej, wystawionej na wiatr platformce.

Około południa, wraz ze słońcem, pojawia się nowa porcja motywacji. Godzinka ubierania i zaczynamy przepinać się po podnieszczonych poręczówkach. Kluczmy po prawej stronie grani. Mijamy kolejną małą platformkę i po męczących kilkudziesięciu metrach osiągamy wyraźne miejsce biwakowe. To 6400. Płatnina pozrywanych poręczówek, pordzewiałe puszkki, kilka metrów żółtego lodu. Tablica pamiątkowa. Miejsca na 3 małe namiotiki. Po prawej stronie mamy widok na piękne marmurowe żebro. Po lewej, w zasięgu dwóch kroków, dwu i pół (!) kilometrową lufę...

Przewracamy się na trzy-cztery w zbyt małym namiocie. Prośby z oszronionego od oddechów wnętrza. Wiatr trzęsie całością, regularnie wyrwywając poły spod sporych kamieni. Mam wrażenie, że za chwilę podrze się to w strzępy...; nie byłoby dobrze. Wyjście, na serwis, łączy się z nawianiem kolejnej topaty śniegu. Zastanawiam się, po jaką cholere znowu wybrałem takie wakacje? W końcu jest 7 sierpnia. Pozostała, zahibernowana dwójka, leży bez słowa. Podejrzewam, że myślą o tym samym. Zasypiam ze świadomością, że kolejny dzień będzie tym decydującym.

Otwieram oczy około ósmej. Jarecki z Przemkiem gotują. Ktoś telepie się na zewnątrz??? Słyszymy polskie „Chłopaki, mogę wejść na chwilę?” To nie halucynacje, mamy gościa – Irek, poznany w dwójce katowiczanie, wpada na herbatkę, w drodze na szczyt. Podjadamy ciasteczka. Co kęs rozgrzewamy dłońmi. Właśnie to ta czasochłonna czynność sprawia, że każda najprostsza rzecz urasta do rangi skomplikowanego przedsięwzięcia. Z Jareckim, już w raczkach i uprzączach, czekamy na zewnątrz. Wieje dobre kilkadziesiąt na godzinę. Przemek wychyla się, niepewnie się prostuje i robi krok naprzód. Wystarczy mocniejszy podmuch by jak kłoda padł na ziemię. Nie jest dobrze. Z Jareckim wymieniamy się spojrzeniami, słyszę: „Nie idę”. Myślę:



Morze olbrzymich szczelin fot. Zygmunt Stankiewicz

„Jak nie teraz to kiedy?”, piątka Przemka na drogę. Powodzenia.

Wiatr utrudnia poruszanie się, chłodzi odsłonięte części twarzy – powinienem być wchodzić w masce...

Początek jest naprawdę ciężki, jednak mimo tych warunków i większej wysokości, mam wrażenie, że tempo jest lepsze od wczorajszego – pewnie kwestia noclegu, aklimatyzacji. Nie boli głowa, jest super. Spokojnie przepinam się z poręczą na poręcz. Wiem, że mam kupę czasu – psychicznie czuję się komfortowo. Rozbijając namiot na 6400 skróciliśmy drogę. To dzięki temu marginesowi bezpieczeństwa mam okazję delektować się samotnością wspinania.

Idę w chmurach i widok na to, co poniżej zdarza się rzadko. Te kilkusekundowe, niesamowite widokówki wyznaczają miejsce przerw – robię kilkanaście zdjęć... nie wiem, że smary migawki zamarzyły, że wyjdzie jedno, a dwa inne będą naświetlone tylko do połowy.

Co kilka chwil, gdzieś wyżej, widzę Irka. Po raz ostatni, gdy pokonuje skalną ściankę na 6800. Trudności to jakieś słabe cztery, bądź co bądź to jednak prawie pion – i tutaj, chyba pierwszy i ostatni raz zastanawiam się nad sekwencją ruchów.

Na śnieżnej, wyprowadzającej na szczyt, grani mam już nie to samo tempo. Łapię oddech co pięć kro-

ków. Próba przyspieszenia kończy się dłuższym odpoczynkiem.

Spotykam schodzącego Irka. Udało mu się. Gratulacje. Do szczytu zostało około 40 minut – to jakieś 50 metrów różnicy wysokości. Czuję, że dam radę, wejść – nie ma bata.

Po kwadransie przypominają mi się nasze sprosne żarty, ze spersonifikowanym Khanem w roli głównej. Teraz myślę: „proszę...”. Ślady wyprowadzają na wypłaszczenie. Jest tutaj trochę sporych kamieni, zasy pył. Wieje bardzo, bardzo mocno. Wkoło mleko. Nie idę, staniam się – nieźle to musi wyglądać dla postronnego obserwatora. Głowa nie boli, ale rozrzedzone powietrze i wiatr sprawiają, że co kilka kroków klękam, tak łatwiej odpocząć.

„Gdzie jest ten... trójnóg”. Po kilku minutach.

Kilka tygodni później okaże się, że jedynym udanym, spośród wszystkich zrobionych podczas ataku zdjęć, jest jedno z tych szczytowych.

Monotonia zejścia. Wychodzi słońce. Asekuruję się improwizowanym przyrządem zjazdowym (HMS + czekanik). Spotykam Jareckiego, wyruszył dwie godziny po mnie. Super, czasu ma aż nadto, a warunki są już znacznie lepsze. Wymieniamy się informacjami – do szczytu zostało mu około godzinki. Przemek zrezygnował.

Docieram do namiotiku. Gospodarz, wita mnie przed progiem.

Mamy sąsiadów. Dwóch Rosjan chce atakować kolejnego dnia.

Śpią w malutkiej szurmowej Salewie. Po godzince wraca Jarecki.

Nieżył czas... Wchodząc na szczyt miał widok na las Tienszańskich kolosów. Dostał najpiękniejszą z nagród i ją docenił – nie pozostało nam nic innego – wysłuchaliśmy opowieści o tżach szczęścia.

Po nocy bez zmrúżenia oka przywitało nas załamanie pogody. Widoczność na kilkanaście metrów, mocny wiatr. Przypomina mi się, co ktoś powiedział: „tak, tu zawsze wieje”. Nie zanosi się na to, ale mam nadzieję, że powtórzy się utarty schemat, czyli pogoda od 14. Rosjanie są chyba innego zdania – zwiájają się. Zgodnie z planami zwiájamy się i my. Startuję kilka chwil przed chłopakami. Nie wiem, że u Przemka pojawiają się zaburzenia koordynacji – objawy choroby wysokościowej. Na całe szczęście delikatne. Znaczy to tyle, że będzie schodził o własnych siłach. Asurakcja Jarka okaże się niezbędna, na szczęście, tylko w momentach przepinania się pomiędzy poręczówkami. Na przełęcz idę w całkówym mleku. Z powodu braku punktów odniesienia tracę poczucie odległości. Czuję się zawieszony w przestrzeni. Nie mam pojęcia gdzie należy zacząć schodzić, by trafić do jamek. Postanawiam trawersować. W pewnym momencie, na kilka sekund, w chwili przejaśnienia zauważam las kijeków – to miejsce koncentracji jamek. Po wejściu do naszej nie ma ani śladu. Dopadało 50 centymetrów... godzina z łopatką i zaczynam gotowanie. Termos herbatki jest gotowy akurat na przyjście chłopaków. Wkrótce wpada Irek. Właśnie dla takich chwil warto...

Schodzę z Irkiem do dwójki, ostatnie spojrzenia na przełęcz, na błyszczący się w promieniach zachodzącego słońca szczyt Khana. Jeszcze długo nie dotrze do mnie, że zdobyłem tegoroczny szczyt marzeń. Coraz wyraźniej odczuwam kilkudniowy wysiłek, a w obozie czeka mnie kolejna sesja z łopatką. No, namiot odzyskany, w każdym razie na tyle by można było wcisnąć się pomiędzy ścianę a depozyt zostawiony przez resztę ekipy – „Co się z nimi dzieje... może dojdą jutro?” Z tymi wątpliwościami zapadam w mocny i co ważniejsze – naturalny sen.

Kolejnego ranka odkuwamy namiocik. Poły pokryte są wielkimi kawałami lodu. Obficie rzucam mięsem – sikanie, co prawda na zewnątrz, ale bez wystawiania stóp poza namiot, nie było najlepszym pomysłem. Dobija nas depozyt reszty – postanowiliśmy zabrać wszystko i teraz każdy z naszej trójki ma grubo ponad 30 kilo.



Lodowa pustynia fot. Wojtek Ryczer

Schodzimy bardzo, bardzo czujnie. W kilku miejscach przecinamy świeże lawiniska. Przemek przewraca się co chwila – to choroba wysokościowa i wyczerpanie dają o sobie znać. Musimy nieźle wyglądać – Czesi, mieszkańcy jedyńki, patrzą się z podziwem – kilkunastodniowy zarost, odmrożony policzek, zgarbiony chód i wielkie ciężkie wory.

Jest tu nasz namiocik? Z kolejnym depozytem??? „Co to...? Jest, ale gdzie oni są!?”. Robimy kilkugodzinny odpoczynek. Podjadamy specjały i nagle, w betach znajduję list od Arka...

Czytam na głos – co jeszcze wzmacnia powagę chwili. Wszystko powoli się wyjaśnia. Dowiadujemy się, że Ignacemu zachorowały oczy, że Zyga z Lipą są już na dole – wrócili śmigłem. Wyczerpanie, brak motywacji? Czytam dalej. Okazuje się, że podejściowy kuluar, po kilkudniowych opadach śniegu przez kilka kolejnych nocy był nie do przejścia. W czasie którejś próby przedostania się na górę, Arek, ostatni zmotywowany, dostał się wraz z kilkoma innymi mieszkańcami Base Campu pod lawinę. Odratowanie się jest już tematem oddzielnej historii.

Czuję jak opada ze mnie wielodniowe psychiczne napięcie. Dociera fakt, że to jest ten moment, który zostanie w pamięci na zawsze. Nie w momencie zdobycia góry, ale teraz, w tej chwili odprężenia, doinformowania, kończy się decydujący etap całej „gry”. Mam wrażenie, że list, który czytam, jest epilogiem górskiej, tej najbardziej oczekiwanej części naszego wyjazdu.

*topo drogi klasycznej – patrz kolorowa wkładka

Dziękuję:

- rodzicom – za okazaną wyrozumiałość
- Pawłowi Pytlowi – za wsparcie finansowe
- Łukaszowi Metznerowi, Markowi Błaszczykowski oraz Michałowi Dziedzicowi – za wsparcie i za pożyczony sprzęt.

W imieniu wszystkich członków wyprawy dziękuję firmom: **Tesco** oraz

Elena (producent liofilizatów) – za żywność, **Euro<26** – za ubezpieczenie,

Kanion oraz **Yeti** – za wyposażenie. Ponadto firmie **Marabut** oraz sklepowi

Podróżnika – za udzielenie specjalnych rabatów. Wielkie dzięki!!!



Masyw Kilimanjaro od południa. Od lewej lodowce Kerstena, Deckena, Rebmanna fot. Marcin Malka

Jak wejść na najwyższy szczyt Afryki?



Marcin Malka

Kilimanjaro jest pokrytą śniegiem górą, wysoką na 19710 stóp, mawiają, iż jest najwyższą górą w Afryce. Jej zachodni wierzchołek nazywany jest przez Masajów „Nga’je Ngai”, Dom Boga. Blisko niego znaleźć można wysuszonego i zamrożniętego leoparda. Nikt nie potrafi wyjaśnić, na co polował na tej wysokości

Ernest Hemingway
we wstępie do *Śniegi Kilimanjaro*

w której biegają słonie, pokryta polami lodowca, stanowi perełkę wśród Tanzańskich parków narodowych. Obiekt nie bez powodu wpisany został na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Od czasów profesora Hansa Mayera, który w 1889 roku razem z Ludwikiem Purtschellerem zdobyli po raz pierwszy szczyt, pokrywa lodowcowa zmniejszyła się niewyobrażalnie. Za dwadzieścia lat nie będzie jej już wcale.

Jest to najwyższy masyw górski Afryki, ze szczytem wznoszącym się na wysokość 5895 m n.p.m. Wspinaczka jest uwarunkowana rozmiarem, wysokością i położeniem góry na otwartej równinie. Wymiary masywu to 60 kilometrów długości (z północnego zachodu na południowy wschód) i 40 kilometrów szerokości w najszerszym miejscu.

Góra wynurza się ponad falistą powierzchnię otaczającej sawanny na prawie 5000 metrów. Płożona jest na południe od Równika, w północnej Tanzanii, przy granicy z Kenią (w całości leży na terytorium Tanzanii). Bliskość Oceanu Indyjskiego ma ogromny wpływ na klimat, szatę roślinną i świat zwierząt.

Opis masywu

Masyw składa się z trzech głównych wygasłych wulkanów oraz wielu małych, bocznych stożków wulkanicznych. Najwyższy to **Kibo** (5896 m), niższy **Mawenzi** (5149 m) i najniższy **Shira** (3962 m). Patrząc od południa najbardziej wysunięta na zachód Shira, odróżnia się wyraźnie od zasadniczych konturów linii grani, przebiegającej na wschód do **Uhuru Peak**, najwyższego punktu na Kibo. Shira jest bardzo rzadko zdobywanym szczytem, ponieważ będąc nie więcej niż okrągłą kopułą nie stanowi dużego

54

Góry świata

Kilimanjaro. Jedna z najwyższych wolnostojących gór świata, mistyczny szczyt otoczony wianuszkami chmur, dach Afryki. Kiedyś miejscowi wyprawiali się w okolice wierzchołka po srebro, które zamieniano się w wodę. Dziś, ich potomkowie za twardą walutę wprowadzają na wierzchołek żądnych wrażeń kolekcjonerów Korony Ziemi – trekkerów z całego świata.

Góra, która stojąc gdzieś w górach Azji nie zrobiłaby tak zawrotnej kariery. W sercu zachodniej Afryki, jedynie 330km od równika, otoczona dżunglą,



Lodowiec Arrow fot. Marcin Malka

wyzwania nawet dla trekkerów. Uhuru Peak jest najwyższym punktem Afryki, co oznacza, że wspinaczka na Kilimanjaro koncentruje się wokół szczytu Kibo. Jest to środkowy wierzchołek, bardzo różniący się od widocznego na wschodzie Mawenzi. Podczas gdy Kibo jest symetrycznie doskonałe, Mawenzi jest nieregularne i powykręcane. Patrząc na Kibo z krawędzi krateru widać, że niegdyś zawałił się, formując wewnątrz wiele koncentrycznych kraterów. Uhuru Peak wznosi się na południowym obrzeżu najbardziej zewnętrznego z nich. Dalej znajduje się wewnętrzny krater i zarazem centralny otwór nazwany Ashpit. Wierzchołek Kibo jest częściowo pokryty trzema dużymi polami lodowymi, z których z kolei spływa 15 lodowców, oferujących bardzo interesujące, choć rzadko uskutezczane wspinaczki na Kilimanjaro. Dostęp do Uhuru Peak od północnej strony jest zatarasowany Północnym Polem Lodowym, na którym istnieje tylko jedna opisana droga. Ta strona góry jest rzadko odwiedzana, ponieważ złoże lodowe jest zbyt strome dla turystów, a za mało strome dla wspinaczy. Poza tym, bliskość granicy Kenii i brak infrastruktury powodują, że większość dróg na Kibo znajduje się po południowej i zachodniej stronie góry. Oddziela je imponująca ściana **Breach** o wysokości 1400 metrów.

Wydaje się, że jest to jedno z największych alpinistycznych wyzwań w Afryce. Mam tu na myśli nie



Jeden z tragarzy niosący wodę znad lodowca Arrow fot. Marcin Malka

tylko problemy organizacyjno-finansowe takiego przedsięwzięcia, związane chociażby ze sporymi kosztami transportu, pozwoleń, czy samymi opłatami parkowymi (ponad 70\$ na osobę za jedną dobę). Myślę raczej o potrzaskanej i kruchej skale. O dziewiczej ścianie, która kusi chyba każdego wspinacza, który zapędzi się w te strony. O drodze, która wyprowadzałaby wprost na Uhuru Peak. Powyżej ściany Breach znajduje się, widoczny częściowo ze szczytu, Diamentowy Lodowiec, z którego zwisają 80-metrowe sople, pierwszy raz zdobyte przez Reinholda Messnera i K. Renzlera w 1978 roku, drogą o wycenie alpejskiej ED2. Sople te dotykają pół śnieżnych Lodowca Heima. Nie doszukałem się informacji, aby były jeszcze potem „robione”. A znający dobrze masyw przewodnik (12 lat pracy – średnio jedno wejście na 10 dni), zapewniał mnie, że nigdy nikt się nimi nie wspiął. Wszystko to w realiach Europy wydawałoby się niezrozumiałe, nie zapominajmy jednak, że nadal jesteśmy w Afryce, gdzie do pewnych rzeczy wagę przywiązują tylko Europejczycy.

Globalne ocieplenie oznacza, że lodowce po południowej stronie nie mogą już dłużej oferować interesujących i różnorodnych wspinaczek, tak jak to miało miejsce 20 lat temu.

Na wschód od Breach znajdują się resztki lodowców: Kersten, Decken, Rebmann i Ratzel. Biegną przez nie drogi o trudnościach od TD+ do ED2. Na zachód od ściany Breach znajduje się Mały Lodowiec Breach i Wielka Zachodnia Przełęcz, czyli miejsce, gdzie droga *Western Breach Route* będąca logiczną kontynuacją *Umbwe Route*, osiąga krater.

Na wschód od Kibo wznosi się nieregularny i wspaniały Mawenzi, oddzielony od Kibo księżycową równiną o szerokości 7 kilometrów, znaną powszechnie jako siodło. Jego 1200-metrowej wysokości wschodnia ściana jest mieszaniną stromych skał, turni i skalnych grani, przedzielonych dwiema ogromnymi rozpadlinami: Greater (Większą) i Lesser (Mniejszą) Barrancos. Słaba skała utrudnia turystyczny dostęp do szczytu Hans Meyer Peak, czyniąc z Mawenzi poważne przedsięwzięcie z realnym



Ściana Breach w całej okazałości. W środku sople pokonane przez Messnera fot. Marcin Malka



Widok z Arrow Camp fot. Marcin Malka

niebezpieczeństwem lawin kamiennych, szczególnie, kiedy schodzi się po południu.

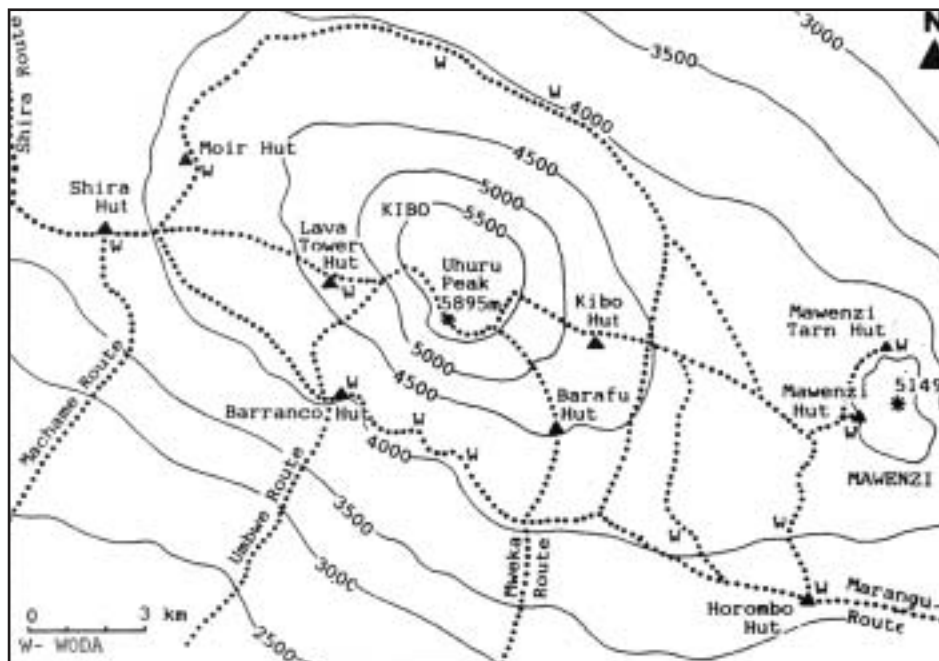
Drogi wejściowe

Wybierając się na Kilimanjaro warto zastanowić się nad wyborem trasy. Trudno przy tak ogromnych kosztach i polskich realiach myśleć o powrocie w to samo miejsce i próbowaniu innych dróg turystycznych. Najprawdopodobniej od tego wyboru zależeć będzie czy i w jakim stylu wejdziemy na szczyt. Należy wszystko precyzyjnie zaplanować, ze szczególnym uwzględnieniem aklimatyzacji. A to ze względu na fakt, iż ewentualne dni kondycyjne i odpoczynki, będą nas słono kosztować. Z drugiej strony planując szybsze wejście możemy zanieść z powodu choroby wysokościowej, co w masywie Kilimanjaro zdarza się bardzo często. Właściwie mało komu udaje się wejść na szczyt zupełnie uniknąwszy objawów tej choroby. 4-6 dniowe wejście to zbyt mało aby przygotować nasz organizm do takiej wysokości. Oczywiście nie bez znaczenia pozostaje wpływ tzw. „pamięci wysokości” i ogólna wydolność organizmu. Można oczywiście stosować różne wynalazki współczesnej farmakologii (np. Diuramid), ale ostateczny rozwój wydarzeń nie do końca da się przewidzieć. Nas, podczas podejścia mijają schodząca w dół grupa, gdzie jedną z klientek, z trudem łapiącą oddech i „przelewającą” się przez ręce, tragarz niósł na plecach. Myślę, że dla wspinacza, wejście którąkolwiek drogą turystyczną nie powinno sprawiać kłopotów, nie zapominajmy jednak, że to blisko 6000 m n.p.m.

Przestrożką powinien stać się fakt, że podczas Milenijnego Sylwestra, w masywie zginęły 3 osoby, a 33 wymagało akcji ratowniczych.

Na Uhuru Peak prowadzi 6 dróg (patrz schemat). Każda z nich oferuje wędrowkę przez inny krajobraz, oraz inny stopień trudności. Najpopularniejsza z nich – *Marengu Route* (zwana częściej *Coca Cola Route*), którą podąża około 1000 osób każdego dnia, może rozczarować nie tylko z powodu tłumów turystów. Inne to *Lemoscho*, *Machame*, *Umbwe*, *Mweke*, *Loitokitok*. Pomimo, że *Marengu* jest najmniej malowniczą z tras prowadzących na górę, jednak zawsze będzie najpopularniejszą, nie tylko ze względu na to, że jest to najłatwiejsze podejście na szczyt, ale również dlatego, że jest jedyną trasą, wzdłuż której znajdują się schroniska. My zdecydowaliśmy się na *Umbwe Route*, ponieważ oferuje najszystsze, najbardziej malownicze i najbardziej strome wejście; dodatkowo w sąsiedztwie słynnej ściany Breach. Umożliwiło nam to dość dokładną dokumentację fotograficzną ściany.

Aby dostać się do Moshi do Umbwe Gate, czyli bramy, gdzie rozpoczyna się podejście – jadąc w kierunku zachodnim do Arusha, należy skręcić w prawo 2 kilometry za miastem. Stąd do wioski Umbwe jest 14 kilometrów. Z wioski Umbwe trasa biegnie dalej do wioski Kifuni i prosto w górę do samego lasu. Ten odcinek można przejechać wynajętym vanem lub taksówką. Dalej idziemy leśną drogą około 6 km do wyraźnego znaku (S 03°08.905, E 037°17.744), który oznacza początek właściwej ścieżki. Tu dokonujemy wszystkich formalności, sprawdzających rangersów jest tam sporo, każdy szuka zarobku. Więc przygotujcie się na opowieści o dodatkowych kosztach i nieistniejących opłatach. Dalej kierując się znakami, rozpoczynamy podejście, najpierw stromo w górę przez wspaniały równikowy las, aż do polany powyżej jaskini, czyli do miejsca pierwszego biwaku



(2956 m; S 03°07.670, E 037°18.672). Czas podejścia to około 5 godzin z wioski Kifuni. Uwaga! Na miejscu brak wody.

Drugiego dnia idziemy stromo w górę przez las do wrzosowisk, które rozpoczynają się na wysokości około 3000 m; następnie dalej grzbietem przez około 2 godziny do jaskiń na wysokości 3500 m. Ten odcinek jest bardzo efektowny. Ścieżka prowadzi wąskim grzbietem skalnym, miejscami bardzo stromym, opadającym do głębokiej doliny. Ogromne drzewa porośnięte są zwieszającymi się zewsząd mchami; jeżeli chmury są nisko i wszystko otulone jest mgłą to panuje niesamowita atmosfera.

Od jaskini stromizna ścieżki zmniejsza się trochę i po dalszym 1,5-2 godzinnym marszu docieramy do schronu Barranco leżącego na wysokości 3973 m (S 03°05.846, E 037°19.5870). Można tu набrać wody ze strumienia. Przed samym miejscem, gdzie rozbijane są namioty, ścieżka odbija w lewo i prowadzi dalej grzbietem przez około 4 godziny do lodowca Arrow. Gęsta roślinność wkrótce zaczyna się przeczadzać i w ciągu około godziny całkowicie znika, pozostawiając jedynie smutne zbocza piargów.

Druga ścieżka z Barranco idzie dalej w kierunku wschodnim przecinając najpierw mały strumyk, a wkrótce potem większy – nim zacznie wreszcie wspinąć się stromo przez wyrwę w Western Breach. Na górze należy skrócić w lewo, żeby dotrzeć do początku tras na południowym lodowcu lub iść dalej wzdłuż ścieżki, która przecina piargi, grzbiety i doliny aż do dobrego miejsca na kemping w Dolinie Karanga.

Idąc jednak dalej na północ dojdziemy do ostatniego przed szczytem biwaku w rejonie lodowca Arrow, położonego na wysokości 4878m (S 03°04.360, E 037°20.159). Wodę możemy zaczerpnąć z oddalonego o około 250 metrów strumienia. W miejscu tym dobrze jest zrobić sobie dzień kondycyjny. Sami zdecydowaliśmy się na ten krok pomimo kosztów. Następnego dnia do pokonania pozostaje 1100 metrów w pionie i zejście, najlepiej na sam dół, do bram parku. Nie zapominajmy, że to dopiero 4 dzień pobytu w masywie – zdecydowanie zbyt wcześnie na aklimatyzację. Dobrym pomysłem wydają się codzienne wychodzenie, chociażby na dwie godziny, w kierunku szczytu i powrót do namiotów. Taki system pozwolił nam na lepsze i szybsze zaaklimatyzowanie się. Według mnie, każda kropla potu wylana na podejściu ułatwia nam „atak” szczytowy i pobyt na wierzchołku. Dlatego też świadomie zrezygnowaliśmy z tagarazy.

„Dla nas było to normalne, na Kilimanjaro jest to ewenement.



Na szczycie fot. Marcin Malka

Miejsce ostatniego biwaku w rejonie Arrow Glacier, ma wysokość równą Mont Blanc. Wprost z okna namiotu możemy podziwiać wyniosłą sylwetkę Mont Meru i rozciągające się po horyzont busz i sawanny. Ostatniego dnia na *Umbwe Route* czeka nas sporo wysiłku. Zespoły w zależności od planów ruszają już od północy. Początkowo połogim terenem, później dość stromo. Łatwo, ale chwilami w ekspozycji. Na krawędź krateru dotarliśmy o wschodzie słońca; przypuszczam, że było około 6.30-7.00 rano. Nie ukrywam, że 30 kilogramów na plecach wbijało mnie w ziemię, a mój organizm mimo wewnętrznej radości uporczywie domagał się czegoś więcej niż rozrzedzonego powietrza.

Nasz przewodnik podczas całej drogi był zaskakiwany różnymi naszymi zachowaniami. Bardzo go dziwiło, że nie bierzemy tragarzy, więc pewnie nie bierzemy też koszy z arbuzami, melonami, bananami itd. Już w Moshi delikatnie odmówił, gdy zobaczył kaszkę z musli. Na szczycie dowiedziałem się, że przewodnicy i tragarze innych grup zobaczywszy mnie z wypchanym po brzegi 70 litrowym plecakiem robili zakłady. Mało, kto dawał nam szansę, tym bardziej, że

moja żona też niosła na plecach spory dobytek.

Z krawędzi mamy przepiękny widok na krater i jego kolejne kręgi oraz lodowce, które stromymi ścianami dodają temu księżycowemu krajobrazowi jeszcze więcej egzotyki. Z tego miejsca możemy albo ruszyć wprost na szczyt, albo zrobić pętlę wokół krateru. Nie wiem jednak, jak wiele czasu potrzeba na tę przechadzkę. Trasa jest zaznaczona na większości map. Część osób decyduje się na biwak w tym miejscu. My, gonieni czasem sześliśmy w kierunku szczytu, który osiągnęliśmy po jakiś 2 godzinach.

Uhuru Peak – 5895 m n.p.m.

(S 03°04.588, E 037°21.239). Uściski, fotografie, Amerykanie namiętnie omawiający dalsze plany podróży z rodziną

w Ohio przez telefon satelitarny. Ot, takie tam „szczytowanie”.

I zejście, które z Kibo musi odbywać się z góry wyznaczoną drogą zejściową. Z każdym metrem w dół wracaty nam siły. Po drodze mieszanka trekkerów z całego świata. Od Alaski po Australię. Woda Kilimanjaro po 3\$ za butelkę, i... hotelik w Moshi.

Wskazówki

Wszystkim wybierającym się na Kilimanjaro obowiązkowo musi towarzyszyć lokalny przewodnik. Nie jest to przepis, który można w jakikolwiek sposób ominąć. Ponieważ każdej grupie towarzyszy przewodnik, poruszanie się po parku bez niego od razu zostanie zauważone i zgłoszone rangersom. Konsekwencje? Bardzo wysokie kary finansowe.

Zabranie tragarzy nie jest obowiązkowe, ale może sprawić, że osiągnięcie sukcesu będzie łatwiejsze. My zrezygnowaliśmy z ich usług, co wiązało się z wnoszeniem całego Afrykańskiego dobytku na plecach. Jakim zdziwieniem przyjmowali nas Kanadyjczycy mijani po drodze. Większość turystów odwiedzających górę ma w małym plecaczku jedynie mapę, GPS, telefon satelitarny, Isostar i zestaw batoników. Resztę dźwigają tragarze, dwóch na jednego trekera. W większym towarzystwie lepiej mieć dwóch przewodników, gdyby przy wejściu szczytowym grupa musiała się rozdzielić.

Na wysokości 6000 metrów przenikliwy wiatr wydaje się zabójczy, a spadające do minus 20°C mrozy powodują, iż na chwilę zapominamy, że jesteśmy w pobliżu równika. Ciepłe ubranie, dobre

rękawice, czapka, szalik, kurtka od wiatru i deszczu, dobre buty trekkingowe, śpiwór, czołówka to niezbędne wyposażenie. Konieczny będzie też sprzęt kempingowy. Sprzęt do asekuracji, raki i czekan – są zbędne, przez większość roku, na wszystkich wspomnianych szczytach dróg turystycznych. W porach wilgotnych, opady śniegu mogą sprawić, że sprzęt asekuracyjny na *Umbwe Route* się przyda.

Jeżeli wyjścia nie organizuje agencja, a odkupiliśmy od niej jedynie pozwolenie (ok. 10\$) potrzebny będzie prowiant i woda. Wypożyczając sprzęt w agencji, należy starannie go obejrzeć na dzień przed wyjściem i w razie konieczności – żądać lepszego.

Transport

Z Europy udajemy się drogą lotniczą do Nairobi, stolicy Kenii. Z Nairobi, dobrą asfaltową drogą około 160 km w kierunku południowym do granicy Kenii z Tanzanią – Namanga. Po drodze przecinamy Park Narodowy Amboseli, gdzie stado żyraf przebiegło nam drogę. Z Namanga, po przekroczeniu granicy przejazd dalej tzw. **Trans East African Highway** do Arusha, największego miasta północnej Tanzanii, odległego o 126 km od granicy. Z Arusha do Moshi jest dalsze 104 km (5\$ za bilet w jedną stronę).

Z Moshi kontynuujemy przejazd do odpowiedniej wioski – w zależności od trasy.

Alternatywnie, jadąc z Nairobi w kierunku wschodnim (droga do Mombasy), można przekroczyć granicę w Taveta, miasteczko położonym 129 km na zachód od Voi. Marangu znajduje się około 40 km od tego miejsca.

Z Nairobi istnieje codzienne połączenie autobusowe lub *matatu* (lokalna, bardzo tania taksówka) zarówno do Namanga i Taveta. Tutaj należy przesiąść się do autobusu tanzańskiego celem udania się w dalszą podróż do Moshi lub Himo. Istnieje regularna komunikacja autobusowa lub *matatu* do Marangu. Na podróż z Nairobi do Marangu należy poświęcić cały dzień. Inna możliwość to kupno rejsowego biletu z Nairobi do Arushy w jednej z agencji podróźniczych (15\$). Oszczędzamy w ten sposób czas. Dla podróżujących z Dar-es-Salaam lub innych miejsc w Tanzanii istnieje wiele jeżdżących codzien-

nie autobusów, zarówno do Moshi, jak i Arusha. I tutaj należy sobie zarezerwować na tę podróż jeden pełny dzień.

Ceny

Wyjście na Kilimanjaro nie jest tanie. Niestety, jeżeli chcemy oszczędzać, zawsze będzie to kompromis między pieniędzmi, a bezpieczeństwem. Pobyt w parku kosztuje 30\$ od osoby za każdy rozpoczęty dzień. Dodatkowo płacimy po 40\$, od osoby za noc w namiocie i po 50\$ za noc w schroniskach (tylko na *Marengu Route*). Opłata za ubezpieczenie ratownicze – 20\$ za grupę. Oprócz tego obowiązkowy przewodnik (50-75\$), ewentualni tragarze – 20\$ za dzień i niezbędne napiwki. Dobre agencje za 6-dniowy trekking na szczyt pobierają od 500\$ do 3000\$. Cena obejmuje wszelkie opłaty, noclegi i wyżywienie. My zmieściliśmy się w 450\$.

Jeżeli planujecie wejście bez agencji, potrzebny będzie wam dokument zezwalający, wydany przez agencje w cenie około 10\$ za grupę. Z takim dokumentem udajecie się na bramę drogi, którą planujecie wejście i regulujecie opłaty. Przy niektórych bramach nie ma funkcjonariusza **KINAPA** (Kilimanjaro National Park); wtedy należy udać się do bramy innej trasy, w dniu rozpoczęcia wędrówki. Np. nie ma takiej kasy przy wejściu na *Umbwe Route*. Czekaj was, więc poranna wyprawa do Machame Gate. Najlepiej rozpocząć wędrówkę wcześniej rano, ponieważ każdy rozpoczęty dzień potęguje koszty. Powodzenia!

Przydatne adresy

www.tanzania.go.tz – oficjalna strona rządu Tanzanii;
www.mos.org/kili/index.html – panoramy z Kilimanjaro wg IMAX;
www.tanzania-web.com/home2.htm – oficjalna strona Tanzańskiego Centrum Turystycznego

http://gorp.com/gorp/location/africa/tanzania/home_kil.htm – szczegółowa strona o Kilimanjaro zawierająca opisy dróg;
kanapa@habari.co.tz – adres do siedziby parku narodowego, tam można uzyskać np. informacje o aktualnych cenach.

Polecane mapy i przewodnik

Kilimanjaro – mapa kanadyjska z serii *Mountains of the world* o numerze 845, 1:62500. Do kupienia w Sklepach Podróżnika.

Kilimanjaro, a trekking guide to Africa's highest mountain – autorstwa Henry Stedmana

Przewodnik do kupienia na www.traiblazer-guides.com lub w Sklepach Podróżnika.



Przybliżony przebieg drogi *Princess of Darkness* fot. William Hunt



Końcówka drogi *Blade Runner* fot. William Hunt



Joshua Tree fot. William Hunt

Red Rocks. USA

Wiosenna Wycieczka Zimową Porą



Małgorzata Czeczott, Marek Wierzbowski

"Hello, happy Valentines! How was your trip? Are you very tired? What do you want to eat?"

Oops, chyba dobrze trafiliśmy. Właśnie to chcieliśmy usłyszeć... Tak, jesteśmy zmęczeni, chcemy jeść, a przede wszystkim na naszych zegarkach (zwłaszcza tych w głowie) jest środek nocy i nie wiemy czy zdecydować się na obiad, czy na śniadanie lub kolację, bo pora kolacji już dawno minęła, a pora śniadania jeszcze nie nadeszła. Chyba pójdziemy spać... chociaż na chwilę.

A Walentynki? Dla nas trwały 33 godziny, a największym prezentem w tym dniu był fakt, że dotarliśmy do Kalifornii bez problemu i mamy przed sobą dwa tygodnie prawdziwych wakacji...

Przez kilka dni przyzwyczajaliśmy organizmy do wiosny i zmienionej strefy czasowej – głównie jeździliśmy na rowerach. Wzgórza otaczające LA mają szczyty na wysokości 2000 m n.p.m. (ocean widać z tarasu), było więc gdzie trenować downhill. W tym czasie

w Kalifornii zapanowała wiosna. Wzgórza otaczające Orange Count zazieleniły się – prawdziwa wiosna, a dla tubylców niezwykła pora roku, kiedy nie widać wokół spalonych słońcem, kolczastych krzaków (te kolczaste krzaki wyciągałam z nogi jeszcze miesiąc po powrocie).

W końcu spakowaliśmy samochód i pojechaliśmy do Red Rocks.

Red Rocks to dość duży rejon wspinaczkowy, w którym każdy znajdzie coś dla siebie. Najczęściej uczęszczane drogi wyposażone są w stanowiska ze spitów, a wiele ścian ma komplet stanowisk do zjazdów. Skała to bardzo twardy piaskowiec, dość ciekawie urzeźbiony – głównie są tam rysy i krawądkki. Na niektórych turniach drogi mają nawet 1000 metrów długości. Wspinać można się właściwie przez cały rok – na jednej z dróg spotkaliśmy wspinaczy, którzy mieszkali w dolinie od Bożego Narodzenia (my byliśmy tam na przełomie lutego i marca) i z tego, co mówili to zamierzali zmienić miejsce pobytu nie dlatego, że zrobili już wszystkie drogi w rejonie, tylko dlatego, że już im się znudziło.

Biwakowanie na dziko jest powszechne; tak śpią wszyscy tamtejsi wspinacze. Nasi znajomi twierdzili, że tak jest w porządku: my nie zostawiamy śladów po noclegu, a właściciele terenu w ogóle się tym biwakowaniem nie przejmują. Jest w pobliżu kemping, ale tam śpią raczej posiadacze wozów kempingowych. Nie ma zakazów wjazdu do doliny, można więc zjechać z drogi asfaltowej i znaleźć sobie dogodne miejsce do spania; a za to rano jest zawsze blisko na wspina-

60

Góry świata



Wspinanie w sektorze sportowym
fot. William Hunt



Na drodze *Frogland* fot. William Hunt



Wspinaczka sportowa w Red Rocks
fot. William Hunt

nie. Problemem jest – jak to na pustyni – woda. Trzeba mieć jej ze sobą spory zapas. Wody można nabrać z kranu znajdującego się niedaleko centrum informacyjnego przy wjeździe do rezerwatu, lub na dowolnej stacji benzynowej – wtedy kosztuje 25 centów za galon. Wjazd do Red Rocks National Conservation Area jest płatny – kosztuje 5\$ na tydzień i nie da się z innymi nam sposobami „ominać bramki”, bo prowadzi tam tylko jedna droga, a cała dolina to pustynia porośnięta rzadkimi krzaczkami i wszędzie jest tak daleko, że niezbędny jest samochód. W Parku Narodowym można przebywać od świtu do zmierzchu, więc te 5\$ płaci się na wjeździe, zabiera się bilecik i można wjeżdżać i wyjeżdżać codzienne – przez tydzień. Wybierając się jednak do Stanów na dłuższą wycieczkę warto zainwestować w roczny bilet, który kosztuje 50\$ i pozwala na wjazd do wszystkich parków (a np. wjazd do Grand Canyon National Park kosztuje 20\$). Na ten bilet wjeżdża samochód wraz ze wszystkimi w środku – niezależnie od tego ile jest osób. My byliśmy tam z Williamem, który miał taki bilet. Najczęściej praktykowanym sposobem zwiedzania Parku jest przejazd samochodem po drodze (jednokierunkowej), która jest tak poprowadzona, że wszystko z niej widać. Co jakiś czas można zatrzymać się na parkingu (wypożyczonym w stolik, kosz na śmieci i kibelek), zrobić zdjęcie i pojechać dalej. Dla nielicznych turystów przygotowane są szlaki piesze z tablicami informacyjnymi. Z takiej tablicy można się dowiedzieć, że na przykład skupisko karłowatych,

tysięcletnich dębów, które nie wiadomo jakim sposobem wyrosły na pustyni – to Sherwood Forest...

W takiej sielankowej scenarii na jednym z parkingów (nie wyposażonym w kibelek) zazwyczaj stoi kilka terenowych samochodów i Hond Civic, a z dala słychać znajome pobrzękiwanie szpeju i pokrzykiwanie wspinaczy. To jest dobre miejsce, żeby wyrzucić wszystko z samochodu (bo sprzęt wspinaczkowy leży przecież pod śpiworami i żarciem), zapakować plecaki i udać się w stronę skał (najlepiej w miejscu, w którym strzałka oznaczająca szlak pokazuje kierunek dokładnie przeciwny).

Sportowe drogi w Red Rocks skupione są w najbardziej czerwonej części doliny – z daleka to wygląda, jak rozlane błoto – tuż przy wjeździe do Parku, zaraz po prawej stronie drogi, we wschodniej części doliny. Z drogi skały te nie wyglądają zbyt okazale, a do tego wydają się na niskie; jest to jednakże złudzenie. Skały są po pierwsze daleko, a po drugie są naprawdę duże. Wspinaliśmy się zazwyczaj wieczorem w promieniach zachodzącego słońca. Jak już zachodziło to natychmiast robiło się zimno i trzeba było się zwinąć z doliny. Zrobiliśmy tam wiele dróg RP i OS o trudnościach do 5.11

Drogi o charakterze górskim w Red Rocks są dostępne nie tylko z głównej drogi Parku Narodowego (tej za wjazd, na którą trzeba zapłacić), ale w większości ze zwykłej drogi – ogólnodostępnej.

Takich wspinaczek jest tam do wyboru bardzo wiele. Można wybierać wystawę ściany, długość drogi i jej charakter. My wspinaliśmy się głównie na najpopularniejszych drogach o niezbyt wyśrubowanych trudnościach. Musieliśmy także zwracać uwagę na to, aby droga nie była zbyt zacieniona, bo tam gdzie nie świeciło słońce było naprawdę zimno (za to tam gdzie świeciło był strasznie gorąco...)

Wspinaliśmy się tam m.in. na drogach: *Blade Runner*, *Solar Slabs*, *Frogland*, *Prince of Darkness* – wszystkie o trudnościach w granicach 5.9 – 5.10d – w zespole trójkowym z Williamem Huntem.



nie mogę na to poradzić. A wiem, że i tak uderzę. A co, i tak wszyskim pisany jest ten sam koniec. A jednak czegoś żał, coś ciągle się kołaczę schowane gdzieś głęboko w środku. Zdusić, zabić, zapomnieć.

Piorunujące Zetknięcie Dupa z Ziemi Kupa

(Grand Slam of Sheep, A4, 100 metrów, 3 przejście)

Krzysztof „Krzykacz” Belczyński

No, to ma być mój pierwszy wspin po prawie półrocznej przerwie. Zaraz po *Ostatnim Krzyku Motyla* na Alasce znowu się rozłożyłem i kolejna operacja. Tym razem ramię. Marcin się śmieje i zapewnia, że na następną wyprawę bierze jakiś drut i gwoździe, co by mnie do kupy w razie czego składać. Ma facet racje!

Wiec siedzę w domu i przeglądám pisma i przewodniki. Niestety wybór ograniczony, bo mam tylko ze 3-4 dni, a to ma być solo, więc wszystko samemu: jazda, targanie, wspin i w ogóle. A z Chicago jak zwykle to trzeba kilka kilometrów (ach, sorry – mil!) urobić, co by się na jakąś górkę wdrapać.

Pada znowu na najbliższy rejon hakowy, „Looking Glass” w Północnej Karolinie – w Appalachach. Dwanaście godzin później, szczuplejszy o trzy 80 litrowe baki, ląduję wieczorem wśród rododendronowego lasu, którym miota... śnieżna zawierucha. Gdzieś tam w gęstniejącym mroku, wystaje znad lasu granitowa kopuła ściany. A mną miota zwykły strach.

Przyjechałem z zamiarem porwania się na coś, co z wyglądu przypomina wyszlifowane lustro tektoniczne, wydaje mi się absurdalną sama myśl o ataku na ten najgładszy kawałek ściany.

Prześladuje mnie jedno zdjęcie z tej krótkiej: 2-wyciągowej drogi, na którym zespół walczy z górną częścią monolitu, a z portaledge'a wywieszona jest ogromna czarna, piracka flaga z trupa czachą i skrzyżowanymi pieszczelami. Boję się już od kilku dni. I nic cholera,

Gdzieś w tyle jeepa, zaspany gaszę w ciemnościach budzik. Nie ma mowy, nie wstaje. U cholery jestem na wakacyjnym weekendzie!

Wychodzę na podejście późnym rankiem i coraz wolniejszym krokiem zbliżam się ku memu przeznaczeniu. Taaak, ręce trochę mi się trzęsą. Shit, nie wiedziałem, że jestem aż taki strachliwy. Wokół pustka, rododendrony klapły pod ciężarem oblepiającego je lodu. Jakies totalne nieporozumienie. Zrzucam moje 40 kilo szerepu pod drogą i spoglądam do góry. Jek... O nie, nie. Może najpierw się gdzieś przejdę? A w ogóle to ta pogoda jakąś nie taka...

Natykam się na dwóch miejscowych, łoją aż trzeszczą copperheady – na drodze o dźwięcznej nazwie *Pozbawieni Mózgów*, za A4. Zagaduję, wypytuję, może by coś się tu koło nich znalazło dla mnie? Tak śmiesznie obserwować, jak człek łapie się brzytwy, byle jeno przeżyć. Oczywiście w końcu pada pytanie: „a ty to co? Na coś uderzasz?” I o zgrozo! Słyszę, chyba siebie: *Grand Slam...*

Zapada cisza. Widzę, że chłopaki dziwnie po sobie patrzą. Po przedłużającej się przerwie dostaję trochę szczegółów. Tak, tak, ten wariat otworzył tę drogę i jak dotąd to tylko jeden zespół to powtórzył, w asyście fotografów i gromady gapiów. Sam widziałem zdjęcia w Rock & Ice i w miejscowych przewodnikach. Tak chłopaki, świetnie! Tak mnie motywować. Może ja już muszę wracać do Chicago?

Chodzą żarty o drodze, pokpiwania, ale nikt jakoś już nie chce próbować. Nie, nie mogli dać A5, bo są trzy podwiercone dziury na rivety, więc dali nowofalowe A4. Świetnie chłopaki, to ja już chyba sobie pójde. Bawcie się dobrze.

Kilkanaście minut później, walczę w potęgim lodzie w kierunku podstawy ściany. Liche drzewko i dwa friendy ustawiają mi stan, wałę pierwszy haki wtrawersowując w pierwszy wyciąg. Pierwsza dupa jest już na drugim ruchu, urywam stanowiskowego... frienda. „Tak, tak trzymaj”. Człowiek zaczyna gadać ze sobą w tej ciszy. Trawers w ścianę zajmuje mi z godzinę (w lecie pewno to jest 30 sekund klasyki) chwilejących się jedynek i panicznych pół klasycznych ruchów. Tak, jestem na prawdziwym starcie, 20 metrów nad usianą głazami glebą, na wielkiej półeczce (z której skułem lód, próbując się na nią wdrapać posapując), a w okolo cisza ośnieżonego tropikalnego lasu. Powoli, z lekka drząc, wstaję w kierunku pierwszego zawieszzonego w ścianie circle-heada. I już wiem, że następna dupa to po prostu śmierć.

No to teraz nadszedł moment na decyzję. Albo wóz albo przewóz. Jak się zdecyduje, to już nie ma odwrotu; po drucikach circle-headów do góry. Albo kulimy ogon i do domu. OK, wpinam tawy i ruszam do góry. Olać patos, olać strach, olać siebie. Po prostu do góry. Nadbiegają miejscowi. W ciszy słychać tylko szczęk karabinków i ciche głosy z dołu. Każdy przelot to metafizyka – cieniutkie ciąga copperheadów, aż strach testować, a trzeba. Jedyna zasada to nie patrzeć w dół. Do góry, do góry. Luostro powoli się pionuje, ruchy coraz dłuższe. Jak u jasnej cholery, autorzy tej drogi walili te przeloty, kiedy ja ledwo co sięgam z ostatnich szczelbi do kolejnych headów...

A saper myli się tylko raz. Tak, jedno złe bujnięcie, jeden fałszywy ruch i kończymy zabawę. Trzęsę się trochę na ostatnich sky-hookach w lekko przewieszonym terenie zaraz pod stanem. Jest już tak blisko, że chciałoby się skoczyć do taśm, ominąć ostatnie ruchy. W mroźnym powietrzu pot zamarza mi na twarzy. Jezu, jeszcze chyba nie byłem nigdy tak przerażony. A4 – toż im się udał żart! Chłopaki mieli chyba z 50% alkoholu we krwi. Nie wiem, co tu robię. Wiem tylko, że muszę. I robię. Gdy sięgam młotkiem pętli, wiem, że komuś o tym opowiem. Wam. Zostałem zaproszony w gościnę. Nie można odmówić. Pierwsza szansa by zobaczyć, jak się mieszka w domu, który buduje się na taśmie w fabryce i przywozi ciężarówką w zamówione miejsce. Jest ekstra. Goście nawet robią swoje heady. Kupuje kilka garści zabawek niedostępnych w oficjalnym obiegu.

Wstajemy o świcie i ruszamy pod ścianę. Wyprowadzono mnie z błędu. Okazuje się, że drugi wyciąg to nie żadne A3, tylko też A4. Ale teraz mam już partnera, nie będę sam. Wszystko jest OK i chyba już nie ma szansy głębowania. 2-3 godzinki i będzie po krzyku. Ruszamy. Jedynie 45 metrów, zwykle, normalne A4 (czyżby otrzeźwiali?!). Powoli suniemy do góry. Łączę po kilka headów na przelot, im wyżej nad stanem tym delikatniej obciążam przeloty. Rozkładam wagę na 5-6 punktów. I... fuck, urywam w końcu heada, delikatnie obsuwając się na poprzedni pęk przelotów... Tu liczy się każdy gram. Przyciskam ciało do szorstkiego granitu, tarcie zbiera trochę wagi. Staram się unosić, płynąc podczas obsunięcia. Byłe nie szarpnąć przelotu pod tyłkiem. Byłe wytrzymał. Powoli, powoli się uspokajam. Wyciągam heady, zakładałam swojego z ostatnich szczelbi. Rany boskie,

chłopaki, co otwierali drogę to byli goście. Nie czułem tyle szacunku dla nikogo, co dla tych nieznanych mi facetów. Naprawdę trzeba poczuć kosę na szyi, żeby docenić czyjeś prowadzenie. Wchodzę w łatwinę (czyli coś, co nawet nie wymaga opisu). Gubię się. Tracę linię, concept. Woda z topiących się lodospadów płynie po rękach, w gore-texy, w buty. Kończy się sprzęt. Nie mam już alienów. Jestem skończony. 40 metrów nad stanem, zaczyna się lód. Zaczyna się zwykle 5+...

Ostrożnie dociągam butki wspinaczkowe, zostawiam tawy i wbijam się w klasykę. Lód łamię największym friendem. Powoli czyszczę stopnie i chwytę. Ostrożnie przesuwam się do góry. I tak nie mogę już wytrzymać, więc skaczę do najbliższego drzewa, na krawędzi granitu i życia. To była lekcja pokory. Paul czyszcząc ten „banalny” drugi wyciąg śmieje się i zarzeka, że nigdy nawet nie pomyśli o próbie powtórzenia. Panowie i Panie, czapki z głów przed autorami drogi!

Po raczej nabrzmiałych 8 godzinach wspinania, z ulgą i rozluźnieniem wzię się za ster i ruszam w drogę powrotną. Jutro poniedziałek. Praca, wykłady, studenci i coś co nazywamy życiem. Ale tak naprawdę, to może to wszystko nam się tylko wydaje. Chyba, że ja też mam z 50% we krwi!

cytat 1 (Rock & Ice): „Ta uderzająca droga stanowi studium łączenia najmniej szych circle-headów. Pierwszy wyciąg to zwykły rzut kostka. Albo przywalisz albo ci się uda.”

cytat 2 (najnowszy przewodnik): „Jako, że użyto wiertła na drodze... to nie może być z definicji A5! Wiele przelotów zakładano w ciemno na pełnym wysięgu nad głową. Jak któryś z nich zawiedzie, to walisz w głębę... śmiertelnie.”

Tekst ukazał się na stronie KW Toruń:

<http://www.kwtorun.republika.pl/piorun.htm>

słowniczek:

copper-head: mała kostka na cienkim cięgle. Zamiast klinu normalnej kostki, znajduje się niewielki walec (głownia) z miękkiej blachy (albo miedzi albo niklu), który daje się wklepać w niewielkie zagłębienia skalne. Utrzymuje jedynie statyczne obciążenie wspinacza. Używane jedynie podczas ekstremalnych wspinacek hakowych.

circle-head: powyższe, z tym że kawałek miękkiego metalu jest umieszczony na obwodzie kołowego drucika. Pozwala to na umieszczanie tego typu narzędzia (!) w dachach albo poziomych rysach, w których obciążenie rozkłada się równo z obu stron osadzonej głowni (czyli w/g Darwinowskiej teorii ewolucji – pozwala na przetrwanie gatunku).

alieny – obcy, najlepsi przyjaciele hakmenów: przyjaciele używane są głównie podczas hakówki, na miękkich cięglach i trzymające naprawdę w ślepych osadzeniach (wysoko, wysoko poza zasięgiem wzroku).

krzykacz: forma wymierająca, ale wciąż kopulująca:)) (nie płodząca – mam tu na myśli: info dla wszystkich kobiet:)).



Uczestnicy spotkania w Klubie Profesorskim
fot. Jacek Patrzykont



Wręczanie NUKI fot. Jacek Patrzykont

Czterdzieści lat minęło..., czyli Jubileusz UKA



Jakub Radziejowski

Niech żałują ci, którzy nie byli na spotkaniu 12 XII 2003. Około 90 zgromadzonych osób w Klubie Profesorskim na UW, żywiołowo reagowało na kolejne prezentacje i opowieści z 40 letniej historii Klubu. Na sali, często po raz pierwszy, spotkali się zarówno założyciele klubu z lat 60 tych, aktywni wspinacze z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, po świeżych (z kilkumiesięcznym lub nawet kilkutygodniowym stażem) członków UKA. Swoje prezentacje miało aż czterech prezesów – od pierwszego do aktualnego. Także i inni prelegenci przybliżyli nam niektóre historyczne zdarzenia.

I tak mieliśmy okazję dowiedzieć się, że od początku w historii klubów wspinaczkowych i organizacji nadrzędnych zawsze chodziło tylko o pieniądze, dowiedzieliśmy się też, u kogo załatwiano się przydział na konserwy w latach siedemdziesiątych, a kto przyznawał dewizy dekadę później.

Z Jackiem Taflem wycofywaliśmy się z Eigeru, z Janem Narożniakiem i Krzysztofem Langiem mieliśmy szansę przeżyć alpejską wspinaczkę z „Demezonem”, oraz poznać zgubne skutki wywoływania diabła. Z kolei Adam Biedrzycki przybliżył nam nieco epokę, którą przynajmniej niektórzy z młodszych stażem jeszcze pamiętają, czyli lata osiemdziesiąte. Na koniec miały miejsce dwie prezentacje z czasów współczesnych, które w sposób bezwzględny uświadomiły uczestnikom spotkania, jak wiele w przeciągu

tych 40 lat się zmieniło, zarówno pod względem mody wspinaczkowej, zlikwidowania barier i tak ogromnych trudności organizacyjnych przy planowaniu wypraw, jak i różnic w wyposażeniu fojtanów na przestrzeni dziejów.

Świetne zdjęcia sprzed lat (spośród których 90% można by określić mianem „kultowych” – długie włosy, upręcze piersiowe, anoraki do kostek), przeżabiane opowieści

prelegentów, a do tego niezłe wino i dodatki jedzeniowe – wszystko to stworzyło świetną atmosferę, godną jubileuszu czterdziestolecia UKA.

Wystąpili: Jacek Czabański, Maciej Popko, Wiesław Krajewski, Krzysztof Lang, Jan Narożniak, Jacek Tafel, Bernard Ziółkowski, Lech Łobocki, Adam Biedrzycki, Robert Sieklucki i Jakub Radziejowski.

Podczas całego spotkania słyszeliśmy powtarzający się motyw – „przyszedł czas na uaktualnienie, uzupełnienie i wydanie drukiem Historii UKA”. Jako, że wersja dostępna dotąd na stronie www, daleka jest w powszechnym mniemaniu od obiektywizmu – rzuczone zostało hasło wydania osobnej publikacji. Mam nadzieję, że nie była to jedynie doraźna deklaracja i wspólnymi siłami, przy pomocy starszych kolegów i koleżanek, uda nam się zebrać do kupy dostępną wiedzę i stworzyć Historię UKA z prawdziwego zdarzenia. Jednocześnie warto tu wspomnieć, iż na spotkaniu zabrakło niestety przebywającego w USA Tadeusza Słupskiego – byłego prezesa, przez wiele lat spiritus movens klubu, a i przecież inicjatora stworzenia historii UKA.

Na spotkaniu z okazji 40 lecia klubu nastąpiło również wręczenie nagród im. Łukasza Wajsa za najlepsze przejścia sezonu 2003. Nagrodzeni (Krzysztof Sadlej i Jakub Radziejowski) otrzymali po 1000 zł, statuetki autorstwa Elizy Kubarskiej oraz koszulki polarowe i opaski windstoperowe firmy Zerwa Marcina Malki. A za rok możemy śmiało świętować 41 rocznicę powstania klubu. Spotkanie było na tyle udane, że chyba warto powtórzyć całą imprezę w tym samym lub poszerzonym gronie. I tak przez następnych 40 lat!

64

40 lat UKA

Misiowe pieszczoły



Maciej Tertelis

*„Wszystko jest zabawne,
jak długo przytrafia się innym, a nie nam”.*

Will Rogers.

Przygody z niedźwiedziami zaczęły się w 1987 roku. Wtedy to pierwszy misiek pojawił się na taborisku w rejonie Morskiego Oka. Nikt nie spodziewał się jego wizyty, a szczególnie nieświadomy był jeden z najlepszych polskich himalaistów, który korzystając z krótkiej przerwy pomiędzy wyjazdami w góry wysokie, zjawiał się w Tatrach, aby odwiedzić znajome kąty. Wielkie było jego zdziwienie, gdy po powrocie do namiotu, ustawionego na skraju pola, dostrzegł nieznanego buszującego w przedsonku. Intruz wydawał ciche pomruki i głośno mlaśkał. Himalaista, podejrzewając, że przytapał właśnie złodzieja na gorącym uczynku, bez zastanowienia wyciągnął z plecaka największego heksa na metrowej taśmie i przyłożył nią w wystającą, choć nie bardzo widoczną z powodu zmroku, tylną część ciała złoczyńcy. Kostka trafiła w cel jak w dziesiątkę, rozległ się potężny ryk, a uderzone zwierzę wyskoczyło w popłochu z drugiej strony namiotu, wyrrywając w tropiku wielką dziurę i zniknęło w lesie.

Opisane zdarzenie przez całe lato krążyło w opowieściach przebywających w górach wspinaczy, wywołując eksplozję śmiechu. Bawili się wszyscy, niejeden jednak czuł przebiegające przez plecy ciarki i zimny chłód, gdy wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby to właśnie jemu dane było spotkać na swojej drodze dziką bestię.

Powyższy przypadek wzięto wówczas za jednostkowy wybryk dorastającego niedźwiedzia. Nikt nie spodziewał się, że odtąd historia nabierze rozpędu i prześcignie wszelkie wyobrażenia, a lęk dopadnie wszystkich.

Towarzystwo nabijało się z trzech czeskich tatarników, które śpiąc w najbardziej oddalonym od ogniska namiocie, nie miały odwagi wyjść w nocy do toalety i, przysnięte potrzebą, nasikały do kasków wspinaczkowych. Pamiętam noc, kiedy niewiele brakowało, abym nieoczekiwanie przystąpił do sporządzenia rachunku sumienia. Spełniając wymogi taboriskowego regulaminu

odsiadywaliśmy właśnie swoją kolej na warcie, skuleni przy gasnącym, pomimo usilnych starań, ognisku. Mokre drewno nasiąknięte kilkudniowym deszczem, nie chciało się palić. W którymś momencie ujrzałem wśród drzew, w odległości kilkunastu metrów, dwa świeące w ciemności punkciki. Wyobraźnia zaczęła działać błyskawicznie. Nie czekając na wytonienie się z kniei potwora, zerwałem się chwytając w ręce petardę i zapalki, przygotowane zawczasu. Ręce jednak trzęsły mi się do tego stopnia, że łamałem cienkie drewienka, jedno po drugim.

Dygocząc, pośpieszany nerwowymi okrzykami towarzysza, wyciągając z pudełka kolejną zapalkę, spojrzałem przed siebie. Wielkie, puszyste zwierzę szło od strony lasu. Węsząc wokół posuwało się powoli w naszym kierunku, najwyraźniej szukając czegoś smacznego do zjedzenia. Mój partner gromko pokrzykując, machał rękami i podskakiwał w miejscu by odstraszyć zbliżającego się misia. Wyciągnąłem z ogniska płonącą gałązkę, przytknąłem gdzie trzeba, lecz lont petardy w dalszym ciągu nie chciał się zaiskrzyć. Dopiero po dłuższej chwili, olśniło mnie, że to, co próbowałem podpalić, było plastikowym cięgłem od pokrywki zabezpieczającej ładunek przed zawilgoceniem. W żadnym przypadku nie należało go podpalać, a jedynie mocno pociągnąć, odrywając kawałek tekturki, by wyciągnąć właściwą, łatwopalną końcówkę. Zrobiłem wreszcie, co trzeba. Nawet zasyczało, lecz rzucona petarda długo nie chciała wybuchnąć. Misiek w tym czasie pokręcił się nieco i odszedł od lasu tą samą drogą, którą przyszedł. Dopiero gdy zniknął w krzakach, usłyszeliśmy potężny huk, którego jedynym efektem było obudzenie całego taboriska, początek koncertu na menażkach i wystawienie z namiotów przestraszonych twarzy tych nielicznych, których można było nazwać odważnymi.

Kolejnym zdarzeniem związanym z misiami, jak się później okazało tylko pośrednio, było spotkanie na drodze od schroniska przy Morskim Oku do Włosienicy. Wraz z partnerem oraz dwoma przygodnie spotkanymi chłopakami schodziliśmy do namiotów, zmęczeni pełnym wspinaczkowych wrażeń dniem. Było już dobrze po zmroku, nie wyciągaliśmy jednak czołówek z plecaków; droga była szeroka – trudno przecież zgubić się na asfaltowej szosie. Humory mieliśmy doskonałe. Znajdując się w tak dużym gronie nie baliśmy się – tak nam się przynajmniej wydawało – żadnego dzikiego zwierza. W pewnym momencie zauważyłem przed sobą na drodze czarną postać o czterech nogach. Wyraźnie odcinała się od szarego tła lasu. Dostrzegli ją także moi towarzysze. Nikt nie miał wątpliwości, że to zwierz. Jak na komendę, zwolniliśmy kroku. Głośna rozmowa i śmiech ucichły. Po przejściu kilku metrów zatrzymaliśmy się, spoglądając niepewnie po sobie. Postać w tym czasie również znieruchomiała, stając kilkanaście metrów przed nami. Ostre słowa posypały się z naszych ust, odbijając gromkim echem po zapadającej w sen dolinie. Mieszane uczucia osią-

65

40 lat UKA

gnęły jednak apogeum, gdy jedynym rezultatem zabiegów było skierowanie się niedźwiedzia w... naszym kierunku! Sytuacja zaczęła być niebezpieczna. Pomimo tego, że było nas aż czterech, nie mieliśmy najmniejszych szans z uzbrojonym w ostre pazury i potężne kły zwierzęciem. Żałowaliśmy, że nie mamy przy sobie diabek do lodu. Pozostało nam tylko głośno i rozpaczliwie krzyczeć. Bez rezultatu. Postanowiłem chwycić się ostatniej deski ratunku. Błyskawicznie zrzuciłem z siebie plecak, nerwowo poszukując latarki. Jak na złość okazało się, że tkwi na dnie worka, przyniesiona sprzętem. Chłopa ki skoczyli na pobocze, po omacku szukając kamieni, by przy ich pomocy odeprzeć atak. Gdy niepokojąca postać zbliżyła się nieco, okazała się parą zakochanych. Nie powiem, byśmy nie byli nieco rozczarowani... Pod koniec września na taborze zostało kilka osób. Czekać na poprawę pogody, spałem w jednym z dwu rozbitych namiotów. Mój partner nie chcąc tracić czasu, wyjechał do domu, obiecując wrócić w góry, kiedy tylko aura się nieco polepszy. Z powodu nikłej obsady nie mogło być już mowy o nocnych dyżurach przy ognisku dla odstraszenia miśków. Zabawa w prawdziwego mężczyznę, przy braku karabinu maszynowego, nie była moją najmocniejszą stroną. Wytrzymałem kilka nocy, jednakże szybko skończyły się tabletki uspokajające. Jednego z wieczorów nie wytrzymałem i słysząc podejrzane dźwięki na zewnątrz namiotu, z dzikim i przerażliwym wrzaskiem wyskoczyłem ze środka, zabierając pod pachą śpiwór i karimatę. Postanowiłem bezpiecznie „do spać” w „Relaksie”, małej, drewnianej chatce, w której zazwyczaj przygotowywaliśmy sobie posiłki. Już biegnąc, usłyszałem skierowane w moim kierunku pytanie zdziwionego szefa taboriska, Miśka Kochańczyka, co ja do cholery najlepszego wyprawiam. On to właśnie, maszerując do toalety, był źródłem podejrzanych dźwięków, które tak bardzo mnie przstraszyły. Nijaka pogoda i nuda, jak wiadomo, podpowiadają nie zawsze mądre zagrania – pewnego razu sami postanowiliśmy zapolować na niedźwiedzia. Pretekstem stała się gaśnica, stojąca od dłuższego czasu w „Relaksie”. Była niezwykła. Już na pierwszy rzut oka budziła respekt i szacunek. Olbrzymia, ciężka, wyposażona fabrycznie w dwa koła z gumowymi oponami oraz kierownicę. Kilnkumetrowej długości wąż kończyła potężna

tuba. Wystarczyło tylko zajrzeć w jej czeluść, aby się przestraszyć. Wiedziałem, jak wielka jest siła jej rażenia. Gdy kilka tygodni wcześniej doszło do wybuchu benzynowej maszyny i skorzystaliśmy z niej, aby ugasić pożar, rezultat uruchomienia „sikawki” przeszedł nasze najśmielsze wyobrażenia. Z tuby wystrzelił długi na trzy metry strumień piany, a płonący granat całkiem zniknął z pola widzenia. Kiedy piana opadła, ukazały się powyginane szczątki maszyny, zatopione w bajorku brudnawej cieczy. Wokół bezużytecznego już żelastwa, trawiasto-skaliste podłoże zostało wyrwane imponującą siłą na głębokość kilkunastu centymetrów.

Za przynętę posłużyła puszka „mintaja w pomidorach”. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy zapadnięcia zmierzchu. O tej porze szanse na pojawienie potwora były największe. Ukryliśmy się w „Relaksie” i położyliśmy „rybki” w polu widzenia, kilkanaście metrów dalej. Zachowując absolutną ciszę, obserwowaliśmy teren przez lekko uchylone drzwi. Gość nie kazał na siebie długo czekać. Wkrótce doszły do naszych uszu charakterystyczne pomruki, a puszysta postać wyłoniła się z ukrycia drzew. Spojrzeliśmy na siebie. Decyzja została podjęta. Drzwi otworzyliśmy mocnym kopniakiem. Stękając z wysiłku, obciążeni piekielną maszyną, pokonaliśmy odległość dzielącą nas od niedźwiedzia. Zaskoczony niespodziewanym najściem oderwał łeb od puszk, podejrzliwie nam się przypatrując. Przyjacieli, zapierając się mocno na nogach, wycelowali końcówką rury w zwierzaka. Moim zadaniem było uruchomienie broni. Chwyciłem za kurek i... Niestety, spoczone dłonie ześliznęły się z metalowego krążka. Nie byliśmy w stanie tego przewidzieć. Okazało się, że poprzedni użytkownik gaśnicy zbyt mocno ją zakreślił. Kiedy sycząc z wściekłości, usiłowałem poradzić sobie z opornym kółkiem, niedźwiedź zaczął posuwać się w naszą stronę. Zgodnie i czym prędzej w podskokach, skierowaliśmy się do „Relaksu”, pozostawiając złośliwą maszynę na niedoszłym polu walki. 1989 rok przyniósł eskalację misyjnych odwiedzin. Anegdotyczną stała się w tym czasie opowieść o wspinaczu, który uciekając w panice przed niedźwiedziem dobiega do drzwi schroniska, zablokowanych od wewnątrz śpiącymi pokodem na podłodze turystami. Nieorientowanym tłumacząc, że w sezonie nie tylko wszystkie łóżka w tatrzańskich schroniskach były pozajmowane, a również i na podłodze trudno było znaleźć wolne miejsce. Wróćmy jednak do człowieka, który dobija się w nocy do drzwi, rycząc całą mocą głosu – „Niedźwiedź!” – by usłyszeć zza ściany, znudzony i zaspany głos: „Spierdaj, my już go widzieliśmy!”...

Atmosfera, wśród odwiedzających Tatry turystów, zrobiła się gorąca. Pewnego dnia byłem w Kuźnicach świadkiem rozmowy dwóch turystów, ojca z synem. Młody chłopak, po uważnej lekturze ogłoszeń na drewnianych tablicach, informujących o obecności na szlaku

miśków, z przestraczem w głosie zapytał ojca – „Co zrobimy, gdy faktycznie wyjdzie na nas niedźwiedź?”. „Jak to, co?” – odpowiedział zdziwiony tatuś – „mamy przecież papier toaletowy!”.

Taboriska były czynne tylko dlatego, że przebywało na nich sporo osób, a miśki do takiej gromady, na szczęście, nie mogły się przyzwyczaić. Mieszkańcy Szafasisk mieli przykazane, pod rygorem „wyrzucenia za drzwi”, trzymanie szczelnie opakowanych produktów w „Relaksie”. Pewnego jednak razu, jednemu ze śpiących w namiocie taterników udało się skutecznie ów zakaz złamać. Działo się to tuż przed zapadnięciem zmroku. Siedziałem właśnie w „Relaksie”, dopijając wieczorną herbatę i wsłuchując się w szelest spadających na zewnątrz kropel deszczu. Rozmowy toczyły się jakoś niemrawo. Wszyscy byli znudzeni i żli na panującą od kilku dni niepogodę. W pewnym momencie usłyszałem zdławiony krzyk. Zerwałem się na równe nogi, wychylając głowę z chatki. Widok, który przedstawił się moim oczom, mógł rozbawić nawet mumię. Ujrzałem staczającego się po zboczu, potykającego o rozciągnięte linki naciągowe namiotów, zablokowanego i przemoczonego do ostatniej nitki, przerażonego do granic możliwości, człowieka. Kiedy do mnie dopadł, przez dłuższą chwilę nie był w stanie wydusić z gardła ani słowa. W końcu, z trudem doszedł do siebie i coś się okazało? Nie bacząc na ostrzeżenia, spałaszował w najlepsze w namiocie kolację z mielonki. Po zaspokojeniu głodu, rozebrał się i włożył do śpiwora, obok niedojedzonej zawartości puszek. Przechadzający się przypadkiem w pobliżu misiek nie miał problemu z wyczuciem kuszącego zapachu i widocznie zapragnął dołączyć do biesiady. Nie zadał sobie najmniejszego trudu, aby wejść do namiotu jak człowiek, rozpinając uprzednio tropik i rozsuwając wewnętrzny suwak. Wykonał natomiast jeden delikatny ruch łapą, rozdzierając dziurę godną swoich rozmiarów i przez nikogo nie zapraszany, włożył przez nią do środka budząc niespodziewanie, smacznie już śpiącego człowieka. Nieszczęśliwiec, wraz ze śpiworem i wielkim strachem, przeciśnął się obok misia zajętego wylizywaniem „Przysmaku Śniadaniowego” i potoczył w dół gromko wzywając pomocy.

Z racji niedźwiedziej odwiedzin, szef Betlejemki, zainstalował włączające się samoczynnie lampy halogeno-

we i syrenę, które mają odstraszać nieproszonych gości, lecz cała ta sytuacja, pomimo swojej grozy, obfituje głównie w momenty humorystyczne. Pamiętam noc, którą spędzałem właśnie w Betlejemce, śpiąc w „sali instruktorskiej”, na parterze budynku. Jej okna wychodziły na zewnątrz, mniej więcej na wysokości metra nad ziemią. Noc była bardzo ciemna a okno otwarte. Obudziłem się słysząc łomot. Zaciekawiony, wystawiłem głowę ze śpiwora i w tej samej chwili rozległ się... gromki wrzask przerażonej do granic możliwości żony jednego ze starszych instruktorów. Wrzask, który miałby szansę wystraszyć samego diabła. Zaraz potem nastąpiło głucho uderzenie o podłogę; zrozumiałem, że kobieta spadła z piętrowego łóżka. Pomimo obrażeń, szybko podniosła się i z krzykiem wybiegła z sali. Zwierzę ładowało się już do środka, z trudem przeciskając cielsko przez wąskie okienko. Po chwili przemówiło głosem znajomego mi Bogdana, bo to właśnie on, wracając z przeciągającej się „imprezy” i nie mogąc wejść przez zamknięte na noc frontowe drzwi, wybrał jedyną dostępną drogę do swego łóża. Nie mogąc powstrzymać dzikiego rechotu, zagłębiłem się powtórnie pod puchowe przykrycie, a znerwicowana kobieta zaczęła się pakować. Następnego ranka pośpiesznie wyjechała.

Emocjonującą przygodę miała szansę przeżyć trójka kursantów, która wybrała się na wieczorny koncert muzyki poważnej do Zakopanego. Kiedy wracali grubo po północy, kilkadziesiąt metrów od Betlejemki dostrzegli przed sobą, siedzącego na ścieżce, niedźwiedzia. Kamienie rzucone w jego kierunku nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Wręcz przeciwnie, misiek jak można się domyślać ruszył w ich stronę, groźnie porykując. Chłopcy tak się przestraszyli niespodziewanego kontrataku, że po wykonaniu skrętu o sto osiemdziesiąt stopni, zaczęli uciekać wprost przed siebie. Kiedy trafili na pierwszą lepszą skałkę, wdrapali się na nią. Sytuacja jak z bajki. Misiek usiadł pod ścianą i przez całą noc pilnował swoich więźniów, którym dygoczącym z zimna, dał szansę zejść dopiero po świcie. Cała Betlejemka przez kilka dni nabijała się z biednej trójki zapalonych melomanów. Również pecha miała pewna turystka, która schodząc już po zapadnięciu ciemności z Murowańca na Rąbaniska (pole namiotowe na Hali Gąsienicowej) o mało nie umarła ze strachu na dźwięk głośniego mlaskania, rozlegającego się z krzaków. Szybki bieg zakończył się poważnym złamaniem nogi.

Największą wówczas odwagą wykazała się córeczka szefa szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu. Któregoś popołudnia siedziała z najbardziej doświadczonym instruktorem wspinania, na płotku okalającym taborisko na Hali. W czasie rozmowy, nagle wyciągnęła rękę przed siebie i wyraźnie ucieszona wykrzyknęła: „Popatrz Waciu, misie idą!”. Instruktor z wrażenia spadł z płotka.



Północna ściana Hagshu fot. Radek Motrenko

Hagshu



Paweł Józefowicz

Całkowicie skostniały wiercę się w jamie wykopanej poprzedniego wieczoru na platformie filara. Próba zatkania dziury, z której wiało zimnem skończyła się podarciem NRC-tki. Świta. Powoli coraz więcej światła wpada do jamy i widzę, że obok Darka jest dziura, przez którą widać kilkadziesiąt metrów północno-wschodniej ściany – w dół. Ładna perspektywa...

Ale po kolei... Pierwsza wyprawa UKA pojawiła się pod Hagshu, wybitnym i niezdobytym szczytem w Himalajach Zachodnich w 1988 roku. Cel znalazł Tadek Stupski w czasie jednej ze swoich licznych podróży po Zanskarze. Szczyt był już wcześniej parokrotnie bezskutecznie atakowany przez Anglików. Wtedy postanowiliśmy, podobnie jak oni, atakować

szczyt od strony północnej. Z tej strony był on piękną, klasyczną piramidą. Akcja górską rozwijała się sprawnie, dość silny zespół miał na pewno szanse zdobycia. Jednak pięciodniowy, nieustanny opad, w czasie którego przybyło dwa metry śniegu pokrzyżował nasze plany. Straciliśmy dwa obozy i... chęć do dalszej walki.

W następnym roku postanowiliśmy zaatakować szczyt od strony południowej, z doliny Kishtwaru. W skład wyprawy wchodził: Marek Głogoczowski, Paweł Józefowicz, Marta i Radek Motrenko, Paweł Szczepkowski, Darek Żałuski. Towarzyszyła nam Marysia Piątkowska. Kilka lat wcześniej w dolinie tej działała silna wyprawa, w skład której wchodził między innymi Bobas i Mirosław Falco-Dąsał.

Dziesięć dni po założeniu bazy na morenie lodowca Sechuan, udało nam się założyć depozyt na plateau u stóp filara wyprowadzającego na szczyt na wysokości około 5500 m. Dokładnie do tego samego miejsca dotarliśmy od strony północnej w poprzednim roku. Potem pogoda się zepsuła i część ekipy postanowiła przejść na parę dni do doliny Zanskaru, odwiedzić naszych znajomych z poprzedniej wyprawy oraz zwiedzić parę klasztorów. Mieli wrócić za kilka dni. Darkowi i mnie jakoś nie chciało się ruszać spod Góry.

68

40 lat UKA



Hagshu – widok z doliny fot. Dariusz Załuski



Autor podczas biwaku fot. Dariusz Załuski

Wieczorem, dwa dni po odejściu reszty ekipy pogoda zaczęła się poprawiać. Następnego dnia o 4 rano wychodzimy. Po kilku godzinach torowania w metrowej warstwie świeżego śniegu dochodzimy na lodowiec otoczony z trzech stron stromymi zboczami. Stońce operuje już mocno i zaczynają schodzić lawiny. Po pół godzinie zewsząd słuchać ich huk. Chronimy się pod skałą i podziwiamy kolejne, coraz większe lawiny, przeczekujemy resztę dnia. Ruszamy wieczorem i dochodzimy do kuluaru wyprowadzającego na plateau. Zaczynamy się wspinać jednym z koryt wyżłobionych przez lawinę. Idealnie równa, stroma rynną po kilku godzinach wyprowadza nas na plateau. Zaczyna świtać. Do depozytu dochodzimy już w pełnym stońcu. I znów zaczynają się lawiny. Rozstawiamy namiot pod potężnym blokiem i przez resztę dnia gotujemy i pakujemy się do dalszej wspinaczki. Chcemy iść „na lekko”; zabieramy 4 śruby, komplet kości, 10 haków i jedzenie na jeden dzień.

Tu potężny blok, idealny na stanowisko. Po chwili Darek dochodzi do mnie. W górze filar nieco się kładzie. Następnych kilka wyciągów wiedzie teraz albo ostrzem filara albo terenem na prawo od niego – pięknym litym granitem. Późnym popołudniem dochodzimy na małą śnieżną półeczkę, pod kolejnym spiętrzeniem filara. Znajdujemy system rys idących w lewo, za ostrze filara. Zaczyna się ściemniać, ale chcę tego dnia zrobić jeszcze jeden wyciąg. Idę wolno w górę i po 40 metrach dochodzę do gładkiej ścianki. Na dzisiaj wystarczy. Zakładam zjazd i w ciemnościach zjeżdżam do Darka. Tuż przy skale znajdujemy szczelinę, która niżej rozszerza się tworząc szeroką jamę nadającą się na nocleg. Układamy się najlepiej jak możemy. Niestety gdzieś z dołu wieje zimnem, NRC-ty jak zwykle szybko się dra; robi się zimno jak cholera. Mimo, że to tylko około 5900 m, jest to najwyższy punkt, jaki osiągnęliśmy na tej wyprawie, więc obaj czujemy wysokość. Gdy zaczyna świtać gotujemy oszczędne śniadanie (mało gazu...) i do góry. Małpuję do stanowiska, a po chwili dochodzi do mnie Darek. Następny wyciąg zaczyna się trudnym trawersem w lewo wąską listwą pod ścianką zakończoną przewieszkami, później w górę pionową grzędą na półkę. Po kiepskim biwaku idzie mi



Biwak w ścianie fot. Paweł Józefowicz

ciężko. Następne wyciągi prowadzi Darek. Filar najpierw nieco się kładzie, by potem znów się spiętrzyć. Około 12 wychodzimy na turnię kończącą filar. Przed nami długa, poszarpana grań wyprowadzająca na szczyt.

Z turni zakładamy krótki zjazd przez pionowy próg. Ruszamy granią z lotną asekuracją. Po prawej stronie mamy ponad 1000 metrową pionową ścianę północno-wschodnią, a po lewej dużo bardziej połogie zbocza o wystawie południowej. Mijamy kolejne turnice na grani. Dość szybko pusze się pogoda. No cóż, jest już po południu, więc pogoda ma się prawo popuścić... Grań jest teraz niby łatwa, ale cały czas trzeba uważać, bo rozgrzanymi, żlebkami od strony południowej co chwila coś się sypie, a po drugiej stronie...

W pewnej chwili, gdy idziemy dość połogim fragmentem grani słyszę krzyk Darka. Kątem oka widzę jak spada na stronę północną. Odruchowo rzucam się w śnieg i wbijam czekan, ale szarpnięcie liny nie następuje. Po dłuższej chwili, nawoływany przez Darka, ostrożnie podchodzę do grani.

Stoi kilka metrów poniżej jej krawędzi na wąskiej półce. Spadł z nawisem, jednak jakimś cudem się zatrzymał. Nawis poleciał niżej i jeszcze teraz widać, jak gdzieś w dole toczą się resztki lawiny, którą wywołał. Górna część ściany północno-wschodniej, dwukrotnie bezskutecznie atakowanej przez Anglików, wygląda imponująco. Oblodzone filary poprzedzielane pionowymi kuluarami wyglądają trochę jak górna część Galerii Gankowej widziana z tarasu.

Ruszamy dalej. Nie spodziewaliśmy się, że grań będzie aż tak długa. Idziemy teraz wśród przewalających się przez nią chmur wyglądając najwyższego

punktu. Wreszcie w czasie chwilowego przejaśnienia widać wierzchołek, na którym stajemy pół godziny później.

Jednak tu jesteście! Sam wierzchołek jest bardzo niepozorny – łagodna czapa śnieżna z kilkoma skałkami i nawisami po stronie północnej. Niestety jesteśmy w chmurach, wieje coraz mocniej i prawie nic nie widać. Po pół godzinie, około 16-tej zaczynamy schodzić.

Do ścianki wyprowadzającej na turnię na filarze dochodzimy już po ciemku. Dziesięciometrowa płyta jest trudna i ten krótki wspin zabiera mi przynajmniej pół godziny. Na szczycie turni Darek szybko zakłada stanowisko. Pierwsze dwa zjazdy idą gładko, ale gdy dojeżdżam do końca liny na trzecim nie mogę znaleźć żadnego miejsca na stanowisko kolejnego zjazdu. Wreszcie wisząc na linie wbijam słabą v-kę i staję na wąskiej półeczce. No i wtedy zaczyna się... Najpierw gąśnie mi czołówek. Po omacku szukam dookoła, gdzie by tu wbić drugi hak, ale niczego nie znajduję. Przez kilka ostatnich metrów zjazdu też nie widziałem żadnego punktu, nie mam siły podchodzić po linie, więc muszę zaryzykować.

Przypinam się do haka, zwalnim lina i Darek zaczyna zjeżdżać. Gdy jest już blisko krzyczę, że musi wyżej założyć następny zjazd. Udaje mu się gdzieś stanąć, posyłam mu sprzęt. Po kilkunastu minutach krzyczy, że założył kolejne stanowisko i ściąga lina. Niestety, lina się klinuje. Darek wchodzi kilka metrów w górę – udaje mu się ją zwolnić. Teraz próbuje tak rzucić lina, żeby ją mógł się w nią wpiąć. Po wielu próbach wreszcie się udaje. Mam znów lina w rękę. Przez półtorej godziny stałem nieruchomo na wąziutkiej półeczce (by nie wyrwać haka), więc strasznie zmarzłem. Najgorzej jest z nogami, zupełnie nie czuję palców. Wpinam się w ósemkę, ale wypada mi ze zgrabiały rąk i leci w dół. Kolej na półwyblinkę... Wpinam się i zaczynam zjazd. Już po paru metrach lecę w dół, nie mogąc wyhamować zjazdu. Żle wpiąłem półwyblinkę!

W panice ściskam lina obiema rękoma. Na szczęście lina jest jednak jakoś przepleciona przez karabinek i wyhamowuję. Wiszę – nie mam na czym stanąć – przerzucam lina prze ramię i w takim niby-kluczu jadę dalej. Dojeżdżam do szerszej półki. Siadam. Przystało mi być zimno... Po chwili Darek dojeżdża do mnie. Zakładamy kolejny zjazd, już chyba ostatni. Teraz Darek jedzie pierwszy, a po chwili ja. Jesteśmy z powrotem na półce, z której wyruszyliśmy dobie temu. Wpełzamy do jamy śnieżnej i zakładamy „auta” z liny zjazdowej. Jest przeraźliwie zimno. Nie mamy już gazu ani nic do jedzenia. NRC-ty zupełnie podarte. Wiem, że powinienem się zająć palcami lewej stopy, ale nie mam siły zdejmować „skorupy” i ich rozcierać. Trzęsąc się i pogadując wyczekujemy świtu. Rano wyczołgujemy się z naszej jamy. Nagrodą za wczorajsze trudy jest słońce i wspaniały widok. W dodatku znajdujemy jeszcze



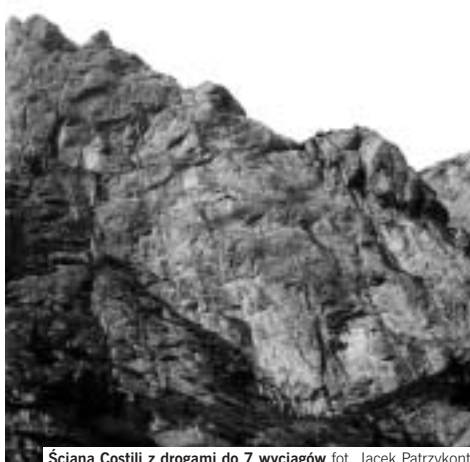
Hagshu fot. Radek Motrenko

kawałek czekolady. Jest cudownie! Po chwili Darek ściąga linę i szukamy bloku na pierwszy tego dnia zjazd. Zostały nam już tylko trzy haki, więc musimy je oszczędzać. W takim słońcu zjazdy przebiegają gładko... Jeden, drugi, trzeci... Wreszcie stajemy nad ostatnim spiętrzeniem filara. Zostały nam jeszcze dwa haki. Znajduję idealną szczelinę na płytówkę i jadę w dół. Po czterdziestu metrach staję na lodzie. Tuż nad sobą mam piękną szczelinę na fałkę! Życie jest piękne! Dojeżdża Darek. Lina schodzi gładko i po chwili Darek zaczyna następny zjazd. Po dziesięciu minutach jestem przy nim. Ma auto z dwóch śrub. Pod nami widać nasz namiotik na plateau. Ponieważ obaj jakoś nie lubimy zjeżdżać ze śrub, a lód nie jest bardzo stromy, decydujemy się na schodzenie. Po godzinie jesteśmy przy namiocie. Pić!!! Topimy kolejne menażki, aż mamy już zupełnie dość ohydneho smaku visolwitu. Zdejmuję skorupy koflachów i botki. Duży palec lewej nogi i końcówka drugiego są zupełnie czarne. Niedobrze to wygląda. Wystawiam nogi na słońce, mając nadzieję, że spóźnione ciepłko dobrze im zrobi. Jest już dwa dni po terminie umówionego spotkania z resztą ekipy i wiemy, że mogą się o nas niepokoić. Śnieg na popękanych szczelinach plateau jest jednak zbyt rozmiękły, a my zbyt zmęczeni, żeby schodzić tego samego dnia. Decydujemy, że zejdziemy na drugą stronę głównej grani, tak, żeby szybciej spotkać się z pozostałymi. A drogę znamy z zeszłego roku.

Piękny leniwy wieczór wypełniony rozmowami o przeżyciach z poprzednich dni, gotowaniem i... planami następnych wyjazdów. Rankiem moje palce są tak opuchnięte, że ledwo wsadzam je w skorupę. Ruszamy w dół plateau i po pierwszych stu metrach Darek wpada po pas do szczeliny. Później idzie już ostrożniej odszukując kompletnie dla mnie niewidoczne szczeliny. Kluczmy tak przez kilka godzin aż wreszcie wchodzimy na morenę, którą idziemy w dół mijając kolejne spiętrzenia lodowca. Wieczorem rozbijamy namiot o parę kilometrów od bazy z poprzedniego roku. Wyraźnie słyszymy czyjeś głosy. Czyżby to nasi? Rano szybko się zwijamy i klucząc w labiryncie lodowca zbliżamy się do miejsca bazy z zeszłego roku. Wychodzimy wprost na kilka namiotów rozstawionych na morenie. Kilku facetów wychodzi nam naprzeciw. To kolejna wyprawa angielska, która przyjechała tu z zamiarem... pierwszego wejścia na Hagshu. Wyjaśniamy im skąd się tu wzięliśmy, pomijając tylko fakt wejścia na szczyt. Niestety, w tym roku jesteśmy nielegalnie, a oni z oficerem – moglibyśmy mieć nieprzyjemności. Anglicy w dwa tygodnie później wejdą na szczyt, ale jeden z nich zginie w zejściu. Znajdą parę naszych haków zjazdowych, a my już z Polski napiszemy do nich list opisujący nasze wejście. Ku naszej radości, po paru godzinach, do bazy angielskiej przychodzą też Marek, Paweł i Radek. Ekipa jest znów razem, a Hagshu nasze!

HAGSHU – PIERWSZE WEJŚCIE NA SZCZYT.

Droga granią południowo-wschodnią. Długość: 800 m. Trudności: lód do 70", jeden wyciąg VI-, dwa wyciągi V, pozostałe łatwiejsze. Szczyt zdobyli 9 września 1989, po dwudniowej wspinaczce, Paweł Józefowicz i Darek Załuski.



Ściana Costili z drogami do 7 wyciągów fot. Jacek Patrzykont



Kobra na drodze Herman Buhl (6a) na Tancului Mic fot. Jacek Patrzykont



Podczas zjazdu fot. Jacek Patrzykont

Obiecałem Kubie...

Jacek Patrzykont



Mimo, że nie uczestniczę aktywnie w życiu klubu, czuję się z nim mocno związany emocjonalnie. Iles tam klubowych obozów w Tatrach, ileś wyjazdów w skałki, ładnych kilka szkoleń skałkowych i tatrzańskich. Potem praca szkoleniowa już na własny rachunek, a potem zwykła praca oddaliły mnie od czynnego życia klubowego. Myślę, że zmiana pokoleniowa (bardzo potrzebna i w porę zrobiona) miała na ten stan rzeczy niewielki wpływ. Mając teraz dużo pracy na kilku ścianach wspinaczkowych, mijam się z terminami ścianek klubowych. Kuba Radziejowski ile razy się spotkamy, prosi mnie o uzupełnienie historii klubu, z okresu mrocznego i zapomnianego. Ostatnie spotkanie z Kubą miało miejsce w supermarkecie. Ten fakt lekko mną wstrząsnął.

Obiecałem Kubie, że napisze o zupełnie zapomnianym obozie klubowym w Rumunii, który przygotowałem i prowadziłem w 1984 roku.

Ostatnio, po zakończeniu przeprowadzki, udało mi się odszukać książkę wyjść obozowych. Będzie mi potrzebna przy pisaniu, bo parę nazwisk i nazw wyleciało mi już z głowy. Od biedy poradziłbym sobie i bez tego. Pamięć „wspinaczkową” mam świetną, dużo gorzej jest, gdy mam kupić ziemniaki na obiad. W marcu 1984 roku wyszedłem z wojska. Byłem taternikiem z marnym stażem, ale dużym zapalem. W 1981 roku ukazała się książka Janusza Opry-

chała – Bojarskiego Spacerkiem po skale, sympatyczny zbiór opowiadań. Kilka z nich opowiadało o wyjeździe wspinaczkowym do Rumunii w góry Bucegi. Zaintrygowało mnie kilka rzeczy. Skała – konglomerat, czyli zlepienie, coś czego nie ma w Polsce. Nazwy – brzmiące dla mnie bardzo egzotycznie. Możliwość wspinania się w górach mało znanych (zawsze miałem tendencję do wydeptywania własnych ścieżek). Rumunia to był kraj daleki i tajemniczy. Z kolei na zachód jeździli tylko najlepsi.

Z organizacji wyjazdu niewiele pamiętam. Wyjazd firmował Oddział Międzyuczelniany PTTK. Trzeba było mieć program i przydział waluty. Nie pamiętam czy jechaliśmy z paszportami i prywatnymi czy sportowymi. Kupno biletów tam i z powrotem odbyło się bez problemu. Skład obozu był następujący: Małgorzata i Leszek Łobodzcy (Małgolesie), Ulka i Tadek Żebrowscy, Robert Karlak (Kobra), Piotr Konieczny, Wojtek Drewienkowski, Igor Oniszczyk, Zbyszek Laskowski, Andrzej Bałtyn, Jacek Patrzykont (kierownik obozu). Wyruszyliśmy z Warszawy 1 sierpnia, przez Przemysł, Kijów do Ploeshti. Tam przesiedliśmy się na pociąg do Brasova. Wysiedliśmy w miasteczku Busteni, skąd już na piechotę mieliśmy udać się w góry do schronu, blaszanki dla wspinaczy o nazwie Costila. Podejścia w pionie było z 600 metrów, czyli nie tak dużo, ale wory mieliśmy ciężkie. Sprzęt, jedzenie na cały pobyt, maszyny benzynowe i zapas benzyny, sprzęt biwakowy itd. Nigdy nie miałem cięższego plecaka, musiał ważyć dobrze ponad 40 kilogramów, bo w połowie drogi zdeponowałem trochę rzeczy w krzakach. Blaszanka Costila była pełna (25 miejsc), musieliśmy rozbić namioty w żlebie tuż przy korycie strumienia – wówczas wyschniętego. Obozowisko z racji stromizny terenu, było na kilku poziomach. Po wodę trzeba było chodzić około 15 minut do źródła. Miejscowi wspinacze natychmiast chcieli odkupić od nas trochę sprzętu, głównie karabinków.

Działalność górską zaczęliśmy od turni stojących nad obozem o nazwach Tancului Mic i Tancului Ascuită. Padły drogi od 3a do 5a. Drugiego dnia obozu Robert Karlak z Rumunem o imieniu Denko



Blaszak Costila pod ścianą Tancului Ascutii
fot. Jacek Patrzykont

zrobili na ścianie Peretele Vaii Albe drogę *Fisura Albastra* (6b-, 600 m). Wrócili wieczorem, kiedy siedzieliśmy już przy ognisku, Robert usiadł i powiedział tylko „k... mać”. Powiedział to tak pięknie, że zawarł w tych dwóch słowach grozę, wysiłek i radość całego dnia. Strasznie chciałem robić takie przejścia, żeby móc też rzucić do czekających wszystko wyrażające słowa twarde jak skała. Było to przejście obozu, a „Kobra” był najmocniejszym zawodnikiem. Reszta z małymi wyjątkami stanowiła ekipę górskich maruderów. Z dalszej działalności sportowej zanotowane mam takie ciekawsze drogi: 5 sierpnia *Creasta Vulturilor* (IV, A1) – P. Konieczny, J. Patrzykont, T. i U. Żebrowscy, „Małgolesie”. 8 sierpnia *Fisura Suspendata* Peretelle Vaii Albe (5a, siedem wyciągów) – P. Konieczny, J. Patrzykont. 9 sierpnia *Fisura Suspendata* – „Kobra” i W. Drewienkowski. 12 sierpnia *Fisura In-sorita* (5a) P. Konieczny, J. Patrzykont. Z pozostałych wpisów wynika, że robiliśmy krótkie, łatwe drogi na turniach nad obozem. Wynikało to może z pogody, bo pod datą 6 sierpnia mam notatkę „pogoda dupnęła – przeszło 40°C.” Pod datą 8 sierpnia jest notatka, że zespoły „Małgolesiów” oraz Z. Laskowski, W. Drewienkowski i Igor złapali „uroczy kibelek w kosówce” po zrobieniu drogi o nazwie *Muchia Pintuluc*. Na jednej z dróg Małgośce spadł plecak do „hornula”, czyli komina.

Bucegi to małutkie pasmo o długości około 12 kilometrów. Wysokość szczytów sięga średnich wysokości szczytów tatrzańskich. Najwyższy szczyt nazywa się Omu i ma wysokość 2505 m. Nie ma zresztą wyraż-

nych wierzchołków, są tylko kulminacje płaskowyżu. Całe pasemko jest pokryte dość gęstą siatką szlaków turystycznych. Dla leniwych istnieje możliwość wjechania kolejką linową z Busteni na jedną z kulminacji płaskowyżu obok schroniska Babele (2208m). Ściany do wspinania są tylko po stronie wschodniej i tworzą mur długości około trzech kilometrów. Przed tym murem stoją niekiedy turnie będące zwieńczeniami grzęd odchodzących od głównej ściany. Ściany są bardzo ekspozowane. Z powodu ciepłego klimatu, każda półka czy platforma stanowi malowniczą łąkę. Teren łatwy jest bardzo zwietrzały i kruchy. Przewieszona kosówka nie należy w dolnych partiach ścian do rzadkości. Skała – zlepienie, wygląda jak szarawy wapień, w który powtykano mniejsze i większe otoczaki. Nabranie zaufania do tej skały wymagało na początku przezwyciężenia psychy.

Asekuracja, którą zastaliśmy w tamtych czasach, to głównie haki samoróbki. Trafiły się też rarytasy w postaci wbitego kawałka rury wodociągowej z przyspawanym koluchem. Zresztą w Tatrach też wtedy różnie bywało. Podejścia i zejścia były skomplikowane orientacyjnie; gdyby mgła lub chmury występowały częściej, to „kibelków” byłoby więcej. Ścieżki nie były kopczykowane. Kupiony przewodnik wspinaczkowy *Trasee alpine in Carpati* Waltera Koglera był dość rzetelny. Przynajmniej wtedy, kiedy tam byliśmy. Aby droga wspinaczkowa była uznana za istniejącą musiała posiadać komplet punktów asekuracyjnych. Ponieważ spitów tam nie znano (były tylko haki), drogi wiodły głównie rysami. Rumuńska skala trudności nie uwzględniała trudności hakowych, np. na drodze 4a był spory odcinek A1.

13.08 część osób z obozu przeniosła się w masyw Piatra, gdzie rozłożyliśmy biwak dwa kilometry od miasteczka Żarnesti. Druga część obozu pojechała nad morze, gdzie był większy rynek zbytu na kupione w Polsce prezerwatywy, srebrne łańcuszki i lekarstwo o nazwie Biseptol.

Przeniesienie się w Piatra okazało się kiepskim posunięciem. Nie zdobyliśmy przewodnika, pogoda była marna. Z zapisków wynika, że robiliśmy wycieczki, z czego parę w deszczu. Ale nie chciało się nam też wracać w Bucegi. Cały dzień zajęło mi potwierdzenie biletów powrotnych. Na szczęście pomagali mi w tym „Małgolesie”. Pamiętam, że załatwienie tej prostej czynności do średniego szczebla urzędnika kolei, bez łapówki nie miało szansy powodzenia. Dopiero wizyta u naczelnika stacji i wykonany płynną ruszczyzną (Leszek Łobodzki) telefon do Bukaresztu przyniosły sukces (a chodziło tylko o potwierdzenie istniejącej rezerwacji).

19.08 grupa „górska” i „morska” spotkały się na dworcu w Bukareszcie wsiedliśmy w pociąg i szczęśliwie dojechaliśmy do Polski. Gdyby ktoś był zainteresowany wyjazdem w Bucegi, to mam garstkę informacji, może jeszcze przydatnych.



Na przełęczy arch. Krzysztof Sadlej

„Wyrypy bywają różne...”

Kilka propozycji na narciarskie tury po Tatrach Wysokich

Krzysztof Sadlej



Idea ski-alpinizmu jest równie podstawowa jak stano-
wiące naszą rzeczywistość prawa fizyki. By dostać się
na przełęcz lub zaśnieżony wierzchołek, trzeba wyko-
nać pewną pracę pokonując siłę grawitacji, która
nieubłaganie ściąga w cień doliny. Potem, odpiąwszy
foki ze ślizgów nart, poddając się tej samej sile, krótki-
mi ostrymi skrętami i akrobatycznymi skokami zjeżdża
się w nieznanym terenie, by na następnej widocznej
już przełęczy powtórzyć cały rytuał od początku.

Nigdy nie wiadomo, co utrwali „wyrype” w pamięci.

Kapryśne tatrzańskie śniegi często platają nieprze-
widziane figle. Puch i firm w tajemniczy sposób
zmieniają się po przekroczeniu grani w zdradliwą
sześć. Zmienna i nieprzewidywalna pogoda w Ta-
trach jest czymś znanym i już praktycznie nie wywołują-
cym zdziwienia. Nie mówiąc już o sprzęcie, który mi-
mo swoistej prostoty, jeśli zawiedzie, to właśnie wtedy,
gdy jest najbardziej potrzebny – ot, na przykład noto-
rycznie spadająca foka z narty – akurat, gdy z piękne-
go, słońcem rozświetlonego o poranku nieba zaczynają
spadać pierwsze płatki śniegu, a znajome chmury
pędzące z zadziwiającą szybkością z dolin, powoli
ogarniają pierwsze wierzchołki.



Podejście arch. Krzysztof Sadlej

Ale właśnie to „nieprzewidywalne” przede wszystkim odróżnia
ski-alpinizm od narciarstwa trasowego i przy-wyciągowego. Wąskie
kuluary i żleby, otwarte stoki śnieżne i strome tatrzańskie lasy, prócz
technicznych trudności chowają w śniegu przeróżne zaskakujące
niespodzianki.

Pierwsze opisane wycieczki zimowe z wykorzystaniem nart odbywały
się pod koniec XIX wieku. Narciarze docierali nad Morskie Oko i Czar-
ny Staw, rzadko jednak zapuszczając się wyżej. Nieznane połacie
białego śniegu kusily, ale straszyły podstępными lawinami. O śniegach
wiedzano wtedy niewiele. Ludzie dopiero zaczynali poznawać różne
jego gatunki, uczyć się jak się po nim poruszać, by wyjść z zimy cało.
Ówczesne, najwcześniejsze podręczniki polecały, by narty smar-
ować... główką od śledzia lub skórką ze słoniny. Nikt wtedy nie my-
ślał jeszcze, że smary mogą również pomagać w podchodzeniu.

A o fokach wiedzieli wówczas tylko Norwegowie.

Narciarstwo wysokogórskie rozwinęło się w Polsce głównie w okresie
międzywojennym. Bywały zimy, że całe karawany narciarzy ciągnęły
przez tatrzańskie przełęcze. Później zainteresowanie tym rodzajem tu-
rystyki zaczęło spadać. Wraz z wybudowaniem kolejki linowej na Ka-
sprowy, w Tatrach pojawiało się coraz więcej narciarzy – wybitnych
znawców kotła Gąsienicowego i Goryczkowego, ale niczego poza tym.
Późniejsze przepisy parkowe, zabraniające uprawiania narciarstwa po-
za wyznaczonymi trasami, dopełniły dzieła zapomnienia. W między-
czasie w Alpach zaczęto mówić o ski-alpinizmie. To już miała nie być
wyłącznie turystyka, lecz pewne połączenie narciarstwa turystycznego
z alpinizmem. Do pokonania niektórych tras potrzebny miał być
sprzęt rodem ze wspinaczki zimowej. By dostać się na szczyt, z które-
go następnie należało zjechać na nartach, trzeba było korzystać
z raków i dziab, a nierzadko również poważniejszego sprzętu.

Być może ze względu na stosunkowo małą popularność ski-alpinizmu
na terenie polskich Tatr, lub po prostu ze względu na brak zapotrzebo-
wania, przewodników i literatury o tej tematyce w zasadzie nie ma.
Jedynie dwie publikacje, które na przestrzeni lat pojawiły się na pół-
kach polskich księgarni, to przewodnik Józefa Oppenheima *Szlaki
Narciarskie Tatr Polskich* wydany jeszcze przed wojną w roku 1936,
oraz przewodnik Tadeusza Zwolińskiego *Zimą w Tatrach* z lat 60-tych.
Istotnie, być może opisy tras w tym wypadku nie są tak potrzebne.

Wystarczy spojrzeć na mapę, przeczytać odpowiedni rozdział w taternickim przewodniku W.H. Paryskiego i ewentualnie zweryfikować opis z rzeczywistym stanem zaśnieżenia. Jeśli gdzieś jest biało, to pewnie da się tamtędy zjechać na nartach. Jest jednak kilka tras, które niewątpliwie warto przejść i dlatego godne są pewnego opisu i utrwalenia w słowie piśmym:

I. Rejon Hali Gąsienicowej

Szczyty i przełęcze wznoszące się nad majestatycznym Murowańcem od Kasprowego aż po Krzyżne i stoki Waksmundzkiego Wierchu i Koszystej stanowią fantastyczny rejon narciarski. W ciągu jednego dnia można z powodzeniem wykonać kilka ciekawych i różnorodnych zjazdów.

1. Stawy Gąsienicowe – Liliowe – Skrajna Przełęcz/Świnicka Przełęcz – Stawy Gąsienicowe. Jest to dobra trasa na początek. Zjazd z Skrajnej Przełęczy niezbyt trudny (S2) i często odwiedzany przez zabłąkanych narciarzy z Kasprowego nie powinien stanowić trudności nawet dla początkującego narciarza wysokogórskiego. Żleb spadający ze Świnickiej przełęczy jest trochę trudniejszy (S3). W górnej partii zdecydowanie węższy i trochę bardziej stromy, jest też zdecydowanie rzadziej odwiedzany. Na obu przełęczach często tworzą się duże nawisy, które należy z dala omijać.

2. Stawy Gąsienicowe – Niebieska Przełęcz – Stawy Gąsienicowe. Podejście i zjazd tą samą trasą. W górnej części żlebu często trzeba zdjąć narty i ostatnie metry podchodzić w rakach. Jest to trasa raczej trudna (S4/S5), ale dość bezpieczna ze względu na brak wystających kamieni. Nachylenie stoku w kilku miejscach przekracza 50 (to więcej niż na jakiegokolwiek przygotowanej trasie narciarskiej, których nachylenie nawet w skrajnych przypadkach rzadko przekracza 40). Przejście tej trasy jest możliwe tylko przy bardzo stabilnej pokrywie śnieżnej na wiosnę. Udany zjazd pozostawia wrażenie nie do zapomnienia.

3. Stawy Gąsienicowe – Karb (Szczyt Kościelca) – Czarny Staw Gąsienicowy. Zjazd z wierzchołka Kościelca na Karb, choć nietrudny (S3) możliwy jest tylko przy dużym zaśnieżeniu.

4. Zmarzły Staw – Zawrat/Zmarzła Przełęcz/Kozia Przełęcz/Zadni Granat – Zmarzły Staw. Każda

z powyższych tras, choć o podobnej trudności (S2+/S3) jest niepowtarzalna. Wszystkie cztery, jedna po drugiej, można z powodzeniem przejść w ciągu jednego dnia.

5. dol. Pańszczycy- Krzyżne – dol. Pańszczycy. Do dol. Pańszczycy z Murowańca można dojść przez Dubrawiska trasą letniej ścieżki. Żleb spadający z Przełęczy Krzyżne jest dość szeroki i oferuje przyjemny zjazd w nienaruszonym ludzkimi śladami śniegu (S3).

II. Dolina Pięciu Stawów.

Możliwości jest tutaj od groma. Opisuję tu tylko dwie ciekawsze.

1. Wielki Staw – Kozi Wierch – Wielki Staw. Imponująca trasa. Technicznie nietrudna (S3), ale najeżona kamieniami.

2. Wielki Staw – Szpiglasowa Przełęcz – Wielki Staw. Zjazd z tej przełęczy, prócz kilkunastu pierwszych metrów (S4) pomiędzy skałami jest łatwy i prowadzi rozległym śnieżnym amfiteatrem. Masy śniegu są jednak zdradliwe. W rejonie te nie należy się wybierać przy zwiększonym zagrożeniu lawinowym.

III. Trasy łączone, kilkudniowe.

1. Hala Gąsienicowa – Liliowe – Dol. Wierchcicha – Zawory – Dol. Piarzysta – Wrota Chałubińskiego – Morskie Oko – Szpiglasowa Przełęcz – Dol. Pięciu Stawów – Hala Gąsienicowa. Widokowo wspaniała, historyczna tura. Niegdyś trasa ta stanowiła najdogodniejsze połączenie Hali Gąsienicowej i Morskiego Oka. Pokonuje tereny praktycznie nie odwiedzane w okresie zimowym. Całość warto podzielić na dwa dni, pierwszego dnia dochodząc do Morskiego Oka, drugiego wracając na Halę Gąsienicową przez Szpiglasową Przełęcz i Zawrat/Kozią Przełęcz. Trudność S3.

2. Javorina – Zadnie Koperszady -Przełęcz pod Kopą – dol. Keżmarska – Barania Przełęcz – dol. Pięciu Stawów Spiskich – Czerwona Ławka – Strzeleckie Pola (Dol. Staroleśna) – Rohatka – Dol. Litworowa -Dol. Kacza –Żelazne Wrota – Dol. Miegoszowiecka – Hińczowe Stawy – Koprowska Przełęcz – Dol. Hilińska – Zawory – Gładka Przełęcz – Dol. Pięciu Stawów Polskich. Trudności S3. Kilkudniowa tura narciarska prowadząca przez piękne rejony Tatr Słowackich. Opisany przebieg jest tylko orientacyjny. Po drodze mija się wiele godnych celów. Z przełęczy pod Kopą można wejść na Szalony Wierch. Z Doliny Pięciu Stawów Spiskich warto udać się na Lodową Przełęcz. Przechodząc przez Strzeleckie Pola warto wejść na Jaworowy Szczyt. Przy stabilnym śniegu, zjazd z tego wierzchołka (S4) jest wysoce satysfakcjonujący.

Możliwości są praktycznie nieograniczone. To właśnie cały urok narciarstwa wysokogórskiego. Wejść można wszędzie tam, gdzie oczy poniosą, a umiejętności nie zawiodą.

Zawody im. Józefa Oppenheima

Puchar Polski
w Narciarstwie
Wysokogórskim

Małgorzata Czczott

5 kwietnia 2003 roku w Dolinie Chochotowskiej startowałam w zawodach z cyklu o Pucharu Polski w Narciarstwie Wysokogórskim. Zawody im. Józefa Oppenheima zostały zorganizowane przez Sekcję Narciarską Polskiego Towarzystwa Narciarskiego. Były to jedne z ośmiu edycji zawodów o PP. Pozostałe to: Puchar Pilsko (Pilsko) – zespołowe (dla Juniorek i Juniorów indywidualne), Tropienie Niedźwiedzia Babiogórskiego (Babia Góra) – indywidualne, Memoriał W. Siemaszki (Karkonosze) – indywidualne, Puchar Połonin (Bieszczady) – indywidualne, Korona Bieszczadów (Bieszczady) – indywidualne, Memoriał J. Strzeleckiego (Tatry) – zespołowe (bez kategorii Juniorek i Juniorów), Memoriał P. Malinowskiego (Tatry) – indywidualne.

W tym roku wiosną spadło dość dużo śniegu, dlatego też zawody rozegrane zostały na nieco zmodernizowanej trasie. Start miał miejsce na polanie przed schroniskiem („start” dla wszystkich kategorii razem), a trasa prowadziła na Grzesia, potem w stronę Rakonia, gdzie ze względu na grubą pokrywę świeżego śniegu zawodnicy jeszcze przed szczytem kierowani byli w dół do Wyżniej Chochotowskiej. Stamtąd (mniej więcej od granicy lasu) należało wrócić na grań, jeszcze raz zjechać – tym razem do drogi w Dolinie Chochotowskiej. Następnie należało zjechać kawałek tą drogą i podbiec szlakiem do Doliny Starorobociańskiej. Przy granicy lasu zawodnicy byli zawracani z powrotem do Chochotowskiej.



Meta umieszczona została w tym samym miejscu gdzie „start” – przed schroniskiem.

Zawodnicy startowali w ośmiu różnych kategoriach – podział dokonany został ze względu na wiek i płeć (Juniorki, Juniorzy, Seniorki, Seniorzy, Weteranki, Weterani, Nestorki, Nestorzy). Dzięki temu było ośmiu zwycięzców, co mocno urozmaiciło ceremonię wręczenia nagród. Na zakończenie zawodów odbyła się uroczysta kolacja, „uroczyście” zakrapiana czerwonym winem, co bardzo poprawiło humory tym, którzy musieli zjechać jeszcze wieczorem do Zakopanego.

W tych zawodach udało mi się zająć pierwsze miejsce w kategorii seniorek. W sezonie 2003 startowałam tylko w tych jednych zawodach, nie zostałam więc sklasyfikowana w Pucharze; ale w przyszłym roku... może wybierzemy się na zawody całą rodziną.

Regulamin Pucharu oraz terminy zawodów, które będą rozgrywane w 2004 roku można znaleźć na stronach Pezety (www.pza.org.pl).



**Climbing
Europe**

Projekt Uniwersyteckiego
Klubu Alpinistycznego finansowany
przez Komisję Europejską

76

ski alpinizm



fot. William Hunt



Autor w Jaskini Kasztanowej fot. William Hunt

Eksploracja jaskiń w Hagengebirge 2003



Marek Wierzbowski

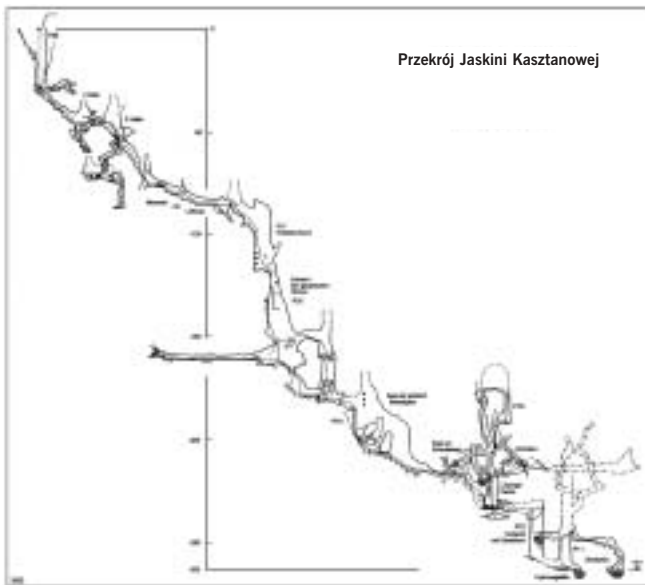
W lipcu i sierpniu 2003 odbyła się druga wyprawa zorganizowana przez Sekcję Grototazów Wrocław i Sopotcki Klub Tatarnictwa Jaskiniowego w północno-zachodnią część austriackiego masywu Hagengebirge. W wyprawie udział wzięło łącznie 17 osób, 11 z polski, 5 z Austrii i jedna z USA, a zgodnie z wieloletnią tradycją wypraw organizowanych przy współpracy obydwu klubów, kierownikiem był autor poniższego tekstu. W 2002 roku po usilnych staraniach i zabiegach dyplomatycznych otrzymaliśmy od lokalnych władz, z pomocą klubu Salzburskiego, pozwolenia na działalność w masywie Hagengebirge. Uzyskanie pozwolenia jest o tyle istotne, że kombinacja miejscowej biurokracji i unijnych przepisów potęgują ilość papierowej roboty potrzebnej na jego otrzymanie. Wysiłek potrzebny do zdobycia zezwolenia na eksplorację jaskiń, wielokrotnie przewyższa tatrzańskie i polskie

jest czymś dla klubowiczów normalnym, a efekty są doskonale widoczne chociażby po fakcie, że nikt nie rozbiera klubowych chatek rozsiansych po górach. Chatki te używane są między innymi przez polskie wyprawy i każdy śpi w nich za darmo. Lubiący luksusy i ciepłą wodę mogą oczywiście spać w schroniskach, które dalej pozostają tańsze od naszego Moka. Warto też dodać, iż dziwnym zbiegiem okoliczności klubowe chatki też powstawały jako obiekty tymczasowe, niektóre już w latach sześćdziesiątych. Nasz masyw, podobnie jak i sąsiadujące z nim masywy Tenengebirge, Hochkönig, Steinernes Meer i Hoher Göll są jednymi z najbardziej obiecujących – pod względem potencjału eksploracji głębokich jaskiń w Europie. Wszystkie były wcześniej celami różnych wypraw; nasza grupa działała wcześniej w Hoher Göll i Hochkönig. Hagengebirge był w przeszłości eksplorowany przez wyprawy austriackie, polskie, niemieckie, oraz jedną wyprawę włoską. Duża część eksploracji odbyła się w latach siedemdziesiątych oraz na początku lat osiemdziesiątych. Odkryto tam wielkie systemy:

77

jaskinie

Przekrój Jaskini Kasztanowej



Paweł Skoworodko w Alvermanie
fot. William Hunt

Jägerbrunntröghöhle (-1078 m gł., 28 km dt.) i Tantalhöhle (-435 m gł., 33 km dt.). W obydwu tych systemach działali Polacy, a ogrom masywu da jeszcze możliwości eksploracyjne następnemu pokoleniu. Podczas szesnastorocznej wyprawy odkryliśmy jaskinię Kasztanową oraz eksplorowaliśmy jaskinię Alvermanschacht odkrytą przez nielegalnie działającą wyprawę włoską w 1985 roku. Alvermanschacht jest jaskinią geologicznie młodą i odwadnia południowe stoki stosunkowo wysokiego szczytu, co jest szczególnie widoczne podczas opadów, kiedy to dziesiątki strumyków wsiąkają w pobliżu otworu. Górna część jaskini składa się z wymytych studni i bardzo ciasnych meandrów, natomiast w dolnej części mamy rury do połowy wypełnione wodą na przemian z meandrami i niedużymi studniami. Podczas pobytu w tej jaskini grotolazowi cały czas towarzyszył duży ciąg wodny, a w przypadku deszczu jej dolne partie są całkowicie zalewane. Ze względu na szesnastoroczną aurę, czyli niezwykle ilości deszczu i powódzie w Alpach – podczas naszego pobytu ograniczyliśmy działalność w tej jaskini do kilku nielicznych słonecznych dni. Mimo to bez większych problemów doszliśmy do miejsca, w którym eksplorację zakończyli Włosi i ruszyliśmy dalej.

W 2003 roku prowadziliśmy działalność w Jaskini Kasztanowej i w Alvermanschacht oraz odkryliśmy kilka innych, ciekawych obiektów dających duże szanse na eksplorację podczas następnych wypraw. Jaskinia Kasztanowa okazała się bardzo przyjemna do eksploracji, aż do momentu trafiać na trudne meandry w dolnych częściach jaskini. Niestety nie udało nam się znacząco pogłębić jaskini Alvermanschacht, gdyż wkrótce natrafiliśmy na syfon. Co prawda o wiele później, ale ten sam problem spotkał nas w Kasztanowej. Na szczęście w przypadku tej drugiej – wspinaczka prowadzona w kominach powyżej syfonów daje duże szanse na znalezienie obejść i na dalsze poruszanie się w głąb masywu. Wspinanie prowadzone w kominach leżących w centralnej części jaskini już przyniosło dobre rezultaty; trafiliśmy na ciągi poziomych bardzo starych rur freatycznych, które mogą rozwinąć jaskinie w nowych kierunkach. Podczas tegorocznej eksploracji odkryliśmy i skartowaliśmy ponad dwa tysiące metrów korytarzy, co należy uznać za bardzo dobry rezultat w trudnym masywie i jaskiniach krasu alpejskiego.

W wyprawie udział: William Hunt (USA CA), Rafał i Agnieszka Mateja (Sekcja Grotolazów Wrocław), Paweł Skoworodko (Speleoklub Warszawski), Marcin Zamorski (Speleoklub Częstochowa), oraz Radosław Paternoga, Dariusz Bartoszewski, Marcin Kaniewski, Maja Juniewicz i Jarosław Jezusek (wszyscy Sopocki KTJ) oraz Miłosz Dryjański, Marek Wierzbowski (UKA, SGW), i członkowie austriackiej federacji: Uwe Brendel, Anni Bieniok, Norbert Leisser, Sabine Bittner oraz Walter Klappacher.

Był Zjazd, nie ma Chatki i co dalej?



Jacek Czabański

Dwóch delegatów UKA (Karol Sulej oraz autor tego tekstu) udało się 20 września na jubileuszowy zjazd Polskiego Związku Alpinizmu do Krakowa, aby być świadkiem uczczenia 100-lecia zorganizowanego ruchu alpinistycznego w Polsce.

Już w holu, przy rejestracji uczestników było tłumnie, przy czym zdecydowaną przewagę miało starsze pokolenie alpinistów. Po niewielkim opóźnieniu, około 150 zebranych w auli krakowskiego AWF, powitał prezes PZA Janusz Onyszkiewicz. Następnie, powitalne mowy wygłosili przedstawiciele Polskiego Komitetu Olimpijskiego (Stefan Paszczyk, który reprezentował również honorowego patrona Zjazdu – Prezydenta RP), Polskiej Konfederacji Sportu (Andrzej Krasucki) oraz PTTK (Janusz Zdebski). Później, Walny Zjazd przez aklamację przyjął zgłoszone przez Janusza Onyszkiewicza propozycje kandydatów na przewodniczącego obrad Zjazdu (Leszek Dumnicki) oraz członków komisji mandatowej i wnioskowej. Do Prezydium zjazdu zaproszeni zostali dodatkowo obecni na sali nestorzy polskiego wspinania, tj. Ryszard W. Schramm, Zdzisław Dziecielewicz, Zygmunt Mikiewicz, Maciej Mischke. Po tej krótkiej części formalnej głos zabrał Ryszard Schramm, uzasadniając propozycje nadania członkostw honorowych kilkunastu osobom. Zjazd przez aklamację przyjął propozycje Kapituły.

Po nadaniu członkostw honorowych, Zjazd przeszedł do wręczenia medali 100-lecia PZA. I tutaj czekało nas wielkie zaskoczenie. Otóż na miesiąc przed Zjazdem (6 sierpnia) PZA poprosił zrzeszone kluby o wysuwanie kandydatów do medalu, którymi miało być uhonorowanych „sto osób, najbardziej zasłużonych na przestrzeni lat dla naszego sportu”. Kluby miały zgłaszać tyle kandydatur,



Przemawia Prezes PZA fot. Jacek Czabański

ilu mają delegatów na Zjazd, co w przypadku UKA dawało 2 osoby. Stosowne propozycje (Maciej Popko, Tadeusz Stupski) zostały przez UKA przedstawione. Dopiero na Zjeździe okazało się, że medali zostanie wręczonych aż 297! Ponieważ zgłosiło z klubów mogło być około 65 (tytuł jest delegatów na zjazd), to pozostałe 230 nazwisk (cztery razy więcej) samodzielnie ustalił Zarząd PZA. W miarę odczytywania tej przydługiej listy nasze zdumienie rosło: czym na przykład można wytłumaczyć nieobecność Jana Hobrańskiego? Również medal dla Kingi Ocieпки, medal w końcu na 100-lecie polskiego alpinizmu – w żaden sposób nie negując jej sukcesów – wydaje się być trochę na wyrost. Wreszcie medal dla Aleksandra Kwaśniewskiego (sic!) był aktem lizusostwa nie usprawiedliwionym chyba żadnymi korzyściami z naszego nowo pozyskanego alpinisty. Moje zdumienie wzbudził również fakt, że przyznający medale Zarząd PZA, przyznał je również sam sobie (medale dostało 8 z 12 członków Zarządu). Jak się okazało w dwa miesiące po zjeździe, Zarząd PZA postanowił przyznać około 100 dodatkowych medali – nie przyznanych wcześniej z powodu braku pieniędzy na ich wybić. Jak słusznie zauważył Piotr Pustelnik (laureat zresztą) w grudniowym „Magazynie Górskim”, taka liczba przyznanych medali skutecznie zdezwuouowała ich rangę. Pierwotny pomysł przyznania 100 medali był zdecydowanie lepszy. Jednak najgorsze dopiero miało nastąpić...

Po odczytaniu zdumiewającej miejscami listy, przewodniczący oznajmił, że brak czasu na indywidualne wręczenie medali, więc ogłasza przerwę i prosi laureatów o podchodzenie do prezydium, gdzie medale czekają w kartonie (sic!). Utworzył się więc ogonek laureatów, grzecznie czekających na swoją kolejkę i kilka sekund chwały. Kiedy zaś odbierałem medal dla Tadeusza Stupskiego (obecnie przebywającego w USA) uprzejma pani zapytała, czy dyplom ma wypisać „za wyniki sportowe”, „za popularyzację” czy „w do-

79

100 lat PZA

wód uznania”? (Od razu przypomniał mi się „Miś” i puchar za zajęcie pierwszego miejsca...) I w ten sposób wyszło na to, że Zarząd PZA nawet nie wie, za co przyznaje medale...

Należy w tym miejscu dodać, że spośród członków UKA medale dostali: założyciel i pierwszy prezes UKA prof. Maciej Popko, wieloletni prezes i organizator wielu wypraw Tadeusz Słupski oraz – za swoje osiągnięcia speleologiczne, obecny członek zarządu Marek Wierzbowski.

Po przerwie spowodowanej zamieszczeniem związanym z odbiorem medali, zaczęły się wykłady. Już pierwszy okazał się pomyłką, gdyż był odczytaniem artykułem Józefa Nyki o historii PZA, a zamieszczonym wcześniej w Tatniku. Pomysł, aby na Zjeździe odczytywać opublikowany (skądinąd interesujący, ale przecież już znany) artykuł był zdecydowanie niedobry, nie mówiąc o tym, że inne są oczekiwania odbiorców wobec wykładu, a inne wobec artykułu. Nastrój poprawił nam wykład wieloletniego prezesa PZA, Andrzeja Paczkowskiego, aczkolwiek uczciwie mówiąc – znając jego wcześniejsze wypowiedzi, spodziewaliśmy się lepszej przemowy. Całkowicie nieudana okazała się zaś wypowiedź Ryszarda Schramma, który wspominając naszych zmarłych kolegów, poruszał się niestety w zakłętym kręgu trzech zdań przez dobrych 40 minut. Na szczęście, impresje Andrzeja Wilczkowskiego wynagrodziły nam opóźnienie. Naprawdę warto było słuchać o sensie wspinania przedstawionym w tak emocjonalny sposób. Ostatni wykład Janusza Baryły dotyczący speleologii: niestety, mówca nie uniknął definiowania pojęć przez większą część wykładu, co pozostawiło słuchaczy aż do końca dezorientowanych, co do właściwego tematu przemowy.

Po wykładach zgłosiło się kilku mówców uzupełniających lub prostujących podane informacje. Najbardziej energiczny okazał się śląski delegat Zygmunt Mikiewicz, który niemal krzycząc uzupełnił wykład Andrzeja Paczkowskiego o informacje, że: „to myśmy PIERWSI w Polsce wprowadziliśmy – no może to było i głupie, ale zawsze... – więc to my PIERWSI wprowadziliśmy alpinistów!” i dodał po chwili „Nasza działalność była nie byle jaka...”

Po wykładach historycznych przyszedł czas na wolne wnioski. Jako pierwszy dyskutowany był wniosek Andrzeja Wilczkowskiego o nadanie członkostw honorowych osobom już nieżyjącym – pomysł kontrowersyjny, albowiem nie wiadomo, kto właściwie miałby docenić fakt takiego uhonorowania?

Drugim w kolejności wnioskiem była złożona przeze mnie prośba do Zarządu PZA o informację w sprawie likwidacji bazy zimowej PZA, tj. Chatki na Włosienicy. W imieniu Zarządu głos zabrał Maciej Pawlikowski, przewodniczący Komisji Tatrzańskiej. Na początku, sprawiając wrażenie zażenowanego, przeprosił zgromadzonych delegatów, że w tak doniosłej chwili musi zajmować się tak banalnymi sprawami. Oświadczył, że „nie jest prawdą, że Chatka – jak głoszą plotki – jest właśnie likwidowana. Z tego, co wiadomo będzie stała do 30 września 2003”. Poinformował nas również, że PZA posiada już bazę zimową w postaci Betlejemki i że on sam: „co najmniej trzy razy podchodził do Moka z Betlejemki” i uważa to za bardzo dobry trening (jak słusznie ktoś zauważył później, jedni jeżdżą w Tatry trenować, inni się wspinac). Generalnie, likwidacja Chatki jest przesądzona, jako że Chatka tylko tymczasowo pełniła rolę schronu (na czas remontu schroniska od początku lat 90-tych), a obecnie Park nie przedłużył umowy dzierżawy, przeznaczając teren parkingu na Włosienicy na teren leśny, zgodnie z planem ochrony Parku.

Z sali zadałem dodatkowe pytanie, czy nie są zagrożone również taboriska (coraz więcej pogłosek krąży na ten temat). Z wysokości podium prezes Janusz Onyszkiewicz zapewnił, że „nie ma problemu obozowisk”.

Optymizm Prezesa wydaje się być optymizmem na wyrost. Już bowiem w przyszłym roku mają zostać zlikwidowane Rąbanińska. Oczywiście, nic na pewno nie wiadomo, jednak zdumiewa nieświadomość PZA, co do powstającego właśnie planu ochrony TPN, który to plan przesądzić może o dalszym istnieniu taborisk. O ile można sobie wyobrazić zimowe wspinanie z bazą w schronisku, o tyle likwidacja taboru w Moku oznaczać będzie koniec wspinania latem w Tatrach, zmuszając do podchodzenia, z oddalonego jednak trochę od Kazalnicy taboru na Polanie pod Wysoką. Sprawa taborisk jest zbyt ważna, by zostawić ją wyłącznie w rękach PZA!

Po Zjeździe zająłem się tą sprawą trochę dokładniej – rozmawiałem z dyrektorem Jerzym Chabrosem z Krajowego Zarządu Parków Narodowych, od którego się dowiedziałem, że plan ochrony TPN nie został jeszcze uchwalony. Później rozmawiałem z dyktorami Tatrzańskiego Parku Narodowego – Stanisławem Czuber-natem (dostał medal 100-lecia PZA) oraz Zbigniewem Krzanem.

W TPN dowiedziałem się, że taboriska przeznaczone są do likwidacji. Oba położone są w obrębie ścisłych rezerwatów przyrody (powiedz kotku, kto wyznaczył tam te rezerваты...). Rąbaniska (Hala Gąsienicowa) będą likwidowane szybko, może nawet w 2004 r., podczas gdy Szałasiska (Morskie Oko) w dłuższym terminie. Zamierzeniem Parku jest jednak ostateczna ich likwidacja.

Na moje pytanie, co mają zrobić taternicy w Morskim Oku (na Hali wiadomo, pójdą do Betlejemki), dowiedziałem się, że Stare Schronisko zostało kiedyś przekazane PTTK-owi z założeniem obsługi ruchu taternickiego. Skądinąd wiem, że przedstawiciele PZA rozmawiali niegdyś z PTTK na temat wynajęcia schroniska, jednak warunki finansowe były trudne do przyjęcia. Nic nie wskazuje jednak na to, aby PTTK zgodził się na udostępnienie starego schroniska latem – chodzi w końcu o niemałe pieniądze (w sezonie Moko odwiedzane jest przez 10 tys. osób dziennie). Mało optymistycznie widzę więc możliwe rozmowy z PTTK na ten temat – może jedynie wykorzystując nacisk TPN coś udało by się zrobić. No, ale w tym celu, warto byłoby przynajmniej odwiedzić dyrektora Skawińskiego (jak powiedział swego czasu w wywiadzie dla „Gór”: chciałby rozmawiać, ale nikt do niego z PZA nie przychodzi...).

Dobra wiadomość jest taka, że ostateczny plan ochrony TPN nie został jeszcze opracowany – a kiedy zostanie opracowany, to będzie podlegać ocenie i zatwierdzeniu przez Ministerstwo Środowiska, a następnie zostanie wyłożony do wglądu wszystkim zainteresowanym. Nie warto jednak czekać na ostatni moment. Już teraz należy pisać, mailować i faksować do TPN oraz Ministerstwa Środowiska, Departamentu Ochrony Przyrody, oraz do Krajowego Zarządu Parków Narodowych, w celu wyrażenia sprzeciwu wobec planowanej likwidacji taborisk taternickich. Dużo w tym zakresie mogą zrobić kluby, PZA oraz poszczególne osoby. Można również pisać do pierwszego alpinisty RP – Pana Prezydenta – dostał w końcu ten medal na stulecie...

Co ciekawe, w relacji ze Zjazdu autorstwa Józefa Nyki, która ukazała się w „Taterniku“ 3-4/2003

(oficjalnym organie PZA) cały wątek dyskusji o likwidacji Chatki został przemilczany.

Wróćmy jednak do przebiegu Zjazdu. Ostatnim wnioskiem był postulat Elżbiety Jaworskiej o zajęcie się organizacją symbolicznego cmentarza taternickiego w Zakopanem. Postulat ten powraca od kilkunastu już lat, a sprawa ciągle czeka na załatwienie. Po przerwie, w programie Zjazdu znalazło się kilka prezentacji (wystąpili m.in. Krzysztof Wielicki, Jacek Fluder, Marcin Tomaszewski, Waldemar Niemiec), które nie porwały niestety zgromadzonej publiczności. Odczuwalny był także brak prowadzącego konferansjera, co prowadziło do przedłużających się chwil ciszy i narastającego poczucia prowicki.

Ukoronowaniem organizacyjnego bełładu były zawody o puchar Prezesa PZA, które zgromadziły 2 panie i 4 panów (a więc w sumie aż 6 uczestników). Zawody rozgrywane były w konkurencji na czas, a widok biegnącego po klamach w przewieszeniu Tomka Oleksego (zwycięzcy zawodów) utwierdził nieliczne już grono nestorów w przekonaniu, że „prawdziwy” alpinizm zakończył się wraz z nimi, w latach siedemdziesiątych.

Brak wieczornej imprezy stanowił oczywiste zakończenie tej klapy – nazwanej 100-leciem PZA. Dużo należy zmienić w Związku, żeby PZA stała się wreszcie organem walczącym o interesy wspinaczy, a nie biurokratyczną czapą rozdzielającą państwowe pieniądze. Na pewno potrzebny jest bliższy kontakt władz związku ze zrzeszonymi wspinaczami. Zerwać też należy z tendencją klubów, które delegują na Zjazd swoich najbardziej zasłużonych, ale i najstarszych członków, którzy często niestety nie zdają sobie sprawy z bieżących problemów środowiska.

Wydaje się, że przy okazji przyszłorocznych wyborów do władz PZA, warto doprowadzić do wyboru osób, które zdolne będą rozwiązać najistotniejsze problemy polskiego wspinania (kurczący się dostęp do Tatr, obniżona ranga centralnego ośrodka szkolenia tzw. „Betlejemki”, narastający proces ograniczania dostępu do skał). Należałoby również sensownie zmienić przepisy: zlikwidować karty wspinacza i taternika, a za to wprowadzić przepisy regulujące szkolenie. Mało kto zdaje sobie pewnie sprawę z tego, że stopień instruktora PZA dla polskiego prawa nic nie znaczy, pozostając wewnętrznym uregulowaniem Związku. Inne naglące kwestie to pozyskiwanie środków z innych źródeł niż dotacja budżetu państwa, profesjonalne ubezpieczenie skał oraz lepsza organizacja zawodów wspinaczkowych. Liczymy na to, że zbierze się grupa zainteresowanych klubów i razem będziemy w stanie przeprowadzić konieczne zmiany na najbliższym zjeździe Polskiego Związku Alpinizmu – w listopadzie 2004 roku.



NUKA autorstwa Elizy Kubarskiej fot. Przemek Klimek/StudioWspin



NUKA fot. D.Kaszlikowski/StudioWspin



NUKA - Nagroda Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego im. Łukasza Wajsa

Nasz klubowy kolega **Łukasz Wajs** zginął 23 lutego 1998 roku w czasie zejścia po skończonej drodze Świerza na Mięguszwieckim Szczycie Wielkim. Jego imieniem została nazwana nagroda, którą od pięciu lat wręcza kapituła w skład, której wchodzi najbliżsi przyjaciele Łukasza.

Laureaci:

1999 – **Anna Boniewicz** za przejścia w zespołach czysto kobiecych

Robert Sieklucki za przejścia hakowe

2000 – **Robert Sieklucki** za przejścia hakowe w Dolinie Yosemite (m.in. *Jolly Roger A5*)

2001 – **Marek Kaliciński** za przejścia w Tatrach

Jakub Radziejowski za przejścia w Tatrach

2002 – **Anna Leonowicz** za wiele przejść w zespołach kobiecych i nie tylko

Michał Kasprowicz za działalność na Kaukazie oraz wejście na Chan Tengri

Jakub Radziejowski za przejścia na Alasce (m.in. *Cobra* na Mt Barill) oraz przejścia w Tatrach

2003 – **Krzysztof Sadlej** za przejścia w Dolomitach

Jakub Radziejowski za przejścia w Tatrach zimą oraz w Alpach latem



Nowe ringi na Bibliotece

W weekend 15-16 listopada na Bibliotece w rejonie Podlesic zostało obitych 9 dróg. Prace pod kierownictwem Marka Wierzbowskiego miały na celu uczynienie pierwszego kroku w przysposabianiu rejonu do warunków „europejskich” (czytaj on-sightowych). Czasy dwóch dwudziestoletnich spiętów na 20 metrach na szczęcie chyba już minęły. Podczas prac nad osadzaniem przelotów (kotwy Raumer) okazało się, że niektóre spity trzymały się już tylko na rdzy. Ci, którzy w ostatnim czasie prowadzili np. *Żółtą ściankę* mogą mówić o szczęściu. Ci, którzy obciążali przeloty na tej drodze, mogą wypowiadać się w kategoriach cudu.

Ubezpieczone zostały następujące linie: *Żółta Ścianka* (6r+RZ), *Prostowanie Żółtej Ścianki* (3r), Linia na lewo od Żółtej Ścianki, a na prawo od Zacięcia o trudnościach ok. V (5r+RZ) – w przewodniku Pawła Haciskiego (Jura 2, 2003) bez nazwy (str. 36, droga nr 8). Podobnie obita została droga bez nazwy o trudnościach VI (5r+RZ) biegnąca przez depresję na lewo od dróg na Żółtej Ściance (str 36, droga nr 4). Inne obite drogi to *Kameleon* (7r+RZ), *Advocat* (7r+RZ), *Szalona depresja* (7r+RZ), *Poszczyzny Isztwana* (3r+RZ) i Na przelaj (8r). Na wczesną wiosnę 2004 planowana jest kontynuacja prac na Bibliotece. W dalszej perspektywie Apteka i Turnia Motocyklistów.

Prace (kotwy Raumera, klej, stanowiska zjazdowe) sfinansowane zostały przez Uniwersytecki Klub Alpinistyczny z Warszawy oraz firmę AMC (www.petzl.pl). W pracach brali udział Marek Wierzbowski, Małgorzata Czeczot, Karol Sulej i Jakub Radziejowski.

O nas

Jacek Czabański

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest stowarzyszeniem o czterdziestoletniej już historii, skupiającym ludzi czynnie uprawiających wspinanie we wszystkich jego postaciach: bouldering, wspinaczka sportowa, skałkowa i górską – latem i zimą.

Obecnie Klub liczy blisko 200 członków, w tym 100 taterników i 8 instruktorów Polskiego Związku Alpinizmu (jesteśmy ósmym, co do wielkości Klubem w Polsce). Jesteśmy przeważnie studentami lub absolwentami warszawskich uczelni (średnia wieku 29 lat), jednakże Klub jest otwarty na wszystkich pasjonatów wspinania. UKA jest zrzeszony w Polskim Związku Alpinizmu.

Chcesz do nas wstąpić?

Co roku przyjmujemy około 30 nowych członków. Do Klubu zapraszamy wszystkie osoby, które posiadają już pewne umiejętności wspinaczkowe, czyli ukończyły kurs wspinaczkowy lub w jakikolwiek inny sposób zdobyły wspinaczkowe doświadczenie. Jeżeli dopiero zaczynasz to proponujemy Ci odpowiednie kursy. Pełna informacja o zasadach przyjmowania oraz kursach wspinaczkowych dostępna jest na naszej stronie: www.uka.pl

Możesz też do nas napisać: uka@uka.pl

Co oferujemy?

1. Regularne spotkania na najlepszych ściankach wspinaczkowych w Warszawie za najniższą cenę: wtorki 18.00 – 22.00 Centrum „On Sight”, ul. Obozowa 60.
czwartki 18.00 – 22.00 Centrum Wspinania „W Pionie”, ul. Nowowiejska 37b
niedziele 20.00 – 22.00 Centrum „On Sight”, ul. Obozowa 60 (w tym terminie wstęp tylko dla członków UKA)

2. Liczne imprezy towarzyskie, pokazy slajdów, imprezy z okazji rozpoczęcia i zakończenia sezonu organizowane w plenerze;
3. Dofinansowania obozów i wyjazdów w skały i góry;
4. Bieżące informacje ze świata wspinania: lista mailowa oraz najpopularniejsza warszawska witryna internetowa z rozbudowanym działem nowości, forum, galeriami zdjęć;
5. Dostęp do biblioteki klubowej obejmującej przewodniki, czasopisma i literaturę górską;
6. Zniżki przy zakupie odzieży polarowej firmy „Zerwa”;
7. Zniżki przy zakupach w sklepie „Kanyon” (www.kanyon.pl);
8. Zniżki przy zakupach w firmie „Małachowski” (www.malachowski.com.pl);
9. Zniżki na noclegi na taboriskach w Tatrach i w Betlejemce;
10. Szansa na zdobycie corocznej nagrody UKA im. Łukasza Wajsa;

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny – zwiąż się z właściwym środowiskiem

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny

Stowarzyszenie kultury fizycznej

ul. Srebrna 16, 00-810 Warszawa

www.uka.pl, uka@uka.pl

KRS 0000108308

Konto bankowe

Nordea Bank Polska S.A.

56 1550 1062 0000 0000 2502 3677

Zarząd:

Jacek Czabański

(prezes: 0 601 156 864, jacek.czabanski@dione.ids.pl),

Marek Kaliciński

(wiceprezes: 0 501 137 337, marekxkali@poczta.onet.pl),

Marek Wierzbowski

(skarbnik: 0 608 079 670, marekwierzbowski@o2.pl),

Mirostaw Milewski

(webmaster strony www.0603743323.miro@redshrimp.com).

Komisja Rewizyjna:

Karol Sulej (przewodniczący),

Małgorzata Stoń-Nowaczek,

Tomasz Chudy.



Speed
is nothing without accuracy